

ZUZANNA
JĘDRZEJEWSKA

nie
do
wiary!



seria z babeczką



nie do wiary!

ZUZANNA JĘDRZEJEWSKA

nie do wiary!



Copyright © Zuzanna Jędrzejewska, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Anna Wawrzyniak-Kędziorek / panbook.pl

Projekt okładki: Design Partners (www.designpartners.pl)

Fotografie na okładce: www.depositphotos.com/ra2studio

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka /
panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-450-1

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Sylwester

Eufrozyna Maliniak, przez przyjaciół nazywana Zoey, leżała na wznak na swoim pojedynczym łóżku przykrytym patchworkową narzutą i wpatrywała się w wyblakły gwiazdozbiór na suficie. Miała pięć lat, gdy, zapytana przez jedną z ciotek, co też chciałaby dostać od świętego Mikołaja, zażyczyła sobie pod choinkę gwiazdki z nieba. Zgromadzeni przy stole członkowie rodziny w pierwszej chwili roześmiali się, rozczuleni naiwnością dziecięcego życzenia. Po chwili jednak uśmiechy zniknęły z ich twarzy, gdy mała Eufrozyna z mocą oświadczyła, że nie widzi powodów do radości, Mikołaj to bujda i wymówka, i na ich miejscu czym prędzej wyruszyłaby w podróż – do kosmosu jest bardzo daleko i mogą nie zdążyć przed świętami, a chyba chcą spełnić jedyne życzenie jedyne dziecko w rodzinie. Wszelkie prośby, groźby, zachęty, próby przekupstwa czy najbardziej logiczne wywody zmierzające ku nakłonieniu jej do zmiany życzenia okazały się bezowocne. Zoey z właściwą małym dziewczynkom determinacją oświadczyła, że jeśli nie dostanie gwiazdki z nieba, to równie dobrze może nie dostać nic, święta mogą się nie odbyć, bo i tak będą najgorsze w jej życiu, a skoro tak, to kto wie czy nie lepiej będzie, jeśli od razu

umrze, bo nikt jej nie kocha, nie lubi i nie chce. Na koniec z wdziękiem rozpuszczonej jedynaczki wychowywanej przez dziadka rzuciła się na podłogę, tupiała, krzyczała i zalewała się łzami tak długo, aż nie obiecano jej gwiazdki i jeszcze wielu innych rzeczy. Usłyszawszy te zapewnienia, wstała, otrzepała spódniczkę, wydmuchała nos i najzwyczajniej w świecie poszła do pokoju bawić się lalkami. Osłupiałe ciotki długo stały, spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła. Jedynie dziadek uśmiechnął się pod wąsem, po czym zaproponował wszystkim herbatę, niezawodne remedium na zszargane nerwy.

Dni mijały i wszyscy po cichu liczyli, że dziewczynka zapomni o swoim nedorzecznym marzeniu. Jednak podczas adwentu Zoey zaczęła obdzwaniać kolejno wszystkich członków rodziny, uprzejmie przypominając im o obietnicy. Zakupiono zatem w Peweksie kilka szalenie drogich, złożonych gwiazdek na baterie, kolejną uszyto z połyskującego moheru, a ciotka Eufemia, która była artystką plastykiem, własnoręcznie ulepiła z gliny wspaniałą gwiazdę, pomalowała ją na złoto i przyozdobiła migoczącymi kryształkami. W ich oczach Wigilia była uratowana, a szczęśliwe dzieciństwo ulubienicy rodu miało obyć się bez świątecznej traumy. Niestety wszystkie próby zawiodły. Eufrozyna, rozpakowując kolejne paczki, wpadała w coraz większą złość. Prezent ciotki Eufemii, odpakowany jako ostatni, został ciśnięty z wściekłością o podłogę. Istny cud sztuki rękodzielniczej rozbił się w drobny mak. Teraz do wyjącej z wściekłości pięciolatki dołączyła szlochająca z rozpacz nad swoim dziełem czterdziestolatka.

Rodzinną zawierucha ucichła, gdy Zoey, znużona histerią, zasnęła niespodziewanie na kanapie. Ciotka Eufemia, której zakazano płakać, żeby nie obudziła małego tyrana, siedziała, trzęsąc się i kołysząc w przód i w tył, pochylona nad skorupami gwiazdy spoczywającymi na jej podołku. Pozostali z trudem przełknęli resztki makowca i pospiesznie wyszli, głośno wyrażając zniesmaczenie zachowaniem rozkapryszonej dziewczynki. Na klatce schodowej kiwali z politowaniem głowami i szeptali, że od wychowywania dzieci są rodzice, bo dziadkowie po prostu się do tego nie nadają, a poza tym rude to nie kolor włosów, to charakter, i nikt nic na to nie poradzi. Usprawiedliwiwszy się w ten sposób od wszelkich zaniedbań, zwłaszcza od niedostatecznego

wspierania Damazego w jego trudach, wyszli w łagodną ciemność wigilijnej nocy.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, dziadek przykrył Eufrozinę grubym wełnianym kocem i wyszedł do łazienki zrealizować własny plan. Miał pomysł, jak spełnić marzenie wnuczki. Rozmieszał kupione na bazarze chińskie farby, które świeciły w ciemności, po czym spędził całą noc malując na granatowym suficie jej pokoiku firmament pełen złotych gwiazd. Eufrozyna obudziła się nad ranem. Kanapa może i nadawała się do siedzenia, ale spanie na niej było okropnie męczące. Zaspana dziewczynka przeszła cichutko do swojego pokoju, gdzie czekało na nią ukochane łóżeczko, z pachnącą pościelą i wysłużonym króliczkiem-przytulanką. Aż pisnęła z zachwyty, przypadkiem spojrzawszy w górę na rozgwieżdżone niebo. Pobieгла do pokoju dziadka i bezceremonialnie wskoczyła na tapczan, na którym kamiennym snem spał antenat.

– Obudź się, dziadku! Dostałam gwiazdkę! – krzyknęła mu prosto do ucha. – Dużo gwiazdek! Miliony! Obudź się, no!

Dziadek otworzył oczy, które dopiero dwa kwadranse wcześniej udało mu się zamknąć. Mimo to podniósł się czym prędzej i ruszył za wnuczką, by podziwiać jej prezent. Stali przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w migoczący sufit, w którym odbijało się światło nocnej lampki. Eufrozyna uścisnęła mocniej rękę dziadka.

– Wiedziałam, wiedziałam. Ja jedna wiedziałam to na pewno! Mikołaj jednak istnieje! – westchnęła.

Dziadek poklepał ją delikatnie po małej dłoni.

– Cuda się zdarzają, maleńka.



Ćwierć wieku później Zoey z zachwytem obserwowała, jak zwykle nieruchoma konstelacja układała się w coraz to nowe, finezyjne kształty. Zastanawiała się, gdzie podziała się ta dziewczynka, która zawsze wiedziała, czego chce, i potrafiła o to zawalczyć. Eufrozyna miała wrażenie, że poza imieniem, adresem i dziadkiem nie ma nic wspólnego z tamtą temperamentną pięciolatką. Zrobiło jej się smutno. Niechybnie zapłakałaby nad własnym losem, gdyby gwiazdy nad jej głową nie zaczęły nagle wirować szybciej i szybciej. Zakręciło jej się w głowie i poczuła nadciągającą falę mdłości. Zacisnęła powieki. Wciąż nie otwierając oczu, przewróciła się na bok. Wzięła głęboki wdech. Spojrzała przed siebie. Świat nadal wydawał się niestabilny, ale zmiana pozycji poskutkowała; mdłości ustąpiły.

– Cuda się zdarzają – wybełkotała.

Przy wezglowiu łóżka siedziała na podłodze jej najlepsza przyjaciółka, Alicja. Jednak ani drgnęła na dźwięk głosu Zoey. Eufrozyna dłuższą chwilę przyglądała się jej, próbując odgadnąć, co też ją tak zajmuje. Alicja wyglądała, delikatnie mówiąc, dziwacznie. Siedziała na kolanach, bokiem oparta o ramę łóżka, z twarzą zwróconą w kierunku stolika, co kilkadziesiąt sekund mrużyła oczy, marszczyła czoło, wstrzymywała oddech i cała się napinała. Czerwieniła się. Wypuszczała gwałtownie powietrze, łapała oddech i powtarzała niecodzienny rytuał.

– Co... Co ty robisz? – zapytała wreszcie Zoey, gdy żaden racjonalny pomysł nie zaświtał w jej głowie.

– Ćśśś... – syknęła tylko Alicja, przełknęła głośno ślinę i znów zmrużyła oczy.

Eufrozyna podążyła za jej spojrzeniem i nagle ją olśniło. Alicja wpatrywała się w stojący nieopodal pusty kieliszek, jakby chciała siłą woli sprawić, by sam się napenił.

– Nie uda się! Musisz się ruszyć – powiedziała Zoey tonem mędrca, po czym czknęła głośno. – A jak już wstaniesz, przynieś mi wody.

Alicja machnęła na nią ręką i kontynuowała zaklinanie kieliszka.

Zoey przymknęła oczy. Otuliła ją miła ciemność. Pod powiekami pojawiały się coraz ciekawsze obrazy rodem z *Alicji w Krainie Czarów*. Eufrozyna Maliniak powoli oddalała się ku bezdrożom pijackich snów.

– Która godzina? – zapytała Alicja, bezlitośnie wyrывая ją z błogostanu.

Przerażona Zoey otworzyła oczy i odruchowo spojrzała na zegarek.

– Dziesiąta czterdzieści trzy, chyba – odpowiedziała po dłuższej chwili, gdy wreszcie udało jej się zogniskować wzrok na cyferblacie.

– O matko, dopiero?! – jęknęła Alicja. – Nie zniosę dłużej tego sylwestra.

– Mówiłam, żeby iść do Renatki... – zaczęła niepewnie Zoey, ale Alicja nie dała jej dokończyć.

– Milcz! Wszystko tylko nie to! Tak nisko nie upadłyśmy!

Zoey zmieszana kiwnęła zamasyżycie głową. Musiała przyznać, że jej ostatnie słowa były wyrazem desperacji. Nie ma nic gorszego niż spędzanie sylwestra z Renatką, no, może poza kanałowym leczeniem zęba albo rodzeniem pięcioraczków bez znieczulenia.

Renatka była ich wspólną koleżanką z liceum, swoistą legendą, typem wesołego kujona, który stara się być na siłę duszą towarzystwa i za wszelką cenę zaprzyjaźnić z każdą napotkaną osobą. Miała ponad tysiąc znajomych na Facebooku, choć większość, widząc ją na ulicy, usiłowała przemknąć niezauważona. Renatka była bowiem najnudniejszą i najbardziej męczącą osobą, jaką można sobie wyobrazić. Nie posiadała niemal żadnych zdolności interpersonalnych, a będąc przekonaną o swoich wrodzonych talentach towarzyskich, nie próbowała nawet czegoś w tym aspekcie zmienić. Nie chwytła aluzji, nie rozumiała sugestii, prosiła o powtórzenie puent dowcipów chwilę po tym, jak cała reszta przestawała się z nich śmiać, czytała wyłącznie lektury szkolne i na dodatek z chwilą zamknięcia książki zapominała jej treść. Jediną rzeczą, o której można było z nią porozmawiać był świat celebrytów. W środku nocy potrafiła wyrecytować, co kto robił z kim, kiedy, gdzie i dlaczego.

I ta właśnie Renatka od pierwszej klasy ogólniaka organizowała w domu coś, co nazywała „dzikimi dżamprezkami”. Wraz z mamą przygotowywała kanapki z pastą jajeczną posypane szczypiorkiem,

koreczki z kielbasy i sera żółtego, eleganckie stosiki kabanosów i korniszonów. W rogu stołu ustawiała kolorowe szklanki, słomki w paseczki, colę i kompot. Przystrajała salon balonami i serpentynami, a samą siebie w obowiązkowe różowo-cekinowo-dżinsowe stroje, które elegancką, wrażliwą estetycznie Alicję przyprawiały o drgawki i ból głowy. Mimo iż od matury minęło już ponad dziesięć lat, Renatka z zadziwiającym uporem zapraszała Zoey i Alicję na każde urodziny, imieniny, andrzejki, Międzynarodowy Dzień Pluszowego Misia, ostatki, no i oczywiście sylwestry. Rokrocznie wykręcały się od obecności (która, zgodnie z treścią zaproszenia, była obowiązkowa) różnymi przypadłościami i nieprzewidywanymi kolejami losu. Obie nie lubiły kłamać ani sprawiać ludziom przykrości, ale w tym wypadku nie można było postąpić inaczej.

Renatka posiadała jedną jedyną umiejętność towarzyską, która jednak była tyleż przydatna dla niej samej, co skrajnie toksyczna dla otoczenia. Potrafiła skutecznie wzbudzić u każdego wyrzuty sumienia. Tym samym sprawiała, że wszyscy, nie chcąc zrobić jej przykrości, postępowali wedle jej życzenia. Na wieść o tym, że Alicja i Zoey nie pojawią się na dzamprezce, Renatka najpierw zadawała serię szczegółowych pytań dotyczących przyczyn ich nieobecności. Trzeba było wykazać się perfekcyjnym przygotowaniem wymówki, bo pytania były jak pajęcza sieć, która ma schwytać ofiarę, omotać, a następnie umożliwić pajakowi przywleczenie ofiary do gniazda, gdzie ta będzie oczekiwać na moment pożarcia. Jednym słowem, z pozoru miłe i troskliwe pytania zawsze zawierały jakiś haczyk. Gdy wreszcie udało się szczęśliwie ominąć wszystkie pułapki i przekonać gospodynię, że własną nieobecność na dzamprezce odczuwa się jako niepowetowaną stratę, należało wstrzymać oddech i przygotować się na emocjonalny atak. Sekundę później Renatka wybuchała płaczem, wyrażając tym samym głęboki żal i współczucie. Następnie, zwykle wydmuchawszy uprzednio nos prosto w słuchawkę, obiecywała, że wkrótce urządzi kolejne „spotkanko”, by wynagrodzić rozmówcy absencję. Zmaltretowany psychicznie, wpędzony w wyrzuty sumienia, czujący się jak najpodlejszy z podłych rozmówca przysięgał na wszystkie świętości, że tym razem na pewno przybędzie. Renatka łaskawie przyjmowała

gorliwe zapewnienia i zwykle z żelazną konsekwencją je egzekwowała.

Zoey z Alicją bywały u Renatki tylko wówczas, gdy miały w tym ukryty cel, którym był najczęściej przedstawiciel płci przeciwnej. Od czasu do czasu bowiem wśród tłumów nieudaczników, smętnych poetów, filozofów z długimi włosami i historyków w wyblakłych golfach, zaplątał się jakiś interesujący człowiek, którego warto było poznać bliżej. Był to jednak wyjątek od zasady głoszącej, iż każdy stały bywalec Renatkowych przyjęć ma jakiś mniej lub bardziej ukryty defekt.

Zwyczajna impreza nie stanowiła jednak problemu. W każdej chwili można było z niej uciec, ot chociażby do chorego dziadka. Eufrozyna wiele razy dziękowała Bogu, że Damazy, okaz sił i zdrowia nie pojawiał się nigdy na szkolnych zebraniach, dzięki czemu mogła go wykorzystywać jako wymówkę. Zapewne obraziłby się śmiertelnie, gdyby ktoś doniósł mu, z ilu nieudanych przyjęć jego ukochana wnuczka wyszła, mówiąc, że musi wrócić do domu, by podać leki niedołącznemu staruszkowi, nakarmić go albo przewinąć.

Jednakże sylwester u Renatki był najgorszym pomysłem świata, bo, chcąc nie chcąc, trzeba było doczekać północy. Żadne wymówki nie wchodziły w grę. Renatka, która przy poważniejszych okazjach dostawała kompletnego towarzyskiego kręćka, zapewne poleciłaby zostawić dziadka nieprzewiniętego do rana, bo taka noc zdarza się tylko raz na trzysta sześćdziesiąt pięć dni.

Zoey pokiwała głową, wypuściła ze świstem powietrze i ponownie czknęła.

– U ciebie przynajmniej można się napić czegoś innego niż kompot – ciągnęła Alicja, najwyraźniej czerpiąc otuchę z krytykowania nieszczęsnej Renatki. – Mogłybyśmy zadzwonić i zapytać, jaki podaje z okazji zakończenia starego roku? Śliwkowy czy jabłkowy? A może zaszalała i zamroziła na kompot sylwestrowy porzeczeki z działki?

Alicja zachichotała złośliwie. Zoey popukała się w czoło.

– Daj spokój Renatce. Może i popija kompot zamiast likieru jajecznego, ale przynajmniej nie jest sama i zapewne się nie nudzi.

– O co to, to na pewno nie! – wykrzyknęła Alicja, po czym wybuchnęła gromkim śmiechem, który był u niej wyraźną oznaką nadużycia procentów. – U Renatki nie można się nudzić! Pewnie całe

towarzystwo gra teraz w kalambury albo w „Jaka to melodia?”, albo, o ile mama pozwoliła, oglądają sylwestrowy program w telewizji. Poza tym przypominam ci, moja droga, że ty też nie siedzisz sama. Ale wracając do tematu likieru, skoro już go poruszyłaś...

Alicja zajrzała sugestywnie do swojego kieliszka.

– Chyba wiesz, gdzie go szukać – odpowiedziała Zoey, uśmiechając się szeroko. – A jak już znajdziesz, to nalej i mi. Albo nie, wolę wodę.

Alicja pokazała jej język, po czym z jękiem wstała i chwiejnym krokiem podeszła do stolika, który uginał się pod ciężarem smakołyków. Wszystkie były dziełem wszechstronnie utalentowanego dziadka Eufrozyny – Damazego Maliniaka. Patrząc na niego, Zoey często zastanawiała się według jakich kryteriów odbywa się w naturze podział talentów, a nade wszystko, gdzie w tym czasie jest sprawiedliwość. Damazy Maliniak był obdarowany tak bardzo, że najwyraźniej dla syna, a potem i dla wnuczki, niewiele już zostało. Wśród całej palety umiejętności i talentów dziadka nie zabrakło i kulinarnego. Na ostatni wieczór starego roku upiekł dla dziewcząt ciasto drożdżowe z rodzynkami, beziki z czekoladą, babeczki z budyniem i ulubiony sernik Alicji. Dodatkowo oddał im trzy karafki własnoręcznie robionych likierów. Alicja nalała ciemnożółtego płynu do dwóch staroświeckich kieliszków z wygrawerowanymi motywami kwiatowymi, zapominając o tym, że Zoey prosiła o wodę. Eufrozyna jęknęła na myśl o konieczności wypicia kolejnej porcji likieru, ale nie miała siły na tłumaczenia.

– À propos, gdzie dzisiaj baluje Damazy? – zapytała Alicja, podając przyjaciółce kieliszek.

Wszystkie koleżanki Eufrozyny zwracały się do jej dziadka po imieniu. Damazy Maliniak twierdził bowiem, że gdy młode, piękne kobiety zwracają się do niego per pan, czuje się staro. Co ciekawe, wnuczka bezwzględnie, zawsze i wszędzie musiała nazywać go dziadkiem. Gdy w okolicach klasy maturalnej odważyła się zapytać, czy i ona może mówić mu po imieniu, odmówił w kilku dosadnych słowach, twierdząc, że rodzina to rodzina, hierarchia musi być, bo jest podstawą szacunku wobec protoplastów rodu. Zoey nic nie zrozumiała z tego

tłumaczenia, poza tym, że ona jedna spośród swoich rówieśniczek nie może nazywać własnego dziadka „Damazy”. Wiedziała także, że jakakolwiek próba skłonienia go do zmiany stanowiska i tak skończyłaby się porażką.

Taki już był Damazy Maliniak. Pełen sprzecznych teorii na ten sam temat, w których tylko on potrafił się odnaleźć, bujający w obłokach i niezwykle praktyczny zarazem, uwielbiający sztukę i porządk domowe, wybuchowy, temperamentny, zabawny, niezawodny i opiekuńczy. Eufrozyna była pewna, że dziadek potrafiłby porozumieć się z każdym. Płakał ze smutnymi, śmiał się z wesołymi, bawił się z dziećmi tak, jakby sam był kilkuletnim malcem. Miał w sobie nieuchwytny urok, na który nikt, bez względu na płeć i wiek, nie mógł pozostać obojętny. W wieku osiemdziesięciu sześciu lat nadal miał ogromny apetyt na życie. Zoey z Alicją niejednokrotnie odnosiły wrażenie, że to Damazy jest najmłodszy z ich trójki. Jako śpiewak operowy zjeździł z koncertami pół świata, pił jak pan Zagłoba, palił jak parowóz i, nie zważając na swój wiek, kilka razy w tygodniu balował do białego rana. Mimo to cieszył się doskonałym zdrowiem i krzepą, jakiej większość sześćdziesięciolatków, o jego rówieśnikach nie wspominając, mogło mu tylko pozazdrościć. Myśl, że Damazy mógłby spędzać sylwestra w domu, przed telewizorem lub we własnym łóżku nawet nie powstała w głowie Alicji.

– Najpierw śpiewał gościnnie w teatrze, potem mieli iść całą ekipą do jakiejś restauracji z dancinikiem, rzecz jasna, a gdzie i o której skończą jeden Pan Bóg wie.

– Ten to ma życie – westchnęła Alicja z nutką zazdrości w głosie. – Jak on to robi?

– Nie wiem. To jedna z niezgłębionych tajemnic wszechświata. Od jakiegoś czasu staram się już nad tym nie zastanawiać. Chociaż sam fakt, że mój wkrótce dziewięćdziesięcioletni dziadek ma bujniejsze życie towarzyskie niż ja, nie napawa optymizmem.

– No, nie układa ci się ostatnio najlepiej... – wyrwało się Alicji w przyływie alkoholowej szczerości. Zoey spojrzała na nią z wyrzutem. Alicja spuściła wzrok, łyknęła żółtawego płynu, w myślach gorączkowo szukając jakiegoś zgrabnego usprawiedliwienia dla własnego nietaktu. –

Jejku, źle mnie rozumiałaś. Nie chodziło mi konkretnie o ciebie. Przy Damazym każdy wypada słabo...

– Ale nie każdy jest jego wnuczką i nie każdego ciągle z nim porównują – burknęła Zoey, wyraźnie dotknięta.

– Co prawda, to prawda. Przepraszam, nie chciałam ci zrobić przykrości.

– Wiem – westchnęła Zoey i przewróciła się na plecy. – Tylko że ja mam już serdecznie dość bycia mną. – Alicja pośpieszyła z zapewnieniami o cnotach i zaletach przyjaciółki, ale Eufrozyna szybko jej przerwała. – Nie musisz mi niczego wmawiać. Wiem, jak jest. Rodzice wiedzieli, co robią, zostawiając takiego nieudacznika jak ja. Wybrakowany egzemplarz i do tego z tak fatalną etykietką. Boże, kto daje dziecku na imię Eufrozyna?!

Łzy mimo woli zaczęły płynąć jej po policzkach. W przeciwieństwie do Alicji, która pod wpływem alkoholu robiła się rubaszna i złośliwa, Zoey od niepamiętnych czasów upijała się na smutno.

– Po pierwsze nie zostawili cię, tylko wyjechali na misję badawczą...

– Na ćwierć wieku?! – wychlipała Zoey i rozplakała się na dobre. Alicja odczekała chwilę, wiedząc, że w takim momencie musi dać się przyjaciółce wypłakać.

– W Ameryce Południowej jest wiele obszarów do eksploracji dla antropologów – podjęła ostrożnie, gdy chlipanie z tapczanu nieco ucichło. – Poza tym piszą do ciebie regularnie...

– Czyli raz na kwartał...

– ...a nawet dzwonią, gdy tylko mają dostęp do telefonu. W dżungli jest słabo z zasięgiem – ciągnęła Alicja niezrażona pesymizmem Zoey. – I nie tak dawno byli w Polsce.

– Przez trzy dni! Poprzednim razem wpadli na moje osiemnaste urodziny. Średnią mają słabą, nie sądzisz?

Alicja w duchu musiała przyznać, że rodzice Zoey nie zasługiwali na tytuł opiekunów roku, choć potrafiła znaleźć coś na ich usprawiedliwienie. Heliodor i Katarzyna Maliniak byli parą zapalonych naukowców, najprawdziwszych pasjonatów, przedstawicielami ginącego

gatunku ludzi, dla których nauka jest wszystkim. Zupełnie nieprzystosowanymi do życia w sztywnych ramach społeczeństwa, kompletnie niezainteresowanymi otaczającą ich rzeczywistością. Los zapewne zapisał im życie w samotności, w którym lekko przykurzeni dzieliliby czas pomiędzy bibliotekę a wykłady na uczelni. Frywolny przypadek sprawił jednak, że na krętych ścieżkach życia odnaleźli się nawzajem. Zakochali się w sobie bez pamięci. Chodzili za rękę po kampusie uniwersyteckim albo siedzieli w bibliotece, każde z nosem w książce. Po pracowitym dniu wracali spacerem do mieszkania, snując plany badawcze i marzenia o wielkich odkryciach, tak porywające, że niejednokrotnie gubili drogę i wracali przez trzy godziny zamiast w kwadrans.

Damazy, który ich przygarnął, dbając o wikt i opierunek nie tylko jedyne go syna, ale i jego równie odrealnionej żony, nie mógł się nadziwić, że ktoś może dosypać do herbaty soli, zamieszać, wypić duszkiem i niczego nie zauważyć z powodu czytanej właśnie książki albo włożyć spódnicę na spodnie od piżamy i chcieć tak wyjść z domu, bo układa akurat w myślach tekst prelekcji. Damazy nie mógł zrozumieć, skąd w synu wzięła się taka pasja naukowa. Znajomy psycholog powiedział mu kiedyś, że jest to wyraz nieświadomionego buntu wobec barwnej natury ojca. Damazy był wszystkimi kolorami tęczy, więc Heliodorowi pozostały tylko odcienie szarości. Być może. Z czasem jednak ów bunt, czy cokolwiek to było, naturalnie przerodził się w sposób życia.

Damazy opiekował się nieszczęsnymi małżonkami z prawdziwą przyjemnością i czułością, skrzętnie skrywanymi pod maską ironii. Prawda była jednak taka, że niezmiernie wzruszało go ich wzajemne zrozumienie, niezręcznie okazywane uczucie, godna pozazdroszczenia konsekwencja i wytrwałość, a przede wszystkim wrażliwość i niezaradność. Wiedział, że bez jego pomocy już dawno mieszkaliby pod mostem, żywiąc się suchą bułką i serkiem topionym. Wiedział też, że taki stan rzeczy zupełnie by ich nie zmartwił, byleby mieli stały dostęp do książek, słowników i starych manuskryptów.

Niestety z tego doskonale kosmicznego związku poczęła się dziewczynka, na którą w ich życiu nie było miejsca. Nie mogli jej

zabierać do bibliotek, na stypendia zagraniczne, sympozja naukowe, a nade wszystko na wyprawy badawcze. Nie potrafili zaopiekować się sami sobą, a co dopiero kimś, kto bez ich pomocy nie miał szansy na przeżycie. I choć dziewczynka była słodka, uroczą i niezwykle spokojną, oboje musieli przyznać, że nie są stworzeni do roli rodziców. Gdy Heliodor dostał propozycję pięcioletniego kontraktu w Peru, a jego ojciec zgodził się zając małą Eufrozyną, małżonkowie odetchnęli z ulgą. Z radością zrezygnowali z troski o kupki, zupki, zabaweczki, prasowanie, pranie, z całokształtu realiów życia młodego rodzica, który swoje pasje musi odłożyć na bok, w pełni podporządkowując siebie istocie nieumiejącej sformułować swych myśli w jakimkolwiek zrozumiałym języku. Damazy zawsze powtarzał, że rodzice kochali córkę najlepiej, jak umieli, w nietypowy, sobie tylko właściwy sposób. Najwyraźniej jednak ona, mimo osiągnięcia wieku dojrzałego, nadal nie była w stanie tego pojąć.

– A po drugie Eufrozyna to wyjątkowe imię dla wyjątkowej osoby.

– Alicja postanowiła odwrócić uwagę przyjaciółki od tematu rodziców.

– A tobie ktoś płaci za wymyślanie takich tandetnych hasełek? Ta cała Eufrozyna to piętno. Mówię ci, że w tym cholernym imieniu leży przyczyna wszystkich moich niepowodzeń życiowych. Po prostu wszechświat jest zaprogramowany tak, że powinno się mieć na imię Kasia, Basia, Ania czy chociażby Alicja. Oryginalne imię piętnuje! Zobacz jak skończył chociażby... Napoleon!

– Ja nie miałabym nic przeciwko temu, żeby być Napoleonem... – próbowała wtrącić Alicja.

– I skończyć jak on? Proszę cię, daj spokój. Pamiętasz podstawówkę? Nawet nauczycielki nazywały mnie Żabą, bo nie wiedziały, jak na mnie wołać. Kto daje dziecku czterosylabowe imię niedające się skrócić, mimowolnie skazuje je na wykluczenie społeczne! Ty byłaś Ala, a ja Żaba. Bajkowe dzieciństwo.

– Dobra, ale to było dawno. Zoey brzmi ładnie. – Nie ustępowała Alicja.

Eufrozyna wzruszyła ramionami.

– Może i tak, ale dzieci codziennie mówią do mnie pani Eufrozyno i za każdym razem mam wrażenie, że poca się wówczas z wysiłku,

a dyrektorka wymawiając moje imię zawsze podnosi sugestywnie brwi, jakby chciała mi dać do zrozumienia, co myśli o mojej pretensjonalnej rodzinie.

– Przesadzasz... – Alicja ziewnęła.

– Do tego moje imię odstrasza mężczyzn – ciągnęła Eufrozyna, nie zwracając uwagi na komentarz przyjaciółki. – Słyszą je i z góry podprogowo kojarzą mnie z kłopotami. Dlatego nie chcą się angażować.

– Sama jesteś podprogowa! – prychnęła przyjaciółka. – Było paru takich, którzy się bardzo zaangażowali...

– ...i z każdym było coś nie tak. Widocznie tylko kiepskie modele są odporne na złowróżbny wydźwięk mojego imienia.

– Moim zdaniem twoje imię nie ma z tym nic wspólnego. Są dwie możliwości: albo nie spotkałaś jeszcze tego jedyne, albo ustawiłaś zbyt wysoko poprzeczkę i go nie zauważyłaś.

– Ja nie ustawiam żadnych poprzeczek!

– Jak to nie?! – krzyknęła zniecierpliwiona Alicja. – Zawsze tak długo drążysz osobowość potencjalnego kandydata, aż znajdziesz jakiś deficyt, ułomność lub niedomaganie, cokolwiek, do czego da się przyczepić. Nawet z najmniejszej wady potrafisz zrobić wielkie halo. Z założenia próbujesz zdyskwalifikować chłopaka w roli twojego partnera. Moim zdaniem nie masz problemu z imieniem, tylko z akceptacją drugiego człowieka. Wyśniłaś sobie nieistniejący ideał i zamiast zweryfikować sen w zetknięciu rzeczywistością, użalasz się nad własną samotnością, usprawiedliwiając wszystko, fakt, niezbyt udaną przeszłością!

Eufrozyna zamarła. Przygryzła wargę i zacisnęła dłonie na brzuchu. Alicja zrozumiała, że przeholowała. Za sprawą niezwykle mocnego specjału Damazego pozwoliła sobie na zbyt dużą szczerość, raniąc tym samym przyjaciółkę.

– To nie tak... – zaczęła po chwili Zoey. Mówiła szeptem, z trudem wymawiając każde słowo. – Ja dokładnie wiem, czego się boję, czego nie chcę, co mnie odpycha. Boję się kłamstwa, zranienia, odrzucenia. Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś, przy kim czułabym się zupełnie bezpiecznie.

Alicja milczała. Zoey nigdy nie była zbyt skłonna do zwierzeń. Coś

w wypowiedzi przyjaciółki musiało ją silnie poruszyć.

– Poza tym... ja chyba nigdy nie byłam tak naprawdę zakochana. Może w Marcinie, ale i tu obyło się bez *happy endu*, więc chyba próżno szukać w tym tej iskielki prawdziwego uczucia....

– Zoey, z zakochaniem rzadko jest tak jak w filmach. To nie jest nagły błysk i olśnienie. Najczęściej poznajesz kogoś, zbliżasz się do niego, a potem orientujesz się, że nie możesz przez niego spać, jeść ani na niczym się skupić. A i ten etap nie zawsze występuje. Pamiętaj, że rozmawiasz z ekspertem.

Eufrozyna wybuchnęła śmiechem. Alicja była permanentnie zakochana. Jedyne problem polegał na tym, że nieustannie zmieniała obiekty westchnień i, co gorsza, zupełnie nad tym nie panowała.

– Ale ja bym chciała, żeby mnie trafił taki grom z jasnego nieba. Jak pradziadka i tę grecką primadonnę, której od całego wieku wszyscy Maliniakowie zawdzięczają koszmarnie imiona. Jak moich rodziców, dziadków. Przecież dziadek mógł się ożenić dziesiątki razy. Kiedy babcia umarła, miał tylko trzydzieści pięć lat i całe życie przed sobą. Przyznasz, że nawet dziś widać, że w młodości musiał być bardzo przystojnym mężczyzną, a do tego sama go znasz, więc wiesz, że jest naprawdę wspaniałym człowiekiem. A on wciąż wszystkim powtarza, że kocha się w życiu raz i on już swoją miłość przeżył. Ja też tak chcę!

– Chyba każdy by chciał... – szepnęła Alicja. – Tylko że nie każdemu jest to dane. Moi rodzice są razem trzydzieści osiem lat. Na specjalnie zakochanych nie wyglądają, ale widać, że są do siebie bardzo przywiązani. – Alicja zadumała się na krótką chwilę, po czym podjęła żywo: – Chociaż, wiesz co? Ja to właściwie lubię się tak zakochiwać i odkochiwać. Przynajmniej coś się dzieje. Nie znoszę bezruchu! Całe życie z jednym mężczyzną?! Błagam, nie! Mam wrażenie, że to jest jedno z tych przymusowych marzeń, które od dziecka wszyscy wciskają nam do głów, a z których później tylko nieliczni potrafią się wyzwolić. – Alicja najwyraźniej uważała samą siebie za jedną z tych wybitnych jednostek, bo odrzuciła dumnie głowę, wypięła pierś i ciągnęła z jeszcze większą mocą, jakby przemawiała na jakimś wiecu. – Wyobrażasz sobie sześćdziesiąt lat z jednym mężczyzną?

– Nie, i ty chyba też nie powinnaś. Ludzie tyle nie żyją –

zachichotała Eufrozyna.

Alicja rzuciła jej pełne pogardy spojrzenie.

– Ty to jednak w ogóle nie dorastasz! – prychnęła. – Nic dwa razy się nie zdarza...

– ...i nie zdarzy – dokończyła zamyślona nagle Zoey.

– ...więc każdy kolejny facet oznacza nową, ekscytującą przygodę. Coś nieprzewidywalnego, świeżego. Zmiana partnera jest jak przemalowanie ścian albo przestawienie mebli. Po takiej operacji od razu lżej się oddycha.

Zoey rozejrzała się po swoim pokoju, w którym od ponad ćwierćwiecza nic się nie zmieniło. Alicja podążyła za jej wzrokiem.

– Dobra, może w twoim przypadku jest trochę inaczej... A może powinnaś wreszcie wyjść ze schematów, w które sama siebie wtłoczyłaś, i otworzyć się na nowe doznania?

Zoey prychnęła i przewróciła oczami.

– Jasne – ucięła.

– To na dobry początek zmian napijmy się.

– Chyba bardziej niż alkohol do powodzenia twojego planu przydałaby się trepanacja czaszki i poprzepinanie połączeń nerwowych odpowiedzialnych za osobowość.

– To później. – Alicja nie dała się zbić z tropu. – Na razie sale operacyjne pełne są nieszczęśników z kończynami poodrywanymi przez chińskie petardy, więc nic poza procentami nam nie pozostało. Pijmy zatem!

– Niedobrze mi – jęknęła Eufrozyna, która znów poczuła narastające mdłości, widząc jak przyjaciółka znów napelnia jej kieliszek.

– Pij, pij – rozkazała Alicja tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mam pewien plan, ale na trzeźwo go nie zrealizujesz.

– O matko! Już się boję. – Zoey posłusznie wychyliła podany kieliszek. – Ble! Ale mocna!

Wypiły jeszcze dwie kolejki, zagryzając korniszonami domowej roboty, które doskonale orzeźwiały i, ku ich zdziwieniu, łagodziły żołądkowe skutki nadużycia napitków wysokoprocentowych, jakiego dopuściły się tego wieczoru. Zbliżała się północ, więc włączyły telewizor, żeby posłuchać przynajmniej uroczystego odliczania. Przy

trzeciej dolewce Eufrozyna oświadczyła, że nie wciśnie w siebie ani grama alkoholu więcej.

– Może dasz radę – wybełkotała tajemniczo Alicja i sama wypła przygotowaną dla Zoey porcję. – Słuchaj, sprawa ma się tak. Podobno jak się wypowie głośno marzenie o północy w sylwestra, to się spełni. Jest za trzy dwunasta, zdążysz.

– A to nie chodziło o Wigilię?

– Sylwester, Wigilia, walentynki, Zaduszki, wszystko jedno. – Zniecierpliwiona Alicja machnęła ręką. – Grunt, żeby zadziało. Pokrzyczyć też ci nie zaszkodzi. Oczyszczisz się z negatywnych emocji.

– Ja nie mam negatywnych emocji...

– Masz. Każdy ma. Ale nie rozpraszaaj mnie, to znaczy siebie. Siebie nie rozpraszaaj. Krzycz!

– Ale co?

– No, to marzenie!

– Teraz?

– Dobrze by było, bo następna szansa za rok.

– Albo w walentynki... – przypomniała przytomnie Zoey.

– Wrrr... – warknęła zupełnie już pijana Alicja. Zoey aż podskoczyła. – Krzycz!

– Chciałabym się zakochać – pisnęła słabo Eufrozyna.

– Źle! Nie tu! Miało być w kosmos – zawyrokowała Alicja. – Pośpiesz się! Zostało czterdzieści sekund! Do okna!

– Że co?

– Do okna! Ale już!

Dziewczyny rzuciły się do parapetu. Alicja potknęła się i padła jak długa na podłogę. Mimo to, niczym trwający na posterunku pod ostrzałem dowódca wojskowy, nie przestała dopingować przyjaciółki. Eufrozyna ruchem wahadłowym przemieszczała się na południe, skąd już dało się słyszeć wybuchy pierwszych fajerwerków.

– Szybciej! – rozzierająco krzyknęła z podłogi Alicja. – Na Jedyńce odliczają.

Eufrozyna w nagłym przypływie energii, w pijackim widzie, czując się bohaterką filmu akcji, szarpnęła za klamkę.

– Chciałabym się zakochać! – wykrzyczała na całe gardło

w mroźną ciemność rozświetloną feerią barw sztucznych ogni.

– Ja też! – odkrzyknął ktoś z dołu i zachichotał.

– I ja, panie, tego! – dało się słyszeć gruby męski głos ponad jej głową.

– Kochajmy się! Ale jazdaaaa!!! – przeciągle wrzasnęli chórem licealiści z sąsiedniego mieszkania, tłoczący się w kilkanaście osób na małym balkonie.

Zoey natychmiast schowała głowę do wnętrza mieszkania. Czuła, że od mrozu i wstydu się czerwieni. Serce waliło jej jak oszalałe. Na wszelki wypadek zaciągnęła zasłony. Tymczasem Alicji udało się wrócić do pionu i opaść ciężko na fotel.

– I co? Podziałało? Czujesz coś? – zapytała z nadzieją, gdy Eufrozyna wreszcie odwróciła się w jej stronę.

– Tak. Czuję, że cholernie mi zimno i zrobiłam z siebie koncertową idiotkę – odparła. – To by było na tyle, jeśli idzie o czary. Chyba wytrzeźwiałam z nerwów. Więc może wypijmy coś za Nowy Rok?

W odpowiedzi usłyszała jedynie głośnie chrapanie dochodzące z fotela.

Styczeń

I

Gdy w Nowy Rok Eufrozyna otworzyła oczy, ujrzała przerażający widok. Na fotelu naprzeciwko niej leżała Alicja. Ręce i nogi miała rozrzucone bezwładnie na boki. Zwykle idealnie proste, gładko zaczesane kasztanowe włosy były potargane i skołtunione. Niewymodelowana grzywka opadała płasko na trupio bladą twarz, zakrywając oczy. Spod tej zasłony widać było nierówne, czarne smugi, pamiątkę po wczorajszym stylowym makijażu *pin-up girl*. Jedynym, acz niekwestionowanym dowodem na to, że żyła, były przerażające dźwięki wydobywające się z jej otwartych ust. Nie było to zwyczajne chrapanie, ale prawdziwa nosowo-gardłowa kakofonia o wyjątkowym nasileniu.

Zoey w nagłym przebłysku trzeźwości postanowiła zrobić przyjaciółce zdjęcie. W tak kiepskim stanie nie widziała jej od ukończenia liceum, którą to okazję opily tanią wiśniówką. Z góry wiadomo było, że takie świętowanie dobrze się nie skończy, ale oszczędzały wówczas na wakacyjny wyjazd do pracy w Stanach i nawet wiśniówka marki „Wiśniówka” była dla nich towarem luksusowym.

W owym czasie, pamiętnego poranka dnia następnego, blondwłosa Alicja obudziła się z czarnymi pasemkami pomalowanymi przez oddaną przyjaciółkę markerem. Eufrozyna z kolei miała brwi podkreślone krwistoczerwonym lakierem do paznokci. O ile lakier dało się w miarę łatwo zmyć, o tyle marker pozostał nieczuły na jakiegokolwiek zabieg. Ponowne farbowanie nie wchodziło w grę, bo Alicja musiałaby najpierw zdjąć nałożony przed tygodniem kolor, na co w ferworze przedwyjazdowych przygotowań nie miała czasu. W konsekwencji, gdy na początku lipca wylatywały do Nowego Jorku, Alicja miała stylową króciuteńką fryzurę. Co ciekawe, jak doniosła im niezawodna w tej kwestii Renatka, niedługo później wszystkie hollywoodzkie gwiazdy zaczęły się podobnie czesać. Mimo to Alicja głęboko przeżyła rozstanie ze swoimi długimi włosami i poprzysięgła sobie nigdy, przenigdy nie dotknąć ani nie pozwolić dotknąć swej twarzy, ani najlepiej w ogóle nie poddawać się żadnym zabiegom kosmetycznym lub fryzjerskim w stanie upojenia alkoholowego. Eufrozyna, czując się współodpowiedzialna za spustoszenie na głowie przyjaciółki, również złożyła taką przysięgę.

Mając to zdjęcie, Zoey mogłaby pokazać Alicji, z jakim poświęceniem dotrzymywała danego jej przed laty słowa. Nie dotknęła twarzy przyjaciółki nawet mleczkiem do demakijażu. Poza tym Alicja, która słynęła z pedanterii, schludności, uporządkowania, dbałości o każdy detal swojego wyglądu, z pewnością będzie chciała zachować taką fotografię ku przestrodze przed nadużywaniem trunków Damazego.

Przeszkodą w zrobieniu wiekopomnego portretu był brak aparatu lub przynajmniej telefonu komórkowego w okolicy, którą dało się ogarnąć przy pomocy jednego otwartego oka. Eufrozyna spróbowała na początek określić własne położenie. Jak się okazało metr siedemdziesiąt jej ciała był proporcjonalnie rozciągnięty pomiędzy tapczanem a podłogą. Nos zaś, wciśnięty w starego pluszowego misia, uniemożliwiał oddychanie inaczej niż przez usta, w wyniku czego były one suche jak wiór. Usiłowała rozejrzeć się szerzej po pokoju, ale szybko zamknęła oczy. Znowu okropnie kręciło jej się w głowie. Poleżała chwilę w czerwonej ciemności. Żadna z dziewcząt nie pomyślała o zgaszeniu światła na noc i po wydobyciu twarzy z miękkich objęć misia, jasny, ledowy blask za wszelką cenę usiłował się wcisnąć pod

powieki Eufrozyny. Od tego wszystkiego zrobiło się jej jeszcze gorzej. Znów otworzyła oczy. Patrząc prosto w żarówkę, miała wrażenie, że powietrze wokół faluje jakby od upału, co było dość nietypowe, biorąc pod uwagę porę roku.

„Żalotne”, pomyślała. „Nie ma to jak zacząć Nowy Rok w towarzystwie chrapiącej przyjaciółki, tuląc się do maskotki, z kacem, zaschniętymi ustami ziejącymi nieświeżym oddechem i zapewne niezmytym makijażem”.

Całą siłą woli zmusiła się do wstania. W pionie było zdecydowanie gorzej. Jeśli czegoś w ogóle mogła być w tym stanie pewna, to tego, że jeśli zaraz nie napije się wody, rozpadnie się na tysiąc kawałeczków. Wody! Uznała, że aparat będzie musiał poczekać, aż ustanie irytujące dzwonięcie w uszach, a ona sama odzyska władzę nad swoimi zmysłami umożliwiającą jakiegokolwiek rozeznanie w przestrzeni.

Zostawiła więc śpiącą głośno Alicję w pokoju i poszła do kuchni, skąd dobiegały już odgłosy porannej krzątania. Dziadek, nieskazitelnie ogolony, roztaczający wokół siebie delikatny zapach mydła i wody kolońskiej, kroił pietruszkę, pogwizdując wesoło. Eufrozyna rzuciła się na stojący na blacie dzbanek z wodą. Zaspokoiwszy nieco pragnienie, usiadła na stołeczku obok nagrzanego już piekarnika. Przez chwilę przyglądała się dziadkowi. Jego ruchy były szybkie i precyzyjne. W kuchni panował idealny porządek, choć widać było, że dziadek szykuje jakiś przysmak na świąteczne śniadanie. Po raz kolejny uderzyła ją myśl, że to naprawdę niesamowite, iż ten perfekcyjny starszy pan jest artystą, a nie wojskowym.

– Która godzina? – zapytała mocno ochrypłym głosem.

– Dochodzi siódma – odpowiedział rażno dziadek, wsypał posiekaną pietruszkę do szklanki z czymś, co pachniało i wyglądało jak świeżo wydobyte z szamba, po czym podał wnuczce. – Masz, pij.

Dziadek przyrzędził dla niej swoje niezawodne lekarstwo na kaca. Była to najobrzydliwsza rzecz na świecie, ale skuteczna jak nic innego. Sam Damazy nigdy z niego nie korzystał, bo, jak często podkreślał, mocną głowę odziedziczył po sarmackich przodkach, podobnie jak recepturę eliksiru. Mimo to miał nie lada wprawę w jego przyrzędzaniu. W trakcie swojej wieloletniej kariery śpiewaczej niejednokrotnie raczył

tym specyfikiem kolegów muzyków. Zwłaszcza tych, którzy ulegli pokusie podjęcia próby dotrzymania mu kroku w picu tuż przed ważnym koncertem. Eufrozyna jak dotąd nie poznała składu mikstury Damazego. Upojenie wiśniówką pozostało słodką tajemnicą domku na działce rodziców Alicji. Dziadek obiecał, że zdradzi jej recepturę sarmackich felczerów na łożu śmierci. O ile zdąży, oczywiście, bo miał jeszcze wiele innych rzeczy do przekazania w tej podniosłej chwili. Póki co dziękowała losowi za upodobanie dziadka do patosu. Czasem lepiej nie wiedzieć co się pije, zwłaszcza gdy zapach i wygląd są, delikatnie mówiąc, odpychające, a człowiek i bez tego jest w kiepskim stanie. Zoey wzięła głęboki wdech, zatkała nos i jednym haustem wypięła zawartość szklanki. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i przez moment myślała, że zwymiotuje, gdy lepka, cuchnąca, grudowata substancja spływała jej przez przętyk. Najpierw zrobiło jej się gorąco, potem zimno, a na koniec poczuła, że jest jakby ciut lepiej.

– Skąd wiedziałeś?

– Zjrzałem do was, gdy wróciłem do domu. Obraz nędzy i rozpacz, jaki zobaczyłem, mówił sam za siebie. – Dziadek rzucił jej sugestywne spojrzenie, w którym wyczuwała lekki wyrzut. – Aż tak źle?

– Wszystko jest dobrze. – Zoey zdobyła się na sztuczny uśmiech. – Po prostu trochę za dużo wypiliśmy z Alicją.

– Zauważyłem, ale nie o to pytam.

Eufrozyna spięła się mimowolnie.

– A o co? – zapytała bojowym tonem.

– Alicja to Alicja. Ona może robić, co chce. To babka z charakterem. Ma mocną głowę i równie mocno stąpa po ziemi.

– Jasne, zapomniałam, że Alicja to twoja ulubienica – wtrąciła Zoey, starając się zabrzmieć tak złośliwie, jak to tylko możliwe w jej obecnym położeniu.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa i zachowuje się jak rozpieszczona nastolatka, ale nadal było jej lekko niedobrze, bolała ją głowa, a pytania dziadka drażniły niemiłosiernie. Nie miała siły ani nerwów, by na nie odpowiadać.

– Nie o to chodzi – odparł spokojnie dziadek, ignorując nedorzeczną uwagę.

– Tylko o to, że za dużo wypiałam, tak? Przypominam ci, że mam trzydzieści dwa lata i od ponad dekady jestem pełnoletnia.

– Wiem dokładnie, ile masz lat i nie gniewam się o liczbę opróżnionych karafek. Sam ci je przecież dałem. Niepokoi mnie tylko przyczyna stanu, w jakim się obecnie znajdujesz.

– Przyczyna jest dość łatwa do ustalenia – zakpiła Eufrozyna. – Wystarczy zajrzeć do kalendarza, zobaczyć, z jakiego powodu dziś w nocy wszyscy raczyli się napojami wyskokowymi i wyciągnąć właściwe wnioski.

– Raczyć się, a upijać do nieprzytomności, to dwie różne rzeczy. Zwłaszcza jeśli ktoś, tak jak ty, w ogóle nie przepada za mocnymi trunkami.

– Czyli jednak... – zaczęła znów agresywnie, ale dziadek nie dał sobie przerwać.

– Żadne „jednak”. Zoey, zrozum, że nie mogę się nie martwić, gdy moja piękna, mądra i bardzo wrażliwa wnuczka upija się jak stary wojak. Nic na to nie poradzę, martwię się i już. Moje prawo – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – Jeśli moja wnuczka tak się zachowuje, to znaczy, że ma jakiś powód, że coś się dzieje w jej wnętrzu. Sądząc po rozmachu wczorajszej pijatyki, jest to raczej coś niedobrego. Na żołądek i głowę znam lekarstwo. Może i na duszę potrafiłbym jakieś znaleźć, ale muszę znać objawy.

Eufrozyna przez chwilę nic nie mówiła. Zawstydził ją cichy ton jego głosu, w którym pobrzmiwała troska. Na domiar złego słowa dziadka trafiły w samo sedno i obudziły drzemiące, a raczej usypiane ze wszystkich sił, wyrzuty sumienia. Bojowy nastrój odszedł w niepamięć równie szybko, jak się pojawił. Zoey spuściła głowę. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, jak ubrać w słowa wszystko, co działo się w jej sercu.

Dziadek czekał, lepiąc dalej maleńkie drożdżowe rogaliki. Napelniał kawałki pulchnego ciasta konfiturą różaną, a potem zgrabnymi palcami, obciążonymi cieniutką, prawie przezroczystą, pomarszczoną skórą, formował szybciotko kształtne ciasteczka. Długie życie nauczyło go cierpliwości, zwłaszcza w relacjach z ludźmi. Nie zadawał pytań, niczego nie sugerował, nie popędzał wnuczki. Wiedział, że jeśli będzie chciała, sama o wszystkim opowie. Jeśli nie, będzie musiał otoczyć ją

jeszcze większą czułością i uważniej się przyglądać. Może wówczas uda mu się ustalić przyczynę jej przygnębienia. Ułożył ostatni księżyc na brązowym, szeleszczącym papierze do pieczenia, wsadził blachę do piekarnika, zdjął fartuch i usiadł naprzeciwko dziewczyny. Ze stojącego na podgrzewaczu staroświeckiego imbryka nalał herbaty do dwóch filiżanek. Siedzieli tak w milczeniu przerywanym od czasu do czasu odgłosem pykania grzałek w piekarniku. Z głębi mieszkania dało się słyszeć chrapanie Alicji. W korytarzu tykał wiszący na ścianie zegar, miarowo odliczający pierwsze chwile Nowego Roku. Za oknem było szaro. Wielkie, ciężkie od śniegu chmury powoli zakrywały niebo.

Zoey patrzyła na tę niemrawą grę obłoków na zewnątrz i czuła ciężar coraz mocniej osiadający jej na piersi. Dziadek miał rację. Nie lubiła mocnych trunków. A jeszcze bardziej nie lubiła nie panować nad sobą, nie wiedzieć, kim jest, co robi i dlaczego. Lubiła porządek, ład wewnętrzny, dający poczucie bezpieczeństwa. Zagubienie, które ostatnio było jej udziałem, znosiła z trudem. Siedząc w pogodnej, jasno oświetlonej kuchni, otulona zapachem drożdżowego ciasta, ciepłem bijącym od piekarnika i zachęcona dyskretnym milczeniem dziadka, zapragnęła nagle wylać z siebie wszystkie smutki tak, jak to robiła, będąc dziewczynką. Siadała wtedy na kolanach dziadka, wtulała twarz w jego śnieżnobiałą, pachnącą proszkiem i żelazkiem koszulę i szeptała mu swoje troski. Nigdy się z niej nie śmiał i nawet największe błahostki traktował z należytą powagą. Tak jakby sprawa zaginionego plastikowego oczka z bransoletki lub to, że koleżanka nie chciała grać z Zoey w gumę na podwórku była i dla niego, dorosłego, poważnego człowieka tak istotna jak dla dziewczynki. Dziadek rozumiał, że dla niej w tym konkretnym momencie świat kręcił się dookoła tego oczka i tej gry w gumę. Wiedział, że za godzinę wnuczka nie będzie o niczym pamiętać, a mimo to traktował każde jej zmartwienie całkiem serio. Podobnie jak w późniejszych latach martwił się wraz z nią kłótniami z Alicją, rozterkami miłosnymi, gorszą oceną w szkole czy tęsknotą za wciąż nieobecnymi rodzicami. Nie potrafiła sobie przypomnieć rad, których jej udzielał. Pamiętała za to słodkie poczucie bezpieczeństwa, za którym tak tęskniła, ilekroć w trudnych chwilach życia była daleko od niego. Poczowała gulę w gardle, a do oczu napłynęły jej łzy na samą myśl,

że kiedyś mogłoby go przy niej zabraknąć w taki dzień jak dziś.

– Sama nie wiem – zaczęła niepewnie. – Chyba przestałam ogarniać rzeczywistość wokół siebie. To znaczy chodzę do pracy, nadal angażuję się w sprawy zawodowe, spotykam z przyjaciółmi i tak dalej, ale coś się zmieniło. Nie wiem kiedy, nie wiem co i nie wiem jak. Często mam wrażenie, jakby wszystkie te niby moje sprawy toczyły się obok, jakbym nie brała udziału we własnym życiu, tylko oglądała je z daleka, nie mając na nic wpływu. O rety, ale głupoty.

Przerwała, speszona nagle własną otwartością. Zaczęła się zastanawiać, kiedy straciła dawną swobodę w relacji z najbliższą jej osobą na świecie, jaką był dziadek. Może to jest właśnie oznaka dorosłości, że traci się tę dziecięcą ufność i bezpośredniość, nawet w stosunku do bliskich. Napila się herbaty, żeby ukryć zmieszanie. Parujący, rubinowozłoty napój był mocny i aromatyczny. Dziadek mieszał kilka rodzajów liści w sobie tylko znanych proporcjach, a potem parzył herbatę z zegarkiem w ręku, by uzyskać idealny napar. Zoey ukryła twarz za filiżanką. Z całą pewnością była już od dawna zbyt dorosła, za stara na zwierzanie się dziadkowi. Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Znała jego uwielbienie do ciętych uwag, złośliwych komentarzy, które zresztą nierzadko działały naprawdę pokrzepiająco. Gdy wreszcie odważyła się podnieść wzrok, spostrzegła, że wcale się nie śmieje. Zamyślony, mieszał łyżeczką w herbacie.

– Czegoś mi brakuje – podjęła znowu, jeszcze ciszej niż poprzednio, zachęcona jego dyskrecją. – Jakaś część mnie jest gdzieś daleko, a ja nie mogę jej odnaleźć. Dotąd mi to nie przeszkadzało, ale ostatnio wyrwa robiła się jakby większa i rośnie z każdym dniem. Sama nie wiem... Jakbym za czymś tęskniła, ale nie wiem za czym, więc nie mogę tej tęsknoty zaspokoić. To mnie denerwuje i męczy.

– Nie tęsknisz za czymś tylko za kimś – powiedział spokojnie dziadek, podnosząc nagle wzrok i patrząc jej prosto w oczy. Jego niebieskie tęczęwki były tak jasne, że prawie niedostrzegalne na tle białek. Mimo to wciąż tliły się w nich złociste płomyczki życia, jakby iskry energii młodości buchającej wewnątrz tego starego ciała.

Zoey czuła, że się czerwieni. Spuściła wzrok i znów pociągnęła łyk herbaty z filiżanki. Gorączkowo pytała samą siebie, dlaczego jest taka

łatwa do przejrzenia. Czy naprawdę jest aż tak żałosna, iż dziadek musi jej przypominać, że powinna sobie kogoś znaleźć? Że zegar biologiczny tyka, jak zgrabnie ujęła to ostatnio jej druga przyjaciółka, słynąca z dosadności i bezpośredniości – Kaśka.

– I nie chodzi mi o zegar biologiczny – podkreślił dziadek.

Eufrozyna aż podskoczyła na krześle. Czytał jej w myślach jak w otwartej księdze i jak zawsze budziło to w niej jednocześnie podziw i strach. Niemożność zachowania własnych myśli dla siebie stawiała ją co najmniej w niekomfortowym położeniu.

– Serce człowieka już jest tak zaprogramowane, że musi gdzieś mieć swoje miejsce. Chyba nadeszła pora, żebyś i ty poszukała jakiegoś schronienia dla swojego.

– Ale przecież sam powtarzasz, że, tego... Że miłości się nie szuka, sama przychodzi.

– Niby tak, ale jak nie przychodzi, a się za nią tęskni, to może trzeba szerzej otworzyć oczy albo wziąć sprawy w swoje ręce i jednak rozejrzeć się troszkę dokładniej. – Posłał wnuczce promienny uśmiech, a w jego oczach pojawiły się dobrze znane iskierki zwiastujące nadejście uszczypliwości. – Zawsze lepsze to niż pijaństwo. Poza tym musisz się czymś zająć, bo moje zapasy likierów nie są niewyczerpane, a poezji, o ile mi wiadomo, pisać nie umiesz.

Ostatnie zdanie wypowiedział takim tonem, że Zoey nie mogła się nie roześmiać. Dziadek z wyraźną przyjemnością jej zawtórował. Cały on – idealny kompan do płaczu i do śmiechu. Gromka salwa śmiechu musiała obudzić Alicję. Stała w progu, wyglądając jak dokładne zaprzeczenie samej siebie.

– Nie możecie być trochę ciszej? Zmęczeni ludzie naprawdę potrzebują snu.

Dziadek i wnuczka spojrzeli na siebie i, sami nie wiedząc dlaczego, znów zaczęli się śmiać. Alicja przewróciła oczami, zasłoniła ostentacyjnie uszy rękami i kompletnie bez gracji opadła na najbliższe krzesło. Śmiejąc się, Zoey poczuła się lekka jak piórko. Ciężar zniknął z jej piersi. Wzięła głęboki wdech i przeciągnęła się. Dziadek jak zwykle zadziałał pokrzepiająco i w tajemniczy sposób dodał jej otuchy. Zadzwoił dzwonek odmierzający czas pieczenia rogalików. Dziadek

wstał i klepnął wnuczkę po ramieniu.

– Będzie dobrze. Musi być. To ja nakrywam do stołu, a ty idź się umyć. Zaczynaj proszę od zmycia makijażu, bo wyglądasz przerażająco. A, i jeszcze jedno. – Zatrzymał ją. – Jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, to bardzo cię proszę, wybierz zawczasu kreację na karnawałowy bal naszej spółdzielni mieszkaniowej. Wolałbym, żeby w tym roku obyło się bez płaczu i karczemnych awantur.

To mówiąc, mrugnął do wnuczki zawadiacko, a ona, zamiast się obruszyć, puściła do niego oko i skinęła głową, po czym posłusznie udała się do łazienki.

Gdy wróciła odświeżona i pachnąca mydłem Biały Jeleń, miała wrażenie, jakby od porannego kaca i przykrych refleksji nad własnym życiem dzieliły ją wieki. W salonie, przy odświętnie nakrytym stole, siedziała Alicja, ze szklanką dziadkowej mikstury w dłoniach. Wąchała ją podejrzliwie i, delikatnie przechylając naczynie, próbowała sprawdzić konsystencję. Zoey wybuchnęła śmiechem. Tak dobrze było swobodnie się pośmiać. Nic nie pomogły groźne spojrzenia rzucane zza stołu przez przyjaciółkę. W Eufrozinę wstąpiła jakaś niczym nieuzasadniona nadzieja. Po porannej rozmowie z dziadkiem zyskała irracjonalną pewność, że wszystko się ułoży.

II

– Dziadku! – wrzasnęła Eufrozyna, stojąc w szlafroku na środku korytarza.

Damazy wychynął ze swojego pokoju, ubrany w strój muszkietera specjalnie wypożyczony na tę okazję z teatru.

– Dziadku, czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego znów idziemy na ten kretyński bal? – zapytała obrażonym tonem.

– Bo będą tam nasi sąsiedzi, których szanujemy i z którymi lubimy spędzać czas – z prostotą odpowiedział Damazy, stając przed wielkim lustrem i zawiązując sobie chustkę na szyi.

– A nie spędzasz z nimi wystarczająco dużo czasu na co dzień? W poniedziałki i czwartki sąsiedzki brydż, w soboty siatkówka. O pogawędkach w windzie, na korytarzu czy balkonie podczas palenia nie wspomnę – wyliczyła poirytowana Zoey. – Może w tym roku dla odmiany zostalibyśmy w domu, co?

– Odnoszę wrażenie, że co roku składasz mi podobną propozycję – zaśmiał się Damazy.

– Tak, bo odkąd skończyłam dziesięć lat, te bale wcale mnie nie bawią! Nie chcę tam iść!

– To nie idź... – westchnął ciężko dziadek.

– Nie zaczynaj... – warknęła ostrzegawczo Eufrozyna, ale jej złowrogi ton nie zrobił najmniejszego wrażenia na Damazym.

– Niczego nie zaczynam – rzekł z godnością. – Mówię, co myślę. Proszę, zostań w domu, zajmij się swoimi sprawami, zamiast spędzić parę chwil z sędziwym dziadkiem. Pozbaw samotnego wdowca jego jedynej rozrywki...

– Dziadku... – błagalnie jęknęła Zoey.

– No dobrze, może nie jedynej. – Damazy powściągnął nieco swoje dramatyczne zapędy i dodał: – Ale jednej z nielicznych. Kto wie, czy to nie mój ostatni bal?

Ten argument przeważał szalę od dekady. Eufrozyna poczuła złość, że dziadek tak zgrabnie nią manipuluje, i jednocześnie ogromny żal, że prędzej czy później jego wróżby się spełnią.

– To nie w porządku! – wykrzyknęła, ogarnięta skrajnymi emocjami. – Czemu wygadujesz takie głupstwa?

– A czemu ty nie możesz spędzić ze mną tak po prostu jednego wieczoru w roku? – odpowiedział pytaniem dziadek. – Bez marudzenia, bez jęków i użalania się, tak po prostu, jak wdzięczna swemu antenatowi wnuczka?

Eufrozyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Damazy pysznie się bawi, pojedynkując się z nią na słowa i mocno zużyte w latach poprzednich argumenty. Mimo to nie mogła wyzbyć się poczucia winy, które nagle cichutko odezwało się w jej duszy, nakazując, by poszła na bal, jeśli tak niewiele potrzeba, by uszczęśliwić dziadka.

– Dziadku, ja naprawdę nie znoszę tego balu. – Próbowała jeszcze

jakoś się wywinąć, lecz już wiedziała, że po raz kolejny przegrała batalię. – Te wszystkie wścibskie sąsiadki plotkujące o wszystkich i wszystkim...

– Nie przesadzaj...

– Jako najmłodsza, niezamężna i bezdzietna będę jak co roku w centrum zainteresowania wszystkich swatek od siedmiu boleści. No i kostium... Kto w dzisiejszych czasach bawi się w bale kostiumowe?!

– W karnawale? – upewnił się dziadek. – Wszyscy!

Zoey wymamrotała pod nosem słowa, które zdecydowanie nie nadawały się do powtórzenia. Damazy udał więc, że ich nie słyszał. Obciągnął kamizelkę, poprawił pasek i spojrzał zadowolony w lustro.

– Jeszcze kapelusz i będzie elegancko – podsumował, nie bez satysfakcji wpatrując się w swoją postać w przebraniu. – A ty? Czemu jeszcze nie jesteś gotowa?

Zoey zmeła w ustach kolejną porcję przekleństw i posłusznie poszła do pokoju. Na łóżku leżała wściekle różowa, idealnie niewspółgrająca kolorystycznie z jej naturalnie rudymi lokowanymi włosami, sukienka na kole, z krynoliną i mnóstwem falbanek. Zapobiegliwy dziadek wypożyczył strój także dla niej. Ponieważ jednak przypomniał sobie o wnuczce dosłownie w ostatniej chwili, zostały już tylko stroje tancerek wątpliwej moralności z *Carmen*. Wyobraziła sobie, jak kuriozalnie będzie się prezentowała jej filigranowa postać w tej strojnej sukni zaprojektowanej i uszytej dla jakiejś rosłej śpiewaczki operowej.

– Dokładnie tak, jak trzeba: jak błazen – westchnęła ciężko Zoey i z ociąganiem zaczęła się przebierać, wciąż marząc o jakimś kataklizmie, wypadku losowym czy chociażby nagłym ataku rotawirusa, który pozwoliłby jej zostać w domu, zamiast wystawiać się na pośmiewisko i wścibskie komentarze całej okolicy.



Gdy tylko weszli do osiedlowej świetlicy specjalnie na tę okazję przyozdobionej balonami i serpentynami, Damazy zniknął w tłumie znajomych, zostawiając wnuczkę samą. Zoey po raz tysięczny obiecała sobie, że w przyszłym roku nie da się wrobić. Będzie silna i odporna na dziadkowe szantaże emocjonalne. Nie da się podpuścić. Zostanie w domu i spędzi ostatni wieczór przerwy od pracy w piżamie i kapciach, oglądając filmy z Clintem Eastwoodem. Za rok o tej porze żadna siła nie wyciągnie jej z domu.

– Herbatki? – męski głos wdarł się brutalnie w jej myśli.

Zoey zamarła, przekonana, że ujrzy sąsiada-zboczeńca, którego w myślach nazywała od lat Oblechem. Był to podstarzały amant, który wyraźnie nie dostrzegał upływu czasu i nadal z godnym podziwu zapalem usiłował roztaczać swój zwierzęcy magnetyzm na coraz to młodsze ofiary. Eufrozynę dopadł na zeszłorocznym balu i przez trzy kwadransy raczył wyrafinowanymi dowcipami erotycznymi rodem z męskich gazetek najniższego sortu, na koniec zaś zaproponował, by poszli do niego.

– Widzisz, dziecińo, w życiu trzeba być odważnym, nie bać się eksperymentować, poznawać nieodkrytego – rzekł, oblizując tłuste wargi. – Starszy ekhm... partner może cię, dziecińo, wiele nauczyć. Wprowadzić w tajniki ten... tego... sztuki kochania.

Eufrozyna prychnęła popijanym właśnie piwem. Oblech zachichotał i zatarł ręce.

– Mmm... Wyczuwam entuzjazm, a będzie tylko lepiej, wierz mi, dziecińo. Z seksem jest jak z piwem – zaczął konspiracyjnie, rozglądając się na boki, jakby zdradzał jej sekret produkcji diamentów w mikrofalówce. – Odpowiednia atmosfera pojawia się z czasem, w miarę spożywania.

Z opresji wyratował Zoey wówczas niczego nieświadomy dozorca, który przyniósł Oblechowi wiadomość, że jego samochód stoi pod

blokiem z zapalonymi światłami. Jak na prawdziwego samca przystało, sąsiad bez słowa pożegnania porzucił ofiarę swoich zalotów i popędził ratować ukochane autko przed rozładowaniem się akumulatora.

Zoey wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Po chwili jednak odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że zamiast Oblecha spod dwudziestki, którego obawiała się ujrzeć, tuż obok niej, przebrany w strój pirata, stał Robert – sąsiad z parteru, towarzysz zabaw z dzieciństwa. Ich życiowe drogi jakoś nigdy nie wiodły w tę samą stronę. Nie mieli wspólnych zainteresowań ani znajomych, w zasadzie, mimo lat spędzonych na tym samym podwórku, niewiele o sobie wiedzieli. Była to klasyczna relacja sąsiedzka, podszyta życzliwością mającą swe korzenie na trzepaku; nic poza tym.

– A masz coś do tej herbatki? – odpowiedziała z uśmiechem. Głębokie poczucie ulgi wprawiło ją w doskonały nastrój. – Najlepiej coś, co pomogłoby mi przetrwać ten idiotyczny bal?

Robert podrapał się po brodzie, udając zamyślenie.

– Eklerki pani Halinki spod ósemki! – wykrzyknął radośnie.

Bezceremonialnie złapał Eufrozynę za rękę i pociągnął w stronę stolika pod oknem. Po chwili zajadali się eklerkami, usiłując w miarę możliwości nie ubrudzić swoich wspaniałych kostiumów.

– Już mi lepiej. Wprawdzie nie do końca to miałam na myśli, ale podziałało – powiedziała, ocierając palce z bitej śmietany.

– Eklerki czy moje towarzystwo?

– Oczywiście twoje towarzystwo – odpowiedziała Zoey ze śmiechem. Dwie pyszne eklerki domowej roboty sprawiły, że uczucie irytacji zniknęło bez śladu. Podobnie jak towarzystwo Roberta, dzięki któremu uniknęła rozmów ze wścibskimi sąsiadkami, ciastka działały na nią rozweselająco. – Co tu robisz o tej porze roku? – zagadnęła.

– Ratuję cię z opresji, jak na dobrego pirata przystało – odparł pogodnie.

– Ach, jakże ci jestem wdzięczna, mój wybawco! – zawołała Zoey, składając wdzięcznie rączki w teatralnym geście. – A tak na poważnie?

– Niedawno wróciłem z Mozambiku i przywiozłem sporo zdjęć. Niektóre z nich wzbudziły zainteresowanie kilku osób i teraz trwają przygotowania do wystawy.

Opowiadał dalej z zaangażowaniem i pełną swobodą, charakterystyczną dla znajomości z dzieciństwa, tak jakby nie widzieli się dzień czy dwa, a nie... Zoey zastanowiła się. Ponad pięć lat! Spojrzała na Roberta. Niewiele się zmienił. Zapuścił brodę, ale dodawała mu ona nie lat, a nieco zawadiackiego uroku, zwłaszcza, że daleko jej było do modnych obecnie wypielęgnowanych zarostów, które nosiła połowa jej znajomych. Każdy włos na jego brodzie rósł, jak chciał, nieskrępowany, nieprzycinany, podążający jak jego właściciel w jedynie sobie znanym kierunku. Reszta pozostawała pozornie bez zmian, choć Eufrozyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Robert wyprzystojniał, odkąd widzieli się po raz ostatni. Mężczyzna był jak dawniej opalony nawet w środku zimy, szczupły i żyłasty, a rękawy jego pasiastej pirackiej koszuli w okolicy bicepsów zdawały się pękać w szwach. Rozmyślenia przerwał jej ryk z głośnika zawieszzonego tuż nad ich głowami.

„Rudy, rudy, rudy rydz...”, popłynęła melodia, która wywołała okrzyk entuzjazmu na sali.

– O nie! – wrzasnęła Zoey, przekrzykując muzykę. – Pani Wanda przejęła rolę didżeja!

– Kto? – odkrzyknął Robert.

– Pani Wanda!

– Pani Wanda?! Przecież ona nie słyszy!

– Dlatego podgłośniła muzykę! – krzyknęła Zoey, rozkładając bezradnie ręce.

– Spadamy stąd! – wrzasnął Robert.

– Ale jak? Nie wypuszczą nas!

– Zostaw to mnie! – zawołał Robert i drugi raz tego dnia wziął ją za rękę.

Miał dużą, ciepłą i twardą dłoń. Zoey szybko odpędziła nagłą myśl o tym, jak przyjemnie jest być prowadzoną w nieznaną przez niewątpliwie przystojnego mężczyznę, nawet jeśli jest, zawsze był i zawsze będzie tylko kolegą. Robert poprowadził ją szeregiem ciemnych, wąskich korytarzy, oświetlonych jedynie starymi, zwisającymi smętnie na kablach, dopalającymi się żarówkami, bzyczącymi złowieszczo; była to sceneria rodem z horroru lub

przynajmniej serialu kryminalnego o żądnym krwi psychopatycznym mordercy krążącym po piwnicach starych osiedli. Zoey ciarki przeszły po plecach i mimowolnie mocniej uścisnęła dłoń Roberta.

– Już niedaleko – powiedział z prostotą i uśmiechnął się, dodając jej otuchy.

Ku jej zdziwieniu wyszli tuż przy stróżówce, w której tego wieczoru urządzono prowizoryczną szatnię. Odetchnęła z ulgą. Zza wielkich drzwi świetlicy dochodziły odgłosy zabawy.

– Spacer? – zaproponował Robert, a widząc jej niepewną minę, dodał: – Łyk świeżego powietrza ułatwia zdrowy i mocny sen.

Zoey spojrzała na swoją sukienkę i na strój Roberta.

– Chętnie, ale może innym razem? Nie jesteśmy chyba odpowiednio ubrani.

– Kurtki, czapki i szaliki mamy, a wszystkie osoby, które mogłyby skomentować wieczorne włóczenie się po osiedlu w tych strojach wirują teraz „w rytmie cza-cza” – zaśpiewał, pomagając jej włożyć kurtkę na krynolinową konstrukcję. – No, chodź. Nie daj się prosić. Na pół godzinki. „Już nie masz siły, już nie masz siły, już nie masz siły przed spacerem bronić się” – zanucił i okręcił Zoey w rytm muzyki.

Eufrozyna roześmiała się głośno. Po czym sama położyła sobie palec na ustach.

– Dobra, chodźmy, zanim nas usłyszą – szepnęła.

– Jedno jest pewne, DJ Wandzia zadba, by nikt niczego nie usłyszał przez wiele, wiele dni – powiedział Robert, otwierając przed nią drzwi. – Panie przodem.

III

– Jak bal? – zagadnęła Alicja, gdy następnego dnia rano szły razem od przystanku autobusowego do szkoły. – Przeżyłaś?

Zoey skinęła głową.

– Nie dość, ze przeżyłam, to nawet dobrze się bawiłam.

Alicja spojrzała na nią podejrzliwie.

– Oblech spod dwudziestki?

– O, tak! To był niezapomniany wieczór – zakpiła Zoey. – Nie Oblech. Robert Skalski, pamiętasz go?

Alicja zatrzymała się w pół kroku.

– Robert? – zapytała zszokowana. – Robert Kincaid?! Boski Kincaid?!

Zoey zaśmiała się. Zapomniała o przezwisku, które nadały Robertowi po obejrzeniu *Co się wydarzyło w Madison County*. Pasowało idealnie. Jej sąsiad także był fotografem- podróżnikiem, choć zdaniem Alicji, o wiele przystojniejszym od Eastwoda.

– No tak, Kincaid – przytaknęła.

– I co? – emocjonowała się Alicja.

– Z czym? – Zoey wydawała się niewzruszona.

– No z Kincaidem! Jak wygląda? Co mówił? No, wszystko!

O Boże! Mów, jak było?!

– Wygląda jak dawniej, tyle że zapuścił brodę. A było normalnie, miło. Wypiliśmy herbatę, zjedliśmy eklerki, pożartowaliśmy, a potem urwaliśmy się z balu na spacer. Krótki, bo było piekielnie zimno.

– I?

– I tyle.

Alicja patrzyła na Zoey, nic nie rozumiejąc.

– Jak to?

– No, tak to. Pomógł mi przeżyć obowiązkowy kwadrans na balu, a potem ułatwił ucieczkę. O, zapomniałam ci powiedzieć! Słuchaj, mieszkam w tym bloku od trzydziestu lat, a do wczoraj nie wiedziałam, że nasza osiedlowa świetlica ma tylne wyjście!

– Ty jesteś nienormalna – skwitowała z poważną miną Alicja. – Spędziłaś wieczór z facetem, któremu sam boski Clint nie dorasta do pięt, i wzbudza to w tobie mniej emocji niż odkrycie dodatkowych drzwi w świetlicy?!

Eufrozyna roześmiała się głośno.

– A, bo ty wszystko źle zrozumiałaś. My na ten spacer poszliśmy ot tak, po prostu. Bez żadnych podtekstów.

– Z jego strony też? – Alicja uniosła brwi. – Z tego, co pamiętam, Kincaid nigdy nie miał w zwyczaju włóczyć się po osiedlu, tylko

przesiadywał dniami i nocami w tej swojej ciemni w piwnicy, o ile w ogóle był w domu.

– I nadal tak robi.

– A jednak wczoraj włóczył się z tobą...

– Bo mu się nudziło na balu – cierpliwie tłumaczyła Eufrozyna, nadal nie dostrzegając w tym nic niecodziennego.

– To po co w ogóle na niego przyszedł? – zapytała szybko Alicja.

Zoey otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie znalazła żadnego sensownego wyjaśnienia. Rodziców Roberta na balu nie było. Zresztą nawet gdyby byli, on sam z całą pewnością nie pojawiłby się, gdyby nie chciał. Teoria, iż przyszedł, żeby dobrze się zabawić, nie wchodziła w grę. Nikt poza emerycką śmietanką osiedlową nie bawił się tam dobrze. Samotność uwielbiał, a z tego, co opowiadał jej podczas spaceru, wynikało, że ma pełne ręce roboty przed zbliżającą się wystawą jego prac w Berlinie, a zatem i nuda nie była powodem. Alicja dostrzegła jej zmieszanie.

– A widzisz! – powiedziała z satysfakcją, po czym wypowiedziała zdanie, które w tej samej chwili niespodziewanie zaświtało w głowie Zoey: – On tam przyszedł dla ciebie. Wchodzimy, bo zimno.

Eufrozyna posłusznie weszła za przyjaciółką po schodach do szkoły. Ostatnie zdanie Alicji przebrzmiewało w jej uszach i choć podobny scenariusz zupełnie nie mieścił się jej w głowie, mimowolnie zaczęła analizować jego prawdopodobieństwo. Nim jednak zdołała dojść do jakiegokolwiek konstruktywnego wniosku, huk i harmider wywołane przez dziesiątki dzieci wysypujących się z klas na przerwę skutecznie rozproszył jej marzenia o polskim Kincaidzie.

IV

– Wspominałam już, że nienawidzę tej cholernej przerwy świątecznej? – jęknęła Alicja, zalewając wodą kawę rozpuszczalną.

Zoey i Marzena spojrzały na siebie zdziwione. Alicja znana była w całej szkole ze swojego zamiłowania do dni wolnych. Wiedzieli to

wszyscy z uczniami włącznie. Ci ostatni, zwłaszcza z wychowawczej klasy Alicji – szóstej B – raz po raz podejmowali próby przekucia preferencji nauczycielki na własną korzyść. Szóstej B, z rezerwowym Maćkiem Wilkowskim na czele, nader często udawało się nakłonić Alicję na wycieczkę, skrócenie przewidzianych programem nauczania pogadanek umoralniających, wspólne wyjście na lody czy lekcje na boisku. Dyrektorka kręciła nosem i co jakiś czas podejmowała próbę ukrócenia tych praktyk. Było to jednak o tyle trudne, że, ku jej zgorszeniu i wyraźnemu zniesmaczeniu, klasa Alicji miała najlepsze wyniki w nauce, trzech olimpijczyków, baletnicę, a do tego z chęcią brała na siebie organizowanie wszystkich akademii szkolnych. Alicja kochała wolność i lubiła się nią dzielić z innymi, co nie stało w sprzeczności z byciem pedantycznym, skrupulatnym i wymagającym nauczycielem. Mogło być miło, ale tylko wtedy, gdy jej uczniowie przestrzegali zasad, a przede wszystkim uczyli się, uczyli i jeszcze raz uczyli – jak zwykła kończyć każdą ich lekcję wychowawczą. Klasa o chętnie przystała na ten układ. Głośno manifestowana niechęć do przerwy w pracy była więc w przypadku Alicji czymś zupełnie nowym.

– A czemuż to, moja kochana? – zapytała życzliwie Marzena.

– Od początku pracy zawodowej było mi ciężko wracać po Nowym Roku do szkoły, ale odkąd przedłużyli tę przerwę świętem Trzech Króli, powroty stały się nieznośne! A pani, pani Marzenko, nie jest ciężko?

Marzena cmoknęła niezadowolona. Mimo iż Zoey i Alicja pracowały z tą starą, bardzo sympatyczną germanistką już od czterech lat, nadal nie mogły wyzbyć się odruchu mówienia do swojej dawnej nauczycielki per pani.

– Jakoś się nad tym nie zastanawiałam...

Nie dane jej było skończyć. Do pokoju nauczycielskiego wpadła sekretarka, nerwowa, drobna kobietka w średnim wieku, przy każdej okazji poprawiająca sobie mankiety przy koszuli i przyglądająca spódnicy.

– Nadzwyczajne zebranie. Za pięć minut na auli – wyrzuciła z siebie, okręciła się wokół własnej osi i wypadła z pokoju ogłosić wiadomość nauczycielom dyżurującym na korytarzach.

Zoey rzuciła germanistce pytające spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie, kochana, nic nie wiem. – Marzena pokręciła głową.

– Pewnie dyrektorka postanowiła jakoś umilić nam ten i tak nie najprzyjemniejszy dzień – wymruczała Alicja i pociągnęła łyk kawy. – Au, gorące! Cholerny dzień!

Zoey spojrzała na nią ze współczuciem, mimo iż w przeciwieństwie do przyjaciółki koniec przerwy świątecznej przyjęła z ulgą. Od końca studiów dni wolne jakoś przestały ją cieszyć. Wprowadzały tylko chaos w jej tak usilnie porządkowaną rzeczywistość. Lubiła czasem gdzieś wyjechać, ale coraz częściej nie miała z kim. Alicja na każde wakacje zabierała coraz to nowego ukochanego, a nawet gdy zdarzyło się im wyjechać gdzieś wspólnie, po upływie doby była po uszy zakochana w kimś z obsługi lub gości hotelowych i od tej pory widywały się tylko podczas posiłków. Jej druga przyjaciółka, Kaśka, wyjeżdżała wyłącznie ze swoim mężem Pafciem, mówiąc, że urlop jest ich jedyną okazją na spędzenie całych dni razem. Biorąc pod uwagę tryb pracy obojga, nie było w tych słowach ani odrobiny przesady. Więcej koleżanek, z którymi chciałyby wyjechać, Zoey po prostu nie miała. Samotne wypadki ją przerażały. Z zaproszeń dziadka i jego znajomych z zasady nie korzystała, przy każdej takiej propozycji czując się jednak zawsze odrobinę bardziej żałosna i samotna.

Urlopy śródroczne spędzała zatem w domu, zakopana pod kołdrą, czytając książki, pod nieobecność Damazego żywiąc się chińskimi zupkami z torebki i pączkami z cukierni pod blokiem, które przechowywane w lodówce zachowywały świeżość przez cały tydzień. Podobne zabiegi, wspomagane od czasu do czasu jedzeniem zamawianym przez telefon, umożliwiały jej przetrwanie całego długiego weekendu czy ferii bez wychodzenia z domu.

Zaś w wakacje zasztywniała się na rodzinnej działce, pieląc grządki, wrywając chwasty i zajmując się całą masą pożytecznych rzeczy, starając się jednocześnie odrzucać nieznośne myśli, że spędza urlop w otoczeniu aktywnych emerytów, którzy, w przeciwieństwie do niej, bawią się do utraty tchu, organizując wycieczki, pływając w rzece, opalając się i urządzając potańcówki w domu działkowca. Przyjeżdżały tu także rodziny, w których uśmiechnięci rodzice tulili się do siebie na

hamaku, podczas gdy ich roześmiane dzieci piszczwały pod zraszczami, a wielkie psy dyskretnie zanieczyszczwały równo skoszone trawniczki. Wieczorami siadywała na bujanej ławeczce pod śliwką i wpatrzona w gwiazdy zastanawiała się, jak to jest możliwe, że ona jedna na całym świecie nie może się porządnie zakochać, najlepiej z wzajemnością. Czasem myślała, że jest po prostu upośledzona.

Pewnego razu pod wpływem wakacyjnych przemyśleń poszła nawet do psychoterapeuty. Straciła dwieście złotych i dokładnie sześćdziesiąt minut swojego bezcennego czasu za niepodważalną pewność, że ten czterdziestoparoletni, wypiełgowany facet w najmodniejszych kolorowych oprawkach, siedzący naprzeciwko niej w eleganckim skórzanym fotelu, nie wykazujący niemal żadnych ludzkich odruchów poza oddychaniem, w niczym jej nie pomoże. Spotkanie ze specjalistą nie przyniosło bajkowych rezultatów w postaci mistycznego oświecenia i nagłej przemiany, o których mówią niemal wszystkie amerykańskie seriale z psychoterapią jako najdoskonalszym remedium na wszystkie bolączki współczesnego człowieka w tle. Najwyraźniej Zoey była skazana na samotne spędzanie wakacji i pozostawało jej jedynie zaakceptować taki stan rzeczy. Tak czy inaczej, powrót do szkolnej rzeczywistości zawsze przyjmowała z ulgą.

Pogrążona we własnych myślach z impetem wpadła na wysokiego mężczyznę stojącego przed drzwiami auli. Odbiła się od niego i poślizgnęła na doskonale wypastowanej podłodze. Upadła niezgrabnie, boleśnie objając sobie łokieć i pośladki. Mężczyzna rzucił się natychmiast w jej stronę.

– Nic się pani nie stało? – zapytał przyjemnym, miękkim głosem.

– Nic – odparła nawet na niego nie patrząc, zbyt zajęta rozcieraniem łokcia, który pulsował bólem. Pośladków masować nie wypadało.

– Najmocniej panią przepraszam... – zaczął mężczyzna, ale nim skończył, ktoś najwyraźniej go przywołał. – Już, już idę.

– Proszę się mną nie przejmować – powiedziała szybko Eufrozyna, w duchu dziękując łaskawej Fortunie, że kolejna wywrotka przydarzyła jej się bez świadków.

Gdy poprzednim razem poślizgnęła się w tym samym miejscu,

wylądowała nieco mniej szczęśliwie, odsłaniając pośladki przyobleczone w błękitne majtki w serduszka przed niemal całą klasą trzecią C. Wieść rozniosła się po szkole lotem błyskawicy. Z tej okazji dorobiła się nawet portretu w szkolnej gazetce, redagowanej przez nazbyt wyzwoloną szóstą B, wychowawczą klasę Alicji. Portret, skądinąd doskonały warsztatowo, przedstawiał Eufrozinę przygniecioną wielkim dziennikiem, spod którego wystawały jedynie długie nogi zakończone wielkimi majtkami w nieszczęsne serduszka. Rodzice karykaturzysty zostali wezwani do szkoły, a Alicja w imię przyjacielskiej solidarności wyjątkowo krwawo się z nim rozprawiła. Wprawdzie dystrybucję gazetki wstrzymano niemal natychmiast, ale i tak obrazek zdążył już wypłynąć do Internetu i na kilka tygodni stał się hitem szkolnego fanpage'a. Na samo wspomnienie tamtych dni Eufrozinie robiło się gorąco. Toteż zamiast przyjrzeć się swojemu oprawcy, rozglądała się dyskretnie wokoło, niczym sarna w sidłach, z obawy przed nazbyt dowcipnymi małymi plotkarzami. Gdy podniosła głowę, mężczyzny już nie było. Wstała, otrzepała spódnice, podniosła dziennik i stąpając jak po lodzie weszła na aulę. Od lat unosił się tu silny zapach nieszczęsnej pasty do podłogi, której zapas na cały wiek kupiono zapewne jeszcze przed II wojną światową, i czegoś jeszcze, nieuchwytny zapach szkoły, który uwielbiała. Pomieszczenie pachniało dokładnie tak jak przed kilkudziesięcioma laty, gdy Zoey i Alicja, ubrane w przepisowe białe bluzeczki i granatowe spódniczki, stanęły tu po raz pierwszy, dumnie wypinając zupełnie płaską pierś, by przypięto do niej tarczę, świadczącą o tym, że wreszcie są uczennicami.

Wciąż nieco otumaniona po upadku i otulona wonią wspomnień, zatopiła się we własnych myślach, ignorując otoczenie.

– Wiadomo już, o co chodzi? – zagadnęła Alicja, która niepostrzeżenie wślizgnęła się na aulę w połowie przemowy dyrektorki. Odmówiła przyjscia na czas, mówiąc, że bez porządnej kawy wypitej do ostatniej kropelki nie przeżyje ani minuty zebrania.

– Nie mam pojęcia. Wyłączyłam się. – Zoey wzruszyła ramionami.
– Zaczęła jak zwykle od odpowiedzialności nauczycieli...

– ...za przyszłe pokolenia – dokończyła Alicja znudzonym tonem.
– Czyli nic mnie nie ominęło.

Eufrozyna pokręciła głową.

– Chyba nie.

– Ja chcę do domu – jęknęła Alicja, nieco zbyt głośno.

Eufrozyna rzuciła jej karcące spojrzenie, choć prawdę powiedziawszy jej myśli szły podobnymi szlakami. Alicja pokazała przyjaciółce język i zaczęła ostentacyjnie stukać paznokciami w poręcz krzesła, a potem, znudzona i tym, potoczyła wzrokiem po sali.

– Olalala, a to kto?! – szepnęła Eufrozynie prosto w ucho. – Tam, to ciacho obok dyrektorki.

Zoey spojrzała w kierunku wskazanym przez przyjaciółkę. Dopiero teraz dostrzegła, że za nakrytym zielonym, filcowym obrusem stołem prezydialnym do odwiecznego składu władz szkoły dołączył ktoś jeszcze. Mężczyzna, na oko zbliżający się do czterdziestki, był reprezentantem rzadko spotykanego gatunku, który wygląda niemal identycznie, mając lat dwadzieścia i sześćdziesiąt. Typem, któremu czas dodaje urody, nie zabierając niemal niczego. Króciutko obcięte włosy odsłaniały zgrabną czaszkę i wysokie czoło. Mężczyzna wyglądał przez okno, pogrążony we własnych myślach. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Eufrozyna nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo spodobał jej się ten mężczyzna, którego przyjaciółka tradycyjnie potraktowała jak zwierzynę łowną.

– Nie mam pojęcia – odparła szybko, zgodnie z prawdą.

– Mniamuśny, aczkolwiek jak dla mnie trochę za chudy i zbyt blady. Przydałyby mu się wakacje na siłowni, najlepiej na Wyspach Kanaryjskich, i wtedy byłby w sam raz – zachichotała Alicja. – Ale, czekaj, czekaj, przecież on jest dokładnie w twoim typie! Może to ta twoja wielka miłość!

Zoey poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić, a żołądek zacisnął się jak przed pierwszym egzaminem na prawo jazdy. Sugestia była kompletnie niedorzeczna, ale w głowie Zoey pojawiła się irracjonalna myśl, że może jednak sylwestrowe czary działają i los właśnie postawił na jej drodze mężczyznę idealnego. Szybko jednak skarciła samą siebie za taką naiwność.

– Nie pleć głupot i skup się chociaż przez chwilę – wymamrotała z niechęcią, sama nie wiedząc, skąd nagle wzięła się w niej złość na

przyjaciółkę

Alicja przyjrzała się Zoey uważnie i chciała coś odburknąć, ale nie zdążyła.

– Zdaje mi się, że pani Maliniak i pani Nowożycka chciałyby się wypowiedzieć w tym temacie – ryknęła słodkim tonem dyrektorka.

Oczy wszystkich zwróciły się w ich stronę. Słowa dyrektorki wyrwały z zamyślenia również tajemniczego mężczyznę, który zaintrygowany spojrzał w ich kierunku. Alicja wykazała się doskonałym refleksem. W ułamku sekundy pochyliła się nad trzymanym w dłoniach dziennikiem i zaczęła zapamiętała studiować jego treść, konsekwentnie ignorując sugestywne spojrzenia dyrektorki. Sparaliżowana strachem Zoey nie zdążyła zastosować żadnego uniku. Zamiast tego, w wykształconym przez dwanaście lat edukacji szkolnej odruchu, słysząc swoje nazwisko, czym prędzej wstała. Po chwili, zorientowawszy się, że przecież już nie musi stawać na baczność na wezwanie dyrektorki, usiadła, czerwieniąc się aż po szyję. Sala wybuchnęła śmiechem. Po chwili jednak dyrektorka głośnym chrząknięciem przerwała falę wesołości i sama podniosła się z krzesła. Zapadła cisza. Zoey oddychała z trudem, próbując się uspokoić.

– Widzę, że jednak nie usłyszymy jakiegoś znaczącego głosu w dyskusji – podjęła dyrektorka. – Pozostawiam tę kwestię pod państwa rozważenie i czekam na propozycje podczas zebrania kończącego semestr. Na koniec naszego noworocznego spotkania pragnę państwu przedstawić i jednocześnie najserdeczniej powitać w naszych skromnych progach nowego wicedyrektora...

– Ona aż się ślini – szepnęła Alicja. Zoey zignorowała ją, patrząc na mężczyznę, który powoli wstał.

– ...pana Szymona Paskiewicza. Panie Szymonie, witamy!
Witamy!

– Widziałaś, jak zatrzepotała rękami? – emocjonowała się Alicja.
– Gdyby nie była taka gruba, wywinęłaby hołubca.

Zoey nie odpowiedziała, wpatrzona w nieznanego. Nowy wicedyrektor patrzył prosto na nią, a w jego oczach dało się dostrzec niczym nieuzasadnioną iskrę sympatii. Po chwili spuściła wzrok, prosto na jego prawą dłoń, na której lśnił cieniutki, złoty krążek. Alicja też go

dostrzegła.

– No nic. Odpada. Zaobrączkowany – powiedziała. – Musimy szukać dalej.

Eufrozyna rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę mężczyzny. Nie patrzył już na nią. Stał bokiem i rozmawiał z dyrektorką. Westchnęła ciężko.

– W sumie nie ma tego złego, związki w pracy źle się kończą – dodała ze znawstwem Alicja. – Umieram z głodu. Chodźmy coś zjeść, zanim przyszłe pokolenia o nieposkromionym apetycie wyjrą wszystko ze sklepiku.

V

Mroźne powietrze uderzyło Zoey. Nasunęła kaptur mocniej na głowę, ale na niewiele się to zdało. Była zmęczona, smutna i zła. Dyrektorka w odwecie za niesubordynację podczas zebrania oznajmiła, że obie z Alicją, jako anglistki, które najwyraźniej mają zbyt dużo wolnego czasu, utworzą dwuosobowy zespół zajmujący się pozyskiwaniem funduszy unijnych na remont szkoły. Alicja, rzecz jasna, wymigała się od zadania, tłumacząc, że musi zająć się swoją wychowawczą klasą stojącą przeciw u progu niezwykle obciążającego psychicznie egzaminu szóstoklasisty. Opowieść była tak barwna, pełna emocji i finezyjnie mitygowanego przejęcia, że gdyby Eufrozyna nie przyjaźniła się z nią od blisko trzech dekad, zapewne sama uwierzyłaby we wszystko. Wieloletnie doświadczenie pozwalało jej jednak przypuszczać, że Alicja mówi to jedynie po to, by wymigać się od niewdzięcznej papierkowej roboty. Tymczasem dyrektorka wsłuchiwała się z uwagą w każde słowo wychowawczyni szóstej B, a gdy ta przebiegle zakończyła swoją tyradę nieśmiertelnym zdaniem o odpowiedzialności nauczycieli za przyszłe pokolenia, mile polechtana dyrektorka nie dość, że zwolniła Alicję z karkołomnego zadania, to jeszcze pozwoliła jej zabrać klasę w ramach odstresowania do kina z funduszy szkolnych. Zoey, która nie miała wychowawstwa, nie

znalazła żadnej równie przekonującej wymówki. Poczuli się opuszczona przez Alicję i, prawdę mówiąc, miała do niej o to pretensje.

Nie czekając na przyjaciółkę, zaraz po lekcjach wyszła ze szkoły, chcąc czym prędzej znaleźć się w domu. Pech chciał, że akurat zaczął padać śnieg. Nie był to jednak przyjemny puszek obsypujący wszystko wokół jak dobra gospodini domowa z reklamy margaryny Kasia. Z nieba padały lodowate, ostre bryłki, szczypiąc w policzki. Opady tradycyjnie zaskoczyły kierowców i sparaliżowały ruch miejski. Dwupasmówka przed szkołą była kompletnie zakorkowana w obu kierunkach. Powrót do domu zapowiadał się niemal równie miło jak dzień pracy. Stała na zdewastowanym przystanku, którego wiata nie spełniała swojej funkcji ochronnej i ze wszystkich sił usiłowała się nie rozplakać.

– Do widzenia! – krzyknęła w jej stronę rozpromieniona mała postać skryta pod parasolem w biedronki. Zoey odmachala odruchowo, lecz dopiero po chwili zidentyfikowała uczennicę. Lenka Kaliska, druga C.

Widok dziewczynki podskakującej wesoło w śniegowej brei sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej. Była stara, zmęczona życiem, wyzuta z radości, bez marzeń, a nade wszystko tak bardzo samotna. Wyobraziła sobie, że gdy zabraknie dziadka, a Alicja wbrew deklaracjom znajdzie sobie jednak męża, kontakt z uczniami będzie jedynym doświadczeniem ludzkiej bliskości, jaki jej pozostanie. Łza spłynęła jej po policzku, a za nią druga i trzecia. Zoey czuła, że zapada się w bezdenną otchłań czarnych wizji swojej przyszłości.

– Przepraszam – ktoś dotknął jej ramienia. – Pani Maliniak, prawda?

Przestraszona podniosła głowę. Stał przed nią młody mężczyzna ubrany w elegancką, sportową kurtkę rodem z reklamy żeglarskich wypraw Bols, idealnie ogolony, pachnący wodą kolońską i kawą.

– Przestraszyłem panią? – zapytał troskliwie.

– Nie, skąd – odparła prędko, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Nie miała pojęcia, kim jest stojący przed nią półbóg rodem z katalogu mężczyzn idealnych, ale nie miałaby nic przeciwko wpatrywaniu się w niego do końca swoich dni.

– Jacek Kaliski – przedstawił się. – Jestem tatą Lenki.

– Miło mi pana poznać – odparła nieśmiało, uświadamiając sobie jednocześnie, jak źle wygląda zapłakana, z włosami w nieładzie i przemoczonym płaszczu.

– Lenka wspomniała, że mieszka pani niedaleko nas. Może moglibyśmy panią podwieźć?

– Dziękuję za propozycję, ale zaraz będzie mój autobus – odparła szybko, chcąc ukryć zmieszanie.

– Nie sądzę – odparł mężczyzna, rzucając znaczące spojrzenie na jezdnię. W czasie trwania ich rozmowy samochody nie przesunęły się nawet o centymetr. – Zaparkowałem auto w bocznej uliczce, więc jest szansa, że ominiemy ten korek. Nie rękę za to, jak szybko dotrzemy na miejsce, ale mogę zapewnić pani schronienie pod solidnym dachem, podgrzewane siedzenie i poczęstunek w postaci truskawkowej mamby, o ile Lenka czekając na nas, nie wyjadła całych zapasów.

Zoey zaśmiała się wesoło. Nieznajomy zawtórował jej.

– Dziękuję – powiedziała po prostu, po czym po chwili wahania dodała: – Uwielbiam mambę.

– Wiedziałem, że to pomoże mi panią namówić. Lenka podczas każdej wizyty w sklepie przekonuje mnie, że mambie nikt nie zdoła się oprzeć. Jak widać, ma rację.

Szli do samochodu rozmawiając wesoło, niczym para dobrych znajomych. Przejazdźka na skórzanym, podgrzewanym siedzeniu ciemnogrnatowego BMW w towarzystwie wyraźnie zakochanych w sobie córki i ojca, podśpiewujących wesoło piosenkę z reklamy mamby, rozproszyła ponury nastrój Zoey. Solidnie nakarmiona truskawkową gumą rozpuszczalną i ogrzana ciepłą rodzinną atmosferą zapomniała o nielojalnej przyjaciółce, złośliwej pracodawczyni i wszechogarniającej samotności.

Gdy dojechali pod jej blok, Jacek wyskoczył za Zoey i asystował jej do wejścia, niosąc nad nią parasol, jakby była przynajmniej księżną Cambridge. I dokładnie tak czuła się Eufrozyna, idąc w strugach deszczu pod ramię z uosobieniem męskiej elegancji i klasy.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała, gdy wreszcie dotarli do drzwi klatki.

– Zawsze do usług – odparł, nie spuszczać z niej wzroku. Zoey poczuła, że się czerwieni. Nie było to zwyczajne spojrzenie, którym nowo poznany mężczyzna spogląda na kobietę. – Lenka wiele mi o pani opowiadała – powiedział powoli. – Wreszcie miałem okazję przekonać się, że w jej słowach nie było ani okruszyny przesady. – Serce Eufrozyny załopotano pod wpływem aksamitnych nutek wyraźnie pobrzmiewających w jego głosie. Tymczasem mężczyzna podniósł do ust jej dłoń i ucałował ją. – Bardzo miło było mi panią poznać.

– Mnie również – wydusiła, skrępowana.

– Mam nadzieję, że po tym pierwszym, przypadkowym spotkaniu nastąpi wiele kolejnych, już nieprzypadkowych – dodał, nie wypuszczając jej dłoni ze swej ręki.

Zoey zaczerwieniła się i spuściła wzrok, przy okazji wysuwając dłoń z uścisku Jacka.

– Powinam już iść – szepnęła. – Do widzenia.

Pospiesznie obróciła się w stronę wejścia, chcąc jak najszybciej znaleźć się w windzie.

– Do zobaczenia! – zawołał za nią Jacek. – Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy.

Zoey wykorzystała całą siłę woli, żeby się nie odwrócić. Wbiegła do windy i zatrzasnęła za sobą ciężkie metalowe drzwi. Dłuższą chwilę stała, wpatrując się we własne odbicie i uśmiechając się szeroko, zanim przypomniała sobie, że powinna nacisnąć przycisk. Poznała mężczyznę wykrojonego z jej snów. Najlepsze było jednak to, że uważnie przyjrzała się opartym o kierownicę dłoniom Jacka. Nie miał obrączki, a zatem droga do krainy marzeń, którą przemierzy z mężczyzną doskonałym, stała przed nią otworem. Wpadła do mieszkania i nie zważając na mokry płaszcz, rzuciła się na łóżko. Za oknem szalała zimowa zawieja, a Zoey leżała na wznak i uśmiechała się do siebie.

„Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, pomyślała i postanowiła zadzwonić wieczorem do Alicji, żeby dać jej odczuć, że nie ma do niej żalu o te głupie wnioski. Czymże bowiem były stopy papierzysk wobec takiego mężczyzny!

VI

– Dobrze, że jesteś! – wykrzyknął Damazy, witając wchodzącą Alicję. – Może ty mi wytłumaczysz, co się stało mojej wnuczce.

Alicja spojrzała na niego zaniepokojona.

– A coś się stało? – zapytała prędko, tknięta wyrzutami sumienia.

– Nic, poza tym, że Zoey od powrotu do domu leży na łóżku i nic nie mówi, a od kwadransa co chwila wybucha śmiechem.

– Śmiechem? – upewniła się Alicja.

– A czy ja mówię niewyraźnie? – zapytał poirytowany Damazy. – Śmieje się, za przeproszeniem, jak wariatka. Nie odpowiada na moje pytania, prośby ani groźby i nawet zupy zjeść nie chciała.

– Zupy? – zainteresowała się Alicja, która porządnie zmarzła po drodze.

– Koperkowej.

Alicja odruchowo przysiadła na stołku przy stole w kuchni, licząc na poczęstunek, ale Damazy powstrzymał ją.

– Najpierw to ty idź, proszę, sprawdzić czy z Zoey jest wszystko w porządku. Niby się śmieje, a jednak nie mogę przestać się martwić.

Alicja natychmiast wstała i ignorując żalosne burczenie w brzuchu, pospieszyła do sypialni przyjaciółki.

– Zoey... – Zapukała, wchodząc. – To ja, wszystko okej?

Eufrozyna natychmiast odwróciła się w jej stronę. Wyglądała promiennie, choć jej makijaż był w opłakanym stanie. Widząc zdziwioną minę przyjaciółki, Zoey wybuchnęła bezsensownym, niezwykle radosnym śmiechem.

– Zoey...

– Wszystko w porządku – wysapała, śmiejąc się. – Tylko chyba wreszcie kogoś poznałam... Kogoś z potencjałem...

Alicja pisnęła z uciechy i kazała sobie natychmiast wszystko opowiedzieć. Eufrozyna pokrótce zrelacjonowała jej przebieg popołudnia, pomijając oczywiście drażliwą kwestię wniosków unijnych. Wspólnie ustaliły, że trzeba przeprowadzić dyskretny wywiad z wychowawczynią drugiej C i zebrać jak najwięcej informacji na temat

Jacka Kaliskiego.

– Jeśli nie okaże się zbrojcem, złodziejem, psychopata, erotomanem albo okrutnikiem, to kto wie...

– Po jednym spotkaniu jesteś gotowa się w nim zakochać?! – zawołała zszokowana Alicja. – Kim jesteś i co zrobiłaś z moją przyjaciółką?

Zoey zachichotała i schowała twarz w poduszkę. W tej samej chwili w kieszeni jej płaszcza zawibrował telefon.

– Co tam? – zagadnęła odruchowo Alicja.

– Wiadomość od Roberta.

Alicja gwizdnęła. Zoey przebiegła oczami po tekście.

– Co napisał? – przyjaciółka nie wytrzymała napięcia.

– Zapytał, czy mam już plany na ferie... – wykrztusiła Zoey. – Bo jak nie, to...

– No?!

– To może wybrałabym się z nim choć na część tej jego wyprawy do Indii.

Alicja pisnęła wniebogłosy. Damazy wbiegł do pokoju dokładnie w chwili, gdy dwie dorosłe kobiety, poważane nauczycielki języka angielskiego, którym niczego nieświadomi rodzice każdego ranka oddawali pod opiekę najdroższe dzieci, zanosząc się dzikim śmiechem, spadły z łóżka.

– Dość tych wygłupów – zawyrokował. – Zupa stygnie. – Wobec obojętności dziewcząt na ten kulinarny argument wielkiej wagi dodał: – Poza tym dziś jest niskie ciśnienie i boli mnie serce.

Dziewczęta natychmiast się uspokoiły i rzuciły okazywać troskę Damazemu, ku wyraźnemu zadowoleniu tego ostatniego.

VII

– Zatem mamy do czynienia z klasyczną klęską urodzaju – podsumowała Kaśka, wysłuchawszy relacji Eufrozyny z wypadków poprzedniego tygodnia, który sama spędziła na negocjacjach

w Karlsbergu. – Najpierw lata posuchy w życiu miłosnym, a potem powódź adoratorów.

Zoey odczuła wyraźną przyjemność, słysząc wypowiedziane przez przyjaciółkę słowa. Pochlebiało jej także to, że egocentryczna do granic możliwości Kaśka, która bez cienia wstydu czy skrępowania powtarzała, że tak naprawdę interesuje ją tylko własne życie miłosne, dziś wydawała się mocno zainteresowana sprawami sercowymi Zoey. Gdy zaczęła opowiadać, Kaśka słuchała jak zwykle niezbyt uważnie. Założyła nogę na nogę i przypaliwszy cieniuteńką cygaretkę, którą następnie wsunęła między starannie pomalowane wargi, patrzyła prosto w oczy młodego biznesmena siedzącego przy sąsiednim stoliku, który z wrażenia dostał ataku kaszlu. Po chwili jednak opowieść stała się tak wciągająca, że wbrew swojej naturze zaprzestała kokietowania nieznajomego i skupiła całą uwagę na Zoey.

Kaśka była w oczach Eufrozyny uosobieniem seksapilu i kobiecości, choć świat kolorowych magazynów z pewnością by się z nią nie zgodził. Żaden ze znanych fotografów z samego opisu nawet nie rozważyłby zrobienia jej sesji zdjęciowej. Niewysoka, korpulentna, by nie rzec przysadzista, dziewczyna z dużym nosem, bladą cerą i włosami w bliżej nieokreślonym odcieniu spłowiałego brązu, była zdecydowanie poza kategorią kobiet w ich mniemaniu nadających się do fotografowania. Ich strata! W Kaśce było bowiem coś, co sprawiało, że żaden mężczyzna nie przechodził obok niej obojętnie. Przyciągała przedstawicieli płci przeciwnej jak magnes. Omamiała ich, paraliżowała, hipnotyzowała, ogłupiała, jednym spojrzeniem rozpaliała do czerwoności ich wyobraźnię, tylko po to, by gdy legną u jej stóp, skomlać o uwagę i błagając o jedno życzliwsze spojrzenie, stanowczym tonem oświadczyć, że jest mężatką i w dodatku patologicznie wierną.

– Powodzą bym tego nie nazwała... – powiedziała Zoey z fałszywą skromnością, uśmiechając się do siebie.

Siedziały jak zwykle w „Pękatej pszczołce”, popijając koktajl o tajemniczej nazwie „Wagabunga”, nowość w karcie drinków. Na początku studiów pracowały tu razem za barem, i choć był to zdecydowanie krótki epizod zaaranżowany przez Damazego i dziadka Kaśki, ostatecznie zaowocował nie tylko ich przyjaźnią, ale i ogromnym

przywiązaniem do lokalu.

Zoey pociągnęła łyk napoju. Było jej dobrze i wesoło. Lęk przed samotnością został tymczasowo rozproszony przez obecność dwóch potencjalnych kandydatów do odpędzenia go na dobre, a nagle zaangażowanie przyjaciółki w jej miłosne sprawy mile łechtało próżność.

– Czekał, czekał, a co odpisałaś Robertowi? – zapytała po chwili Kaśka, która najwyraźniej w międzyczasie postanowiła usystematyzować posiadaną wiedzę.

– Nic – odparła Zoey.

Kaśka wydeła wdzięcznie swoje pulchniutkie usta w grymasie dezaprobaty i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że na takie wiadomości odpisuje się od razu?

– Ale ja nie wiedziałam, co napisać, a potem jakoś mi było niezręcznie.

Kaśka rzuciła jej przez stół spojrzenie, którym z pewnością obdarzyłaby znienawidzonego przez siebie G.W. Busha, gdyby przemówił do niej po chińsku.

– Ech... Wiesz, czasami przestaję się dziwić, że nie masz faceta – rzuciła ostro. Zoey spojrzała na nią z wyrzutem, ale Kaśka zignorowała to. – No dobrze, a co byś mu odpisała, gdyby nie było ci niezręcznie?

Eufrozyna musiała przyznać, że ktokolwiek jako pierwszy dał jej stanowisko menedżerskie doskonale wiedział, co robi.

– Nie wiem... – odparła po chwili zastanowienia.

– Chcesz jechać do Indii czy nie?

– W ogóle czy teraz? – upewniła się Zoey.

– W ogóle – odparła cierpliwie Kaśka, splatając dłonie przed sobą, jak wytrawny negocjator mający do czynienia z wyjątkowo ciężkim przypadkiem.

– Chcę.

– A z Robertem?

– No właśnie nie wiem.

– A jaka odpowiedź przyszła ci do głowy jako pierwsza?

– Że tak, ale...

– A widzisz, czyli twoja podświadomość chce przeżyć przygodę życia z sobowtórem Eastwooda, to proste. – Kaśka rozplotła dłonie, a Zoey zdawało się, że przyjaciółka zacisnęła zęby, by nie dodać: „Dziękujemy i zapraszamy ponownie”.

– To nie takie proste... – zaczęła znów Zoey. – Jest jeszcze Jacek. Kaśka prychnęła.

– Jaki Jacek? – zapytała z wyraźną kpina w głosie. – Obudź się. Realnie na sprawę patrząc, nic się nie stało. Fakty są takie, że uprzejmy tatuś podwiózł biedną, zmokniętą nauczycielkę swojego dziecka. Tyle. Całą resztę dośpiewałaś sobie przy akompaniamencie tej szurniętej Alicji. Wyobraźnia zadziałała, rozumiem, ale teraz przyszła pora zejść na ziemię.

Zoey zamyśliła się. Nie mogła odmówić racji słowom Kaśki. Miłe uczucie, które pojawiło się na początku rozmowy, gdy usłyszała o powodzi adoratorów, zniknęło bezpowrotnie. Czar prysł i nadszedł moment, by spojrzeć prawdzie w oczy. Jacek nie odezwał się do niej od tamtego popołudnia. Mimo to nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś między nimi zaiskrzyło i nadziei, że mimo wszystko z tej iskry pewnego dnia wybuchnie jednak żywy płomień.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Nie zgadniesz, co się stało! – zapiszczała Alicja tak głośno, że Zoey musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

– Ciszej – syknęła. – No, co się stało?

– Och, jestem taka podekscytowana, że chyba dzisiaj nie zasnę! – ryknęła znów Alicja, najwyraźniej nie panując nad emocjami. Kaśka, która doskonale słyszała każde słowo, rzuciła Eufrozynie pytające spojrzenie. Zoey wzruszyła ramionami dając znać, że nie ma pojęcia o co chodzi. – Naprawdę, to takie ekscytujące! – wykrzykiwała tymczasem Alicja, popiskując między kolejnymi słowami i przeciągając samogłoski. – Witaj, przygodo!

– Cieszę się twoim szczęściem – powiedziała Zoey. – Ale po pierwsze mów ciszej, błagam, a po drugie może zdradziłabyś mi wreszcie o co chodzi?

– Jedziemy w Tatry! – wykrzyknęła uszczęśliwiona Alicja.

– My, to znaczy kto? – zaniepokoiła się Eufrozyna.

– No my! Ty i ja!

Kaśka drgnęła i zaczęła uważniej przysłuchiwać się rozmowie. Niestety Alicja, chcąc być wysłuchaną, ściszyła posłusznie głos.

– Aha, a czemu? – spytała Zoey.

– Jejku, jak to czemu? Bo jesteśmy młode, piękne i żądne przygody. Mamy wolne, a na drugą połowę lutego zapowiadają bajeczne opady śniegu i słońce – wyliczała Alicja. – Czego chcesz więcej?

– Ale Zakopane w sezonie jest koszmarnie drogie... – zawahała się Zoey, która w głębi duszy nie była pewna, czy nie woli własnego łóżka od przeludnionych stoków.

– Nas ten problem nie dotyczy! – zaszcebiotała Alicja. – Wujek Karol, pamiętasz, ten od grzybów, wyjeżdża na cały miesiąc do syna w Monachium i zapytał, czy nie chciałabym spędzić u niego ferii.

Okoliczności rzeczywiście wydawały się sprzyjające. Wujek Karol, góral z wyboru, był najbardziej lubianym przez Damazego członkiem rodziny Alicji, jej samej oczywiście nie uwzględniając w tej klasyfikacji. Dorobił się tak wysokiej pozycji dzięki temu, że rokrocznie w okresie przedświątecznym z niewiadomych przyczyn przysyłał Damazemu, którego poznał w przelocie podczas komunii dziewczynek, wielkie paczki suszonych grzybów, własnoręcznie zbieranych w lesie. Nigdy nie załączał żadnej kartki z życzeniami czy jakiegokolwiek słowa pisanego, uznając najwyraźniej, że grzyby znaczą więcej niż tysiąc słów. I miał rację. Lepiąc uszka, smakując farsz do pierogów i gotując bigos Damazy wychwalał pod niebiosa złote rączki wuja Karola, które zebrały dlań aromatyczne skarby lasu. W czasie przygotowań do świąt atmosfera w kuchni dziadka była tak gęsta od wspomnień o wuju Karolu, że Zoey miała wrażenie, jakby wujek Alicji był w tych dniach fizycznie obecny w ich domu.

– Wuj ma dom w środku lasu, prawdziwą góralską chatę, ale nowocześnie wyposażoną, z kominkiem i oknami wychodzącymi na Giewont – nęciła Alicja.

Zoey słuchała, od czasu do czasu kiwając głową. Od bardzo dawna nie była w górach. Mieszkanie poza hotelem pozwalało mieć nadzieję, że Alicja poświęci jej jednak trochę czasu. Za dnia jeździłyby na nartach, a wieczorami oglądały stare filmy, siedząc przy kominku i popijając

grzańca. Ta perspektywa wydała się Eufrozynie całkiem przyjemną.

Na twarzy wyraźnie zaintrygowanej Kaśki, do której uszu docierały pojedyncze wyrazy, odmalowało się wystudiowane przez lata pracy w korporacji zniecierpliwienie. Sugestywnie zastukała paznokciem w zegarek, dając Zoey znak, że trwoni jej drogocenny czas. Eufrozyna obiecała Alicji, że przemyśli sprawę i da znać. Pożegnały się czym prędzej.

– Co tam? – niby obojętnie zagadnęła Kaśka i upiła łyk napoju, by ukryć zaciekawienie.

– Wygląda na to, że pierwszy raz od lat spędzę urlop zimowy na stoku – odparła, wciąż nieco oszołomiona tą wizją, Zoey.

– A kiedy jedziecie?

– W ferie.

– Czyli? – dopytywała Kaśka. – Przypominam ci, że nie wszyscy pracują w szkole.

– Druga połowa lutego.

– I gdzie się zatrzymacie?

– U wujka Alicji... – zaczęła Zoey, ale nagle zapaliła się jej w głowie czerwona lampka ostrzegawcza. Kaśka jakoś zbyt szczegółowo wypytywała o wyjazd, zamiast przyjąć news swoim zwyczajowym „aha” bądź „a, to fajnie” i zmienić temat. – A czemu pytasz? – zagadnęła Zoey, czując, że z powodu złych przeczuć serce podchodzi jej do gardła.

Kaśka nie odpowiedziała. Przesuwała szybko palcem po ekranie swojego smartfona.

– Świetnie – powiedziała wreszcie. Zoey bliska zawału z niepokoju, mogła się założyć, że wie dokładnie, co zaraz usłyszy. – Pasuje mi – oznajmiła Kaśka, odkładając telefon na stół. – Jadę z wami.

Zoey wypuściła głośno powietrze. Właśnie tego się obawiała. Piękny sen o sielankowym wyjeździe trwał zbyt krótko. Czowała się jak dziecko, któremu obiecano wycieczkę do Disneylandu, a w rezultacie wywieziono do Rybnika.

Kaśka i Alicja, najdelikatniej rzecz ujmując, nie przepadały za sobą. Damazy zwykł mawiać, że ta ich wzajemna niechęć ma swoją przyczynę w atawistycznej potrzebie dominacji w stadzie. Zoey po cichutku przyznawała mu rację, choć oczywiście zapytana wprost

wyparłaby się wszystkiego. Wspólne wakacje oznaczać mogły tylko jedno – masakrę. Zoey postanowiła jednak, że tym tematem zajmie się później. Na razie musiała wymyślić jakiś sposób, żeby przekazać tę wątpliwie radosną wieść Alicji.

Podskoczyła ze strachu, gdy jej telefon ponownie zawibrował, a na ekranie ukazała się roześmiana twarz Alicji. Zoey była pewna, że przyjaciółka usłyszała każdą jej myśl.

– Tak... – zaczęła niepewnie, odruchowo kuląc się na samą myśl o lawinie pretensji i żali.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że nowy wicedyrektor będzie z tobą wypełniał papierki – powiedziała Alicja. – Dyrektorka uznała, że nie dowierza twoim kompetencjom i woli trzymać rękę na pulsie. – Zoey zamarła, trzymając telefon przy uchu. – Oczywiście żartuję z tą niewiarą. W sumie nie wiem, co ją podkusiło. O, mój autobus! Pędzę, lecę. Paaa.

Luty

I

Eufrozyna od kilku minut stała z ręką opartą na kłamce gabinetu wicedyrektora i nie mogła zdecydować się na wejście. Upływający bezlitośnie czas działał na jej niekorzyść. Jeśli postoi tak bezsensownie jeszcze przez kilka minut, nowy wicedyrektor przyklei jej łatkę niepunktualności, utożsamianej z automatu z nierzetelnością i niedbalstwem, co z pewnością odbije się na jej ocenie pracowniczej. Mimo obaw nie potrafiła przełamać strachu, choć nie wiedziała, czego się właściwie boi. Wyglądała świetnie, tego jednego była absolutnie pewna, po spędzeniu dodatkowej godziny rano na układaniu krótko przyciętych loczków i czterokrotnej zmianie stroju. Damazy aż gwizdnął na jej widok i zapytał, czy naprawdę wybiera się dziś do pracy, czy może na potajemną schadzke. Była także porządnie przygotowana merytorycznie. Zrobiła mnóstwo notatek, prześledziła uważnie najświeższe wytyczne Ministerstwa Edukacji. Z niespotykaną u siebie gorliwością poprzedniego popołudnia zadzwoniła nawet na specjalną infolinię unijną, by upewnić się, że o niczym nie zapomniała. Jednak te

wszystkie wysiłki mające na celu wzmocnienie jej samooceny nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Stres ją pożerał. Stres i coś jeszcze... Jakby trema, podobna do tej, którą odczuwa się zwykle przed pierwszą randką.

Stała przed drzwiami gabinetu Paskiewicza i zamiast o wniosku o dofinansowanie remontu szkoły myślała o tej jednej, zbyt krótkiej niestety chwili, kiedy nowy wicedyrektor wydawał się jej spełnieniem niedorzecznego życzenia sylwestrowego. Na wspomnienie momentu, w którym podczas zebrania noworocznego ich oczy się spotkały, zalała ją fala gorąca. W tym spojrzeniu było coś intensywnego. Coś, co zdecydowanie nie powinno znaleźć się w oczach żonatego mężczyzny patrzącego na obcą kobietę. Zaraz potem przypomniała jej się rozmowa, którą nie dalej jak w zeszłym tygodniu odbyła z panią Marzeną.

Tamtego popołudnia germanistka weszła do pokoju nauczycielskiego i z hukiem zatrzęsnęła drzwi. Wiekowa nauczycielka była na co dzień oazą spokoju i ucieleśnieniem wewnętrznej równowagi, więc Zoey natychmiast porzuciła uzupełnianie tematów w dzienniku i poszła zaparzyć melisę. Pani Marzena opadła na krzesło, podparła głowę na rękę i ciężko oddychała. Widać było, że jest wściekła, lecz gdy Zoey postawiła przed nią parujący kubek z ziółkami, jej naturalna dobroć wzięła górę nad emocjami i pani Marzenka uśmiechnęła się mimo wszystko.

– Dziękuję ci, kochana – powiedziała, obejmując kubek dłonią.

Eufrozyna przysiadła się do niej. Nie wypadało pytać o przyczynę jej zdenerwowania, więc czekała aż dawna nauczycielka sama podzieli się z nią wypadkami tego popołudnia.

– Dyrektorka do reszty zgłupiała – stwierdziła pani Marzenka po dłuższej chwili. – Jak tak dalej pójdzie, ten cały Paskiewicz ucieknie z naszej szkoły z krzykiem, a szkoda by było; to taki przyjemny mężczyzna.

Zoey zrobiło się cieplej w okolicy serca, zupełnie jakby pochwaliła ją samą.

– Ona nie daje mu odetchnąć! Dusi biedaka! A co najgorsze, zarzuca go nie pracą, a samą sobą – wzburzenie germanistki rosło. – Wyobraź sobie, kochana, idę korytarzem, niosę stertę sprawdzonych

zeszytów ćwiczeń piątej C. Ciężkie to było pioruńsko, pamiętaj, że ja już swoje lata mam. Dzieci jakimś cudem mnie omijały. Już miałam dotrzeć bezpiecznie do sali, a tu pojawia się dyrektorka i jak mnie nie pchnie z całej siły w bok! Zeszyty się rozsypały. Nic takiego by się nie stało, wpaść na kogoś w pośpiechu, ludzka rzecz. Nie złościłabym się wcale, gdyby przystanęła, przeprosiła, pomogła zbierać. Wiesz, kochana, ja zostałam wychowana w tych dawnych czasach, kiedy do starszych odnosiło się z szacunkiem, a kultura osobista była sprawą podstawową. Ale ona nic, nawet na mnie nie spojrzała, tylko popędziła dalej. Myślę sobie, może gdzieś się pali, może któryś z uczniów miał wypadek, więc odwracam się, żeby zobaczyć, gdzie tak gna. I wyobraź sobie, widzę ją nieopodal przy sklepiku, jak trzepocząc rzęsami, rozmawia z wicedyrektorem! Ale jak się do niego wdzięczyła! Jak uśmiechała! Wtedy złapała mnie taka złość jak rzadko. – Roztrzęsiona kobieta pociągnęła łyk herbatki. – Ale on się jej nie da, moja kochana. Nie da się i już. Mówiłam ci, że uczyłam kiedyś jego żonę?

Eufrozyna pokręciła głową. Poczuła, że żołądek skurczył się jej gwałtownie.

– Ach, kochana, co to jest za kobieta! Jak malowanie po prostu. Wysoka, a jaka zgrabna, mówię ci! I taka miła, i uprzejma jak rzadko i do starszych grzeczna. To cud prawdziwy znaleźć taką żonę w dzisiejszych czasach, a ja się na ludziach znam. Takiej kobiety się nie porzuca, nigdy i dla nikogo, a już na pewno nie dla naszej dyrektorki.

Eufrozyna westchnęła ciężko na wspomnienie tamtych słów pani Marzenki. Znów zrobiło się jej dziwnie smutno i jakby pusto.

Nagle drzwi same się przed nią otworzyły. Zoey zamarła z ręką wyciągniętą na wysokości klamki. W następnej sekundzie zachwiała się lekko i, by złapać równowagę, oparła się o pierwszą stabilną rzecz, która niestety zamiast ścianą czy drzwiami okazała się klatką piersiową wicedyrektora. Poczuła pod dłonią mocne bicie jego serca. Przerazona zastygła w bezruchu. Chwila ta wydała się jej o wiele dłuższa, niż była w rzeczywistości. Zawstydzona cofnęła rękę najszybciej, jak mogła. Natychmiast zaschło jej w ustach ze zdenerwowania.

– O, tu pani jest – powiedział wicedyrektor, wpatrując się w nią z uśmiechem, jakby nic się nie stało. – Czekałem na panią. – Zoey

wydawało się, że w tym ostatnim zdaniu wyczuła miękkie, jakby czułe nutki. – Właśnie miałem ruszyć z akcją poszukiwawczą.

Zoey zaczerwieniła się po uszy, w duchu przeklinając nieszczęsną przypadłość ludzi obdarzonych bardzo jasną cerą.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – wybąkała. – Przepraszam za spóźnienie.

– Szymon – odpowiedział wyciągając przed siebie rękę.

– Eu... – zaczęła, ale ugryzła się w język. – Zoey. Zoey Maliniak.

Była pewna, że Paskiewicz widział jej akta osobowe, a co za tym idzie znał jej pełne imię. Mimo to z niewiadomych przyczyn poczuła, że jeśli wypowie to swoje nieszczęsne, zniechęcone greckie imię, przyniesie jej ono pecha w relacji z nowym wicedyrektorem.

– Bardzo mi miło – odparł po prostu. – Zapraszam, mamy sporo spraw do omówienia.

To mówiąc, otworzył szerzej drzwi i przepuścił ją przodem. Poczowała jego oddech na swoich włosach i przyjemne ciepło bijące od jego postaci. Zakręciło jej się w głowie, a nogi zachowywały się tak, jakby chciały oddzielić się od reszty ciała i pójść w swoją stronę. Nim odzyskała nad nimi władzę, na drodze od drzwi do fotela jeszcze dwukrotnie się potknęła. Zaczęła się zastanawiać, co Paskiewicz sobie o niej pomyśli. W jego obecności nagminnie się potykała, przewracała i chwiała, jakby miała poważne zaburzenia błędnika albo cierpiała na chorobę alkoholową, nakazującą nadużywania procentów także w pracy.

„Idiotka!”, skarciła samą siebie w myślach. „Idiotka! Idiotka! Idiotka!”. Niezbyt przychylnie nastawiona do samej siebie, usiadła po drugiej stronie biurka. Czuła na sobie jego spojrzenie, ale nie podniosła wzroku. Czyniąc sobie coraz mniej eleganckie wymówki, z uwagą obserwowała czubki swoich butów. Po chwili usłyszała szelest papierów.

– Jeśli remont ma się zacząć z początkiem wakacji, musimy przygotować całą dokumentację najpóźniej do połowy kwietnia... – zaczął rzeczowym tonem, z którego zniknęły owe wzbudzające emocje nutki. A może to jej się przesłyszało?

„Ten facet ma żonę”, powtarzała sobie raz po raz, wyjmując z torby zgromadzone materiały. Cud-żonę.

II

– I jaki on jest? – zapytała Alicja, gdy siedziały podczas przerwy obiadowej w nauczycielskim kącie stołówki, jedząc zupę kalafiorową.

– Wicedyrektor? – upewniła się Zoey.

– Nie, święty Mikołaj – fuknęła Alicja. – Pewnie, że Paskiewicz.

– Żonaty – stwierdziła krótko Eufrozyna. – Poza tym: ideał – dodała po chwili wahania.

Alicja zachichotała.

– No dobra, ale przecież nie musimy od razu za niego wychodzić. A pomyśl, jak wspaniałe perspektywy otworzą się przed nami, gdy chociaż z jednym z naszych szefów będzie szło się dogadać. Dyrektorka ostatnimi czasy zrobiła się nieznośna...

– Może zakochała się w Paskiewiczzu? – zasugerowała ze śmiechem Zoey. – Ona lubi mieć na celowniku mężczyzn nieosiągalnych, najlepiej takich, nad którymi ma władzę. Pamiętasz aferę z wuefistą albo jej umizgi do tego praktykanta-informatyka?

– Tego, który okazał się gejem? – spytała zszokowana Alicja. – W nim też?! O tym mi nie mówiłaś!

– Mówiłam, tylko nie słuchałaś – odparowała Zoey. – Swoją drogą, ciekawe czy kiedyś próbowała poderwać pana Miecia?

– Na pewno – stwierdziła stanowczo Alicja. Wybuchnęły głośnym śmiechem, wzbudzając natychmiastowe zainteresowanie uczniów. – Dobra, ideał ideałem, a jakieś konkrety? – dopytywała Alicja.

„Świetnie się z nim rozmawia, rozumiemy się bez słów, ma doskonałe poczucie humoru, obłądny głos i piękne oczy”, pomyślała natychmiast Zoey, lecz zamiast tego odpowiedziała:

– Jest dokładny, rzetelny i terminowy.

– Faktycznie, ideał... – parsknęła Alicja. – Księgowego!

– Śmieć się, śmieć, ale jak kiedyś przyjdzie ci przygotowywać całą dokumentację do wniosku unijnego z jakimś bałaganiarzem, zrozumiesz sens moich słów – burknęła.

– Dobra, dobra. Żartowałam przecież – powiedziała Alicja,

odsuwając talerz po zupie i zabierając się za drugie danie. –
Przemyślałaś sprawę Zakopanego?

Zoey przełknęła ślinę. Nadeszła chwila prawdy.

– Jak dzwoniłaś, to akurat byłam w „Pękatej pszczółce”... –
zaczęła ostrożnie.

Przyjaciółka rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Tylko mi nie mów, że...

Eufrozyna skinęła głową.

– Kaśka siedziała koło mnie i jak się rozłączyłaś, zaczęła
wypytywać, dokąd się wybieramy, a potem uznała, że to doskonały
pomysł, że od lat nie była na nartach, bo Pafcio ma w sezonie zimowym
zwykle najwięcej pracy i nie może sobie pozwolić na wolne, i że chętnie
się z nami wybierze – powiedziała Zoey na jednym wydechu.

Alicja jęknęła.

– Tylko nie to...

– Daj spokój. Przecież to tylko tydzień. Sama mówiłaś, że w domu
twojego wujka jest mnóstwo pokoi. Jak się postaracie, nie będziecie
musiały się nawet specjalnie widywać. – Naburmuszona Alicja nie
odpowiedziała. – Gdyby pojechała z nami, nie musiałybyśmy tłuc się do
Zakopanego pociągiem. Kaśka ma bardzo wygodny samochód z dużym
bagażnikiem. – Zoey postanowiła sięgnąć po ostateczny argument. –
Będiesz mogła zabrać tyle kosmetyków, ile będziesz chciała, i suszarkę,
i lokówkę, i przynajmniej trzy dodatkowe pary szpilek...

Alicja westchnęła ciężko, ale wyglądała na udobruchaną.

III

Eufrozyna obudziła się wcześniej rano. Nie musiała nawet patrzeć
na kalendarz – i tak wiedziała, jak niemal wszyscy mieszkańcy kuli
ziemskiej, jaki jest dzień. Z radiobudzika dolatywały już rzewne,
miłosne kawałki, zwiastujące początek ociekającego lukrem dnia
świętego Walentego, patrona zakochanych i szaleńców, o ile w ogóle
pomiędzy tymi dwiema kategoriami była jakaś różnica.

Zoey nie spodziewała się otrzymać żadnej kartki, kwiatów czy czekoladek. Jacek nadal milczał i nieomal gotowa była przyznać Kaśce rację, że tamtego deszczowego popołudnia nic między nimi się nie wydarzyło. Zniknął, przepadł jak kamień w wodę, a Lenkę zamiast nieziemsko przystojnego ojca odbierała ze szkoły korpulentna starsza pani. Zaś Robert... cóż, najprawdopodobniej robił teraz zdjęcia gdzieś w Indiach. Wróci za rok czy dwa i znów będą kolegami-sąsiadami, jak zwykle zresztą. To zaproszenie na wspólną wyprawę też z pewnością było tylko koleżeńską propozycją, a może wręcz zawodową? Kto wie, czy tym razem Robert nie potrzebował jej jako tłumacza?

Zoey musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Była sama. Sama, sama, sama, wiecznie sama, w walentynki też. Postanowiła jednak, że w tym roku nie da się zdołować komercyjno-popkulturowej presji. Wykaże się asertywnością wobec otaczającej ją rzeczywistości i uczci walentynki, okazując uczucie jednemu osobnikowi płci męskiej, który na to zasługuje – dziadkowi – a potem zacznie się pakować na babski wyjazd. Nic i nikt nie popsuje jej tego dnia. Ostatnie lekcje przed feriami są dla każdego nauczyciela szczególnie radosnym i uroczystym momentem, zwłaszcza gdy ma się w perspektywie wyjazd z przyjaciółkami na narty do zimowej stolicy Polski. Żadne walentynki nie zdołają popsuć jej humoru. Jest kobietą wolną i niezależną od czyichś wymagań i zachcianek. Spontaniczną i nowoczesną. Może robić, co chce, kiedy chce i z kim chce. I jako taka pozostanie dziś nieczuła na serduszkowy kicz, będzie ponad tym całym szaleństwem.

„Dokładnie tak będzie!”, poprzysięgła sobie Zoey.

Zza drzwi dobiegło ciche stukanie.

– Wstałaś? – zapytał dziadek, zaglądając do środka.

Po chwili wsunął się cały, niosąc śniadanie na srebrnej tacy, do której przywiązał maleńki, napełniony helem balonik w kształcie serca. Eufrozyna uśmiechnęła się. Na dziadka zawsze można było liczyć. Zjedli śniadanie, rozmawiając wesoło. Na koniec Damazy odśpiewał jej *La donna mobile*.

– Dla kurażu – powiedział, wychodząc. – Nie daj się walentynkom!

Puścił do niej oczko i poczłapał do kuchni, zostawiając po sobie zapach wody kolońskiej. Pokrzepiona jego słowami Zoey ruszyła pod

prysznic, nieudolnie podśpiewując arię. Postanowiła ostatniego dnia tego semestru wyjątkowo nie spóźnić się na pierwszą lekcję.

Mimo wszystkich zapewnień i deklaracji składanych sobie przez pięćdziesiąt minut od przebudzenia do wyjścia z domu, po drodze zajrzała jednak do skrzynki na listy. A nuż... Zresztą, kto wie, czy nie przysłali akurat jakiegoś niecierpiącego zwłoki pisma z urzędu skarbowego. Jeśli nie zajmie się nim dziś, zrobi to najwcześniej za tydzień, a wtedy może być już za późno.

Z żołądkiem zwiniętym w ósemkę wsunęła dłoń do blaszanej skrzynki i wyciągnęła okazały stosik poczty. Reklama, reklama, reklama, reklama, pismo ze spółdzielni, reklama. Nagle spośród ulotek wypadła na podłogę niewielka koperta zaadresowana odręcznym pismem do niej! Eufrozyna natychmiast włożyła pozostałe przesyłki z powrotem do skrzynki i schyliła się po kopertę. Wewnątrz, na pachnącym lawendą kartoniku, tajemniczy wielbiciel wykaligrafował dla niej wiersz Tuwima. Zoey aż podskoczyła z radości, widząc u dołu podpis: „Twój Walenty”.

– Hurraaa! – wykrzyknęła na całe gardło, powodując atak paniki u ratlerka sąsiadki spod dwójki. Biedny piesek posikał się ze strachu na nowiuteńką wycieraczkę, a sąsiadka, która dokładnie w tej samej chwili zamykała drzwi do mieszkania, by zabrać psa na spacer połączony z poranną toaletą, syknęła wściekle. Zawstydzona Zoey wsunęła pospiesznie kartonik do torby i, nie patrząc na sąsiadkę, czmychnęła z bloku.

IV

Po skończonych zajęciach Eufrozyna wbiegła jak na skrzydłach do pokoju nauczycielskiego, zostawić dziennik i zabrać torebkę. Cieszyła się jak dziecko. Po raz pierwszy od bardzo dawna miała w perspektywie ferie na stoku w towarzystwie dwóch przyjaciółek, które nienawidziły się niemal równie mocno, jak kochały Zoey, co gwarantowało skupienie wszystkich sił na rywalizacji o jej względy. Zapowiadał się więc wyjazd, podczas którego wreszcie znajdzie się w centrum uwagi. Zbierała rzeczy,

oddając się przyjemnym wizjom szusowania w promieniach słońca po puszystym, białym jak mleko śniegu. Otworzyła swoją szafkę i znalazła w środku małego kaktusika w czerwonej doniczce, który do jednego z kolców miał przyczepione miniaturowe, filcowe serduszko. W tej samej chwili ktoś wszedł do pokoju nauczycielskiego. Rozpromieniona Zoey odwróciła się odruchowo. W drzwiach stał Szymon. Posłała mu uszczęśliwiony uśmiech. Odpowiedział jej tym samym i podszedł bliżej, jakby chciał coś powiedzieć. Nagle wzrok wicedyrektora padł na trzymaną przez Eufrozinę doniczkę. Zatrzymał się w pół kroku i zeszywniał.

– Ładny kaktus – powiedział niechętnie.

Zoey, pochłonięta własnymi myślami, nie dostrzegła jego dziwnego zachowania. Spuściła tylko wzrok i przestała się uśmiechać, bo nagle przez głowę przemknęła jej niecodzienna, zupełnie zaskakująca myśl, że może to właśnie Szymon podarował jej nietypową walentynkę. Nim jednak zdążyła spytać go o cokolwiek, mężczyzna chwycił klucze do jednej z sal i szybkim krokiem wyszedł z pokoju. Eufrozyna została sama z kaktusem w ręce, nie rozumiejąc kompletnie nic z tego, co się przed chwilą wydarzyło. Odkąd dyrektorka oddelegowała jej do pomocy przy wniosku nowego wicedyrektora, zdążyli się już zaprzyjaźnić. Każdą okazję wykorzystywali na rozmowę, a teraz Zoey miała niezrozumiałe wrażenie, że Szymon nie tyle się spieszył, co najzwyczajniej w świecie uciekł przed nią. Czowała się winna, jakby czymś go uraziła, ale nie miała pojęcia, co też takiego zrobiła. Było jej przykro, że nie zdążyli się pożegnać przed feriami. Wychodząc z pokoju nauczycielskiego, w drzwiach wpadła na Alicję.

– O, widzę, że i ty dostałaś! – powiedziała radośnie przyjaciółka, wskazując na kaktusika w dłoni Eufrozyny, a widząc jej pytające spojrzenie, dodała szybko: – Pan Miecio.

Zoey poczuła ulgę i nieopisany żal. Miała ochotę się rozplakać. Alicja natychmiast to dostrzegła.

– Oho, widzę, że ktoś tu narobił sobie nadziei na tajemniczego wielbiciela – rzuciła cierpko, chcąc niewielką porcją złości wyrwać ją ze smutnych myśli.

Poskutkowało. Zoey przybrała pełną pogardy minę i sięgnęła do

kieszeni.

– Jeden mi wystarczy – odpowiedziała, podając przyjaciółce pachnącą lawendą kopertę.

– Ale heca! – wykrzyknęła Alicja. – Odkąd skończyłam piętnaście lat, nie dostałam takiej prawdziwej walentynki od nieznajomego.

Zoey uśmiechnęła się z wyższością, po czym wyjęła list z rąk przyjaciółki i schowała bezpiecznie do torebki.

– Masz pomysł, od kogo to?

– Żadnego. – Zoey pokręciła głową.

– Damazy?

– Naprawdę myślisz, że tylko dziadek mógł mi wysłać list na święto zakochanych?! – zapytała Eufrozyna, starając się zapanować nad emocjami, które przejmowały kontrolę nad jej strunami głosowymi. Prawdę mówiąc, zrobiło jej się naprawdę przykro.

Alicja pokręciła głową.

– Nie, no coś ty! – zapewniła czym prędzej, szturchając przyjaciółkę lekko w bok. – Ale jak się dowiesz, kto to, chcę być pierwszą, której zdradzisz ten sekret.

Zoey zaśmiała się.

– Pośpiesz się, do jutra nie zostało ci zbyt wiele czasu, a zagadki odkładane na później pozostają zwykle nierozwiązane na zawsze – zakończyła filozoficznie Alicja. – A teraz zmywaj się, bo mam całą masę papierów do wypełnienia. Wspominałam już, że nienawidzę wychowawstwa?

– Jakież milion dwieście razy – odparła Zoey i pomachała przyjaciółce na pożegnanie, po czym skierowała swoje kroki w stronę szkolnej stróżówki, by podziękować pocziwemu woźnemu za miłą niespodziankę.

Tajemnica walentynkowego kaktusa została rozwiązana, ale jedna myśl nie dawała Zoey spokoju. Skoro to nie Szymon był ofiarodawcą, to dlaczego tak dziwnie zareagował na widok upominku?

– Dziadku, jestem! – zawołała Eufrozyna, wchodząc do domu i rzucając torbę w kąt.

– I postanowiłaś z tej okazji mnie ogłuszyć? – zapytał dziadek, który ku zdziwieniu Zoey stał na drabinie tuż nad jej głową i szukał czegoś w pawlaczu. – Jakieś walentynki? – zagadnął, schodząc ostrożnie z wielkim słoikiem kompotu z wiśni w dłoni.

Zoey spojrzała na niego podejrzliwie. Może Alicja miała rację? Może to dziadek, chcąc poprawić humor jedynej wnuczce, wysłał jej tajemniczą kartkę?

– Nie licząc kaktusów, które dostałyśmy z Alicją od pana Miecia, tylko jedna – odparła powoli, przyglądając się uważnie, jakie wrażenie ta informacja zrobi na Damazym. Czuła się przy tym jak Sherlock Holmes lub jakikolwiek inny detektyw-jasnowidz, który potrafi rozpoznać złoczyńcę po jednym nieopatrzonym drgnięciu powieki.

– Oho! – Dziadek aż gwizdnął. – A wiesz od kogo? Jeśli, oczywiście, można spytać.

– Można, można, bo i tak nie mam pojęcia – odparła z naciskiem, wciąż nie spuszczając z niego oka. Wyjęła walentynkę z torby i podała dziadkowi. Damazy Maliniak spojrzał na kopertę i wyglądał, jakby zobaczył ducha. Wyjął ze środka zdobny kartonik i przebiegł po tekście wzrokiem, czerwieniąc się coraz bardziej. – Dziadku? – zaniepokoiła się Eufrozyna. – Wszystko dobrze?

Damazy, któremu najwyraźniej odjęło mowę, skinął głową, po czym wybuchnął gromkim śmiechem. Zdezorientowana Zoey patrzyła na niego, zastanawiając się, czy aby na pewno słusznie zrobiła, odwołując w ubiegłym tygodniu kontrolną wizytę dziadka u neurologa. Damazy śmiał się tak długo, aż zabrakło mu tchu, a łzy wesołości jedna za drugą spływały po pomarszczonych policzkach.

– Dziadku! – Niepokój Zoey powoli przeradzał się w irytację. – Czy możesz mi wreszcie wyjaśnić, co się stało?

– Władziu... – zakwiczął Damazy i znów zaniósł się śmiechem. Eufrozyna zamrugnęła.

– Pan Władysław? – zapytała, nic nie rozumiejąc. – A co on ma z tym wspólnego?!

– Władziu...to...to...Władziu to napisał – wysapał dziadek i nie przestając się śmiać, złapał się za brzuch i opadł na fotel.

Eufrozyna dłuższą chwilę nie mogła pojąć znaczenia słów dziadka. Pan Władysław Wrzesiński, jeden z najznakomitszych i najstarszych wciąż pracujących polskich dyrygentów, spokojny, poważny kawaler o nienaganych manierach, stanowił doskonale przeciwieństwo hulaki Damazego, z którym zresztą z niewyjaśnionych powodów przyjaźnił się od pół wieku. O ile podobny żart w wykonaniu dziadka byłby dla Eufrozyny czymś absolutnie zrozumiałym, o tyle do pana Władysława tego typu okrutne kpiny nie pasowały wcale.

– Jesteś pewien? – zapytała dziadka, który w międzyczasie zdołał się uspokoić.

– Najzupełniej. Ośmielę się stwierdzić, że znam starego wygę najlepiej na całym świecie i wszędzie poznam te jego gryzmoły.

Zoey spojrzała z powątpiewaniem na piękny, równy charakter pisma. Może jednak coś się Damazemu pomieszało...

– Poza tym to jego ulubiony wiersz Tuwima. „Jest w moim sercu cała pieśń o tobie, cały hejnał twego cudownego istnienia, lecz milczeć będę” – wyrecytował i znów zaniósł się śmiechem. – Oj, Władziu, Władziu. Taki stary, a taki głupi.

– Dziadku, bardzo cię proszę, zachowaj powagę – upomniała go Eufrozyna, zupełnie wytrącona z równowagi. – Czy ty chcesz mi powiedzieć, że pan Władysław...

Koniec zdania za nic nie chciał jej przejść przez gardło. Damazemu jednak nie trzeba było nic tłumaczyć.

– Tak, moja droga. Mamy tu do czynienia z klasycznym, staroświeckim wyznaniem uczuć. – Eufrozyna spoglądała to na kartkę, to na dziadka, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć. Damazy jednak wiedział. – Oj, nie będziesz milczał, bratku-kamratku, nie będziesz. Już ja tego dopilnuję – powiedział. – Będziesz śpiewał, i to cieniuteńko, gdy ja będę się z ciebie śmiał do końca naszych nielicznych już zapewne dni. Oj, nad twoją trumną też się zaśmieję. O ile nie umrę pierwszy, rzecz jasna.

– Dziadku... – jęknęła błagalnie Eufrozyna.

Najchętniej zapomniałaby o kartce i udawała, że nic się nie

wydarzyło. Postanowiła za wszelką cenę przekonać do swojego planu Damazego, co okazało się zadaniem wcale niełatwym. Wreszcie, gdy obiecała, że na wiosnę będzie myła okna regularnie co dwa tygodnie i bez marudzenia stawi się na dorocznej gali jubileuszowej, dziadek przybrawszy minę i pozę rzymskiego senatora, poprzysiął zabrać ze sobą do grobu sekret wygłupu życia przyjaciela.

– Tajemnicy dochowam, jakem Maliniak, ale już nigdy nie będę mógł spojrzeć na niego jak dawniej. Tego nie możesz ode mnie wymagać, moja droga – zakończył uroczyście.

Eufrozyna odetchnęła z ulgą, po cichu licząc, że Damazy zdoła jednak traktować pana Władysława normalnie i chciał tylko, by ostatnie słowo jak zwykle należało do niego. Kiwnęła głową i na wszelki wypadek skrzętnie schowała kartkę do kieszeni z zamiarem spalenia jej w zakopiańskim kominku.

VI

Był już późny wieczór, kiedy Eufrozyna skończyła się pakować. Stała na środku pokoju i przyglądała się walizkom, usiłując dociec, czego zapomniała. Rozmyślania przerwał jej głos dziadka, wołającego do niej z korytarza.

– Zoey, pozwól proszę na minutkę.

Pospieszyła w tamtą stronę i ujrzała wielki obsypany kwieciami krzew białej róży, spod którego wystawały odziane w spodnie w kant i obute w góralskie papucie nogi dziadka.

– Czy możesz podpisać panu, co trzeba, i czym prędzej uwolnić mnie spod tego kłującego ciężaru? – zapytał.

Eufrozyna dopiero teraz dostrzegła młodego mężczyznę w kurierskim uniformie, który stał na progu. W pierwszej chwili pomyślała, że to kwiaty dla dziadka. Mimo swego wieku wciąż regularnie dostawał bukiety i inne wyrazy uwielbienia od adoratek. Pochyliła się nad podkładką podsunietą przez chłopaka i ze zdziwieniem dostrzegła, że odbiorcą jest Eufrozyna Maliniak.

– A nadawca? – zapytała słabo.

Chłopak uśmiechnął się pyszałkowato.

– Walenty – odpowiedział i uchylając czapki dodał: –

Uszanowanie.

Oślupiała Eufrozyna stała w otwartych drzwiach i słuchała milknących odgłosów ciężkich buciorów chłopaka.

– Nie chcę ci przeszkadzać w wietrzeniu mieszkania, ale może mogłabyś zabrać ode mnie te wszystkie kolce? – Głos Damazego przywołał ją do rzeczywistości. – Moje starcze kości i wątłe mięśnie nie nadają się już do dźwigania takich nieporęcznych dowodów miłości. – Eufrozyna wyjęła ostrożnie przesyłkę z rąk dziadka i zatopiła twarz w pachnącym bukicie. – Ktokolwiek ci to przysłał, ma moje błogosławieństwo. Doskonały gust. To nie są zwykłe róże, moja droga. To róża akito. Gdybym miał raz jeszcze uderzać w konkury do twojej babci, też bym ją obsypał właśnie tymi kwiatami.

Zoey zabrała wielki bukiet do pokoju. Usiadła na łóżku i policzyła róże. Było ich dokładnie sto. Nie wypuszczając bukietu z rąk, opadła na łóżko zasypane ubraniami i różnymi drobiazgami. Znała tylko jednego mężczyznę, który mógł zdobyć się na tak szarmancki i szalenie romantyczny gest. Kaśka nie miała racji. Między nią a Jackiem tamtego popołudnia coś zaiskrzyło. Trzymany w dłoniach bukiet był tego namacalnym dowodem.

VII

Eufrozyna śniła właśnie o wielkim różanym ogrodzie, po którym przechadzała się boso, prowadzona pod ramię przez Jacka. Mężczyzna przystanął w smudze porannego światła, posłał jej powłóczyście, pełne oddania spojrzenie, po czym ujął jej twarz w obie dłonie. Przymknęła powieki i wystawiła w jego stronę usta gotowe do przyjęcia pocałunku, gdy wtem panującą wokół błogą ciszę przerwał dźwięk klaksonu.

– Zoey... – powiedział łagodnie dziadek, głaszcząc ją po policzku.

– Zoey... To chyba na ciebie tak trąbią, moja droga.

- Która jest? – szepnęła zaspana, nie otwierając oczu.
- Dziewiąta, maleńka – odparł dziadek spokojnie.
- Aaa! – Eufrozyna zerwała się na równe nogi. – Dziaaadku!

Miałeś mnie obudzić!

– A co niby robię? – zachnął się Damazy.

– Aaa! Miałeś mnie obudzić rano! – krzyczała Eufrozyna, miotając się między szafą a komodą w poszukiwaniu poszczególnych części garderoby.

– Nadal nie dostrzegam swojej winy – rzekł z godnością dziadek. – Dziewiąta to także ranek. A zaspaaś, bo o ile mnie starcza, ale wcale niezła pamięć nie myli, do późna w nocy krążyłaś po pokoju z bukietem kwiatów, wzdychając jak Ofelia czy inna nawiedzona pannica.

Zoey warknęła złowrogo. Nim jednak zdążyła powiedzieć dziadkowi parę słów do słuchu, uderzyła się boleśnie o twardą walizkę leżącą na środku pokoju.

– Auuuuu! – zawyła.

– Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy – zawyrokował dziadek tonem mędrca.

Zoey rzuciła w niego poduszką. W tej samej chwili rozdzwoniła się jej komórka. Kaśka. Eufrozyna podała telefon Damazemu.

– Masz szansę odkupić winy. Zaproś ją na górę i nakarm czymś, czymkolwiek, błagam! A, i napisz do Alicji, że się spóźnimy! – krzyknęła i pognała do łazienki. – Pośpiesz się! Błagam!



Dwie godziny później siedziały we trzy w przestronnym,

pachnącym skórą volvo Kaśki, i w kompletnej ciszy pokonywały kolejne kilometry dzielące je od ośnieżonych, tatrzańskich stoków, oscypków z żurawiną, grzańca i kominka, w którym wesoło będzie trzaskał ogień. Wprawdzie za oknem siąpiło coś, co bynajmniej nie zapowiadało spełnienia marzeń o szusowaniu w białym puchu, a nastrój panujący wewnątrz samochodu również nie wróżył sielanki. Kaśka z Alicją pokłóciły się przy pierwszej możliwej sposobności na tyle poważnie, że obie pograżyły się w złowrogim milczeniu. Kaśka uspokajała się, odpalając papieros od papierosa, a Alicja wsadziła sobie do uszu słuchawki, przymknęła powieki i, kiwając rytmicznie głową, słuchała muzyki. Zoey jednak nie martwiła się tym zbytnio. Siedziała obok kierowcy i, zatopiona we własnych myślach, wpatrywała się w kropelki deszczu spływające po gładkiej powierzchni szyby. Było jej dobrze, radośnie, i nic nie mogło tego zmienić, ani paskudna pogoda, ani obrażone przyjaciółki, ani nawet potężny korek na Zakopiance, o którym właśnie powiadomił słuchaczy spiker serwisu drogowego Polskiego Radia. Eufrozyna obracała w dłoniach główkę róży zmyślnie opatrzoną przez Damazego pojemniczkiem z wodą. Zdołał zmajstrować to cudo, dzięki któremu mogła zabrać symboliczny fragment bukietu ze sobą na wakacje, w międzyczasie karmiąc Kaśkę najlepszymi śniadaniowymi wiktuałami. Dzięki doskonałej frittacie z zieloną papryką i trzem kawałkom ciepłego placka ze śliwkami udało mu się skutecznie złagodzić jej wściekłość. Kaśka bowiem ze wszystkich rzeczy na świecie najmocniej nienawidziła szcurów i spóźnień, twierdząc, że to ostatnie jest wyraźnym znakiem lekceważenia jej niezwykle cennego czasu.

Tylko talentowi kulinarnemu dziadka Zoey zawdzięczała to, że gdy weszła do kuchni, Kaśka nie powiedziała ani słowa skargi, nie rzuciła się na nią z obelgami i nieparlamentarnymi wymówkami, dając upust wściekłości za zburzenie jej perfekcyjnych planów na ten poranek. Zamiast tego, rozparta wygodnie za stołem, z lubością wyjadała ostatnie okruszki placka, popijając herbatę. Eufrozyna spojrzała z wdzięcznością na dziadka i dyskretnie przeprosiła go za swoje poranne zachowanie. W zamian otrzymała paczkę z prowiantem na drogę i obietnicę, że Damazy zasuszy pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć kwiatów sobie jedynie znaną metodą, która gwarantowała zachowanie ich pięknego

wyglądu po wsze czasy.

Samochód jechał niemal bezszelestnie, od czasu do czasu mrucząc cicho, gdy koła najeżdżały na chropowate pobocze. Zoey muskała delikatne, białe płatki kwiatu i zdawało się, że żadne troski świata zewnętrznego nie mają dostępu do usłanej różami akito rzeczywistości, w której znajdowała się od niecałej doby. Deszcz za oknem sprawił, że obraz Jacka osłaniającego ją wielkim parasolem ożył w jej pamięci. Uśmiechała się do samej siebie, wspominając jego oczy, dumny podbródek, nonszalanckie ruchy, pewność i siłę, zdolne sprawić, że czuła się przy nim przez tę krótką, wspólną chwilę jak mała, słaba istotka, którą jeden mocniejszy podmuch wiatru niechybnie zmiótłby z powierzchni ziemi, gdyby nie podtrzymywało jej męskie ramię ojca Lenki. Jej wyobraźnia zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Po chwili Zoey była już na plaży i roześmiana rzucała kolorową piłką do swojej małej uczennicy, siedzącej na ramionach opalonego, wspaniale zbudowanego i również uśmiechniętego ojca.

– Co tak wzdychasz? – zapytała Kaśka, która zaspokoiwszy głód tytoniowy, najwyraźniej zaczynała się nudzić.

Zoey szybko opowiedziała jej o walentynkowej niespodziance.

– Fiu, fiu – podsumowała Alicja, która od pewnego czasu zamiast muzyki, słuchała ich rozmowy. – To od tego tatusia, tak?

Zoey przytaknęła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– A właściwie to skąd wiesz, że od niego? – zapytała rzeczowo Kaśka, zasiewając tym samym ziarno niepewności. – Był jakiś bilecik lub adres zwrotny na kartce u kuriera?

Eufrozyna zamyśliła się. Uczucie błogiej pewności zniknęło natychmiast, a jego miejsce zajęły wątpliwości.

– Nie wiem na pewno, ale...

– Ale zgodnie z moim stanem wiedzy odpowiednio bogatego wielbiciela masz tylko jednego – dokończyła Alicja, puszczając do niej oczko w lusterku.

Od pierwszego dnia wyjazdu nie dało się nie zauważyć, że przebywanie Kaśki i Alicji w jednym pomieszczeniu było możliwe wyłącznie wówczas, gdy obie miały w organizmie odpowiednie stężenie alkoholu. W przeciwnym razie natychmiast skakały sobie do gardeł i kłóciły się o wszystko jak pięciolatki w piaskownicy walczące o różową łopatkę. Jedynie w klubach, gdzie było zbyt głośno na rozmowę, i o poranku, gdy po nocnej imprezie były zbyt zmęczone, by się kłócić, zawieszały broń. Z tego powodu Zoey, która szczerze nienawidziła nocnego życia i po całym dniu na nartach marzyła jedynie o gorącym prysznicu, grzańcu i kołdrze, musiała co wieczór wychodzić z przyjaciółkami na miasto, żeby nie pozabijały się przy kominku i nie rozniosły górskiej chatki wujka Alicji.

Tego wieczoru wizytowały klub, w którym, ubrana w balerinki i prostą czarną sukienkę z motylem, Eufrozyna czuła się jak ubogi kopciuszek. Szampan lał się tu strumieniami, na obrotowych scenach tańczyły idealnie uczesane i pomalowane dziewczyny w butach, których wartość przekraczała połowę jej miesięcznej pensji, zaś przy barze siedzieli wyłącznie mężczyźni pod krawatem w pełnych garniturach i, sącząc whiskey, patrzyli na wijące się niewiasty. Koszmar! Jednak Kaśka uparcie twierdziła, że jest to najmodniejszy klub na Podhalu i wstydem byłoby go nie odwiedzić. Eufrozyna od kilku minut lawirowała pomiędzy tańczącymi, usiłując odnaleźć drogę do toalety.

– Zoey! – usłyszała za sobą męski głos zniekształcony przez wszechobecny harmider. – Zoey! – Rozejrzała się wokoło, ale w kłębach kolorowego dymu, wśród tłumów cisnących się wokół niej ludzi nie dostrzegła nikogo znajomego.

– Zoey!

Głos stał się wyraźny. Eufrozyna zamarła. Serce waliło jej tak mocno, że nabrała irracjonalnego przekonania, że zagłusza muzykę. Nie miała wątpliwości, kogo zobaczy, gdy się obróci. Przez ułamek sekundy zastanawiała się jednak, czy aby na pewno chce to zrobić. Czy nie byłoby rozsądniej udać, że go nie słyszała, czym prędzej precyzyjnie się do damskiej toalety i nie wychodzić stamtąd odpowiednio długo. Nigdy nie był specjalnie cierpliwy. Może da za wygraną i unikną żalostnej

próby odgrzewania dawno wygasłej znajomości, którą niechybnie skończyłoby się to spotkanie. Nie dał jej wyboru. Złapał ją od tyłu za ramię i zmusił do odwrócenia się.

– Zoey, to naprawdę ty! – wykrzyknął Marcin, gdy stanęli naprzeciwko siebie. – Ale numer!

Marcin Rydzewski został obdarzony przez kumpli w liceum szlachetnym przezwiskiem „Rex” po tym, jak w ostatniej minucie meczu wrzucił decydującego kosza za trzy drużynie z sąsiedniej szkoły, której ich ogólniak nie mógł odebrać palmy pierwszeństwa w dzielnicy przez piętnaście poprzednich sezonów. Zoey doskonale pamiętała tę chwilę. Siedziały z Alicją na metalowych ławeczkach i krzyczały wniebogłosy, zagrzewając zawodników do walki. Nigdy przedtem i nigdy potem koszykówka ani w ogóle żadna inna dyscyplina sportowa nie wzbudziła w niej takich emocji. Do dziś pamiętała tę pierwotną, wspólnotową radość wynikającą ze zwycięstwa „naszych” nad „obcymi”. Tego marcowego popołudnia ona dorobiła się anginy, a Marcin Rydzewski, niepozorny pierwszoklasista, zyskał miłość całej szkoły i przychylność nauczycieli na kolejne cztery lata edukacji szczebla średniego. Przestał być niepozorny i, o czym dość często miała okazję się przekonać, oglądając serwisy sportowe po wiadomościach, po dziś dzień nic się w tej kwestii nie zmieniło. Rex był urodzoną gwiazdą, co nie zmieniało faktu, że przy okazji okazał się także świetnym koszykarzem i wybitnym windsurferem.

Nie widzieli się prawie dziesięć lat. Zoey przyglądała się jego twarzy, na której czas nie zostawił najmniejszego śladu, i zastanawiała się jak to możliwe, że trzydziestotrzyletni Rex wygląda niemal identycznie jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Nie licząc przepisowego w tym miejscu garnituru, rzecz jasna. Delikatne rysy twarzy pozostały tak samo chłopiące. Długa, brązowa grzywka, finezyjnie przystrzyżona według najnowszych trendów, opadała mu niesfornie na skroń, dodając uroku. Serce Eufrozyny biło coraz mocniej. Czowała, że się czerwieni i w głębi duszy dziękowała Bogu, że spotkali się akurat w tym ciemnym, zadymionym klubie, gdzie przy odrobinie szczęścia mógł nie zauważyć, jakie wrażenie na niej zrobił. Wzięła głęboki oddech i próbowała zapanować nad łopotaniem wewnątrz klatki

piersiowej.

– O, cześć – powiedziała, dbając by w jej głosie zabrzmiały nutki zdziwienia.

– Tylko tyle po dekadzie rozłąki? – zapytał, przybierając poufaly ton.

Zoey czuła, że serce zaczyna bić jej w tempie grożącym zawałem.

– Co porabiasz w Zakopanem? – spytała, udając, że nie dosłyszała.

– Obóz kondycyjny – wyjaśnił krótko. – Rano i wieczorem biegi pod Reglami, w ciągu dnia bardzo ostrożne narty.

– A nocami kluby – uzupełniła.

Roześmiał się tak beztriosko i szczerze, że nie zdołała się opanować i zawtórowała mu, choć wyraźnie czuła, że w gardle rośnie jej wielka gęła. Nie mogła tylko zidentyfikować, co ją powodowało. Strach? Radość? Zawstyżenie? Rozgoryczenie, że oto spotykają się dekadę po tym wszystkim, a on rozmawia z nią bez śladu skruchy czy poczucia winy?

– Fakt. A co ty tu robisz?

– W klubie czy w Zakopanem? – upewniła się.

Znów się zaśmiał.

– Domyślam się, że pobyt w górach ma coś wspólnego z feriami, ale twoja obecność o tej porze w klubie rzeczywiście mnie fascynuje.

Zachichotała. Nie była tylko pewna, czy z rozbawienia, z nadmiaru martini, czy może jednak z nerwów?

– Jakoś tak się złożyło. I mnie zdarza się czasem jakieś szaleństwo – odparła.

– Pamiętam... – zaczął.

Zoey wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. Ona też pamiętała. Wszystko. Bardzo dokładnie. I jeśli czegoś była w tej chwili pewna, to tego, że nie chce wracać do przeszłości.

– A więc obóz kondycyjny? – wyrzuciła z siebie pierwsze lepsze pytanie, które przyszło jej do głowy.

Rex skinął głową, bardziej do siebie niż do Zoey i uśmiechnął się. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili usłyszeli przeciągły pisk.

– Iiii! Rex! O mój Boże, Rex! Rex! – szczupluteńka dziewczyna,

którą Zoey wprawnym belferskim okiem, zaglądając pod warstwy makijażu, odważnego stroju i niesłychanie wysokich butów z czerwoną podeszwą, oceniła na maksymalnie dziewiętnaście lat, nie przestając piszczeć, uczepliła się ramienia Marcina. – Tośka, Anka chodźcie! Szybko! To Reex!

Po chwili do Piszczącej przyłączyły się koleżanki. Okrążyły Rydzewskiego, i choć mimo obcasów sięgały mu pod ramię, skutecznie ograniczyły mężczyźnie ruchy i zmusiły do skupienia na nich całej uwagi. Zoey uśmiechnęła się kpiąco i odeszła, pozostawiając Rexa w oparach słodkich perfum i miętowej gumy do żucia, z iPhonami w złotych pokrowcach wymierzonymi w jego stronę.

Obejrzała się po chwili, by dostrzec, jak w oddali Marcin rozplątywa się w aurze uwielbienia, jaką roztoczyły wokół niego nastoletnie fanki. Okrężną drogą, by nie narażać się na ponowne spotkanie, wróciła do swojego stolika. Usiadła obok Alicji i odetchnęła z ulgą. Wpatrując się w wirujący na parkiecie tłum, mimowolnie zaczęła się zastanawiać, czy po latach miałoby szansę, gdyby spróbowali raz jeszcze. Kiedyś przecież byli sobie tak bliscy, najbliżsi...

W pierwszej klasie liceum, w dniu wyjazdu na zieloną szkołę, Alicja zachorowała. Zoey siedziała w autokarze sama, obrażona na cały świat i przeklinała prześladowającego ją pecha. Patrzyła przez okno, czekając, jak skazaniec w drodze na szafot, aż wychowawczyni zarządzi odjazd, i usiłowała się nie rozpłakać. Zastanawiała się, czy coś jeszcze może się wydarzyć, żeby ten dzień był gorszy. Niemal w tej samej chwili ktoś ciężko opadł na siedzenie obok niej. Szkolna gwiazda koszykówki – Rex. Zoey jęknęła. Gorzej być nie mogło. Od tamtego historycznego meczu kochała się w nim bez pamięci, podobnie jak większość dziewcząt w szkole. Różnica polegała na tym, że podczas gdy koleżanki potrafiły otaczać bohatera stosowną czcią i podziwem, ona bała się go jak ognia. Poprzysięgła sobie, że nigdy, przenigdy nie dopuści do sytuacji, w której Rex mógłby się dowiedzieć o tym, co do niego czuła. Udało jej się wytrwać w złożonym sobie przyrzeczeniu, głównie dlatego, że unikała jego towarzystwa, co było godnym podziwu wyczynem, zważywszy na to, że chodzili do tej samej klasy. Jej manewry, niekiedy bardzo energochłonne i wymagające niezwykle wyrafinowanych

wymówek, odznaczały się wysoką skutecznością. Choć czasem nawet siedzieli w jednej ławce, Eufrozyna nie odezwała się do Reksa przez ostatnie trzy miesiące ani jednym słowem i ani razu nie spojrzała mu w oczy, z czego była oczywiście bardzo dumna. Teraz jednak żaden unik nie wchodził w grę. Z całą jasnością dotarła do niej świadomość, że jest w potrzasku. Przez pierwszą godzinę podróży udawała, że śpi. W końcu jednak kark tak jej zdrętwiał od trwania w napięciu w niewygodnej pozycji, że musiała się poruszyć. Rex natychmiast to zauważył, a że zdążył uprzednio zjeść wszystko, co miał, z nudów zaczął ją zagadywać. Tym razem ze słodkiej opresji wybawić mógł ją jedynie wypadek autokaru, ewentualnie pożar silnika, ale tego sobie i innym nie życzyła.

Już po krótkiej wymianie zdań okazało się, że mają sobie o wiele więcej do powiedzenia, niż Zoey kiedykolwiek ośmieliłaby się przypuszczać. Na przystanku Rex wprawdzie dołączył do zbitych w stadko kumpli z drużyny, w tajemnicy przed nauczycielką popalających wspólnego papierosa, ale gdy autokar ruszał, zamiast podmienić się z kimś na siedzenia, znów zajął miejsce przy jej boku. Podróż minęła, przyjaźń pozostała. W krótkim czasie stali się niemal nierozłączni i tak trwali przez całe liceum, początek studiów, zapewne trwaliby tak po dziś dzień, gdyby nie pewna dżamprezka u Renatki, podczas której znana Zoey jedynie z widzenia, kompletnie pijana koleżanka gospodyni zaczęła opowiadać o pewnym słodkim koszykarzu, który całuje tak słodko, że aż jej się robi słodko na sercu na samą myśl o tym Słodziaku, którego największą i jedyną wadą jest ciągły brak czasu. Zoey zapewne nie zwróciłaby uwagi na jej słowa, gdyby kolejna dziewczyna nie włączyła się do rozmowy, opiewając cnoty i zalety swojego Misiaka, który jest równie zabiegany. Po krótkim werbalnym pojedynku na zalety obu chłopców, ku swemu bezbrzeżnemu zdziwieniu, któremu procenty jeszcze dodały jaskrawości, upojone w sztok dziewczęta odkryły, że ich wybrankowie mają ze sobą niezmiernie dużo wspólnego, od drużyny, w której grają poczynając, na rozmiarze buta kończąc. Wynikiem krótkiej i brutalnej konfrontacji, którą siedząca nieopodal Zoey śledziła z niemałym zainteresowaniem, było ustalenie danych osobowych Misia i Słodziaka.

– To na trzy-cztery, okej? – zaproponowała jedna z przejęciem

godnym oskarżonej nocy.

Koleżanka przytaknęła. Na umówioną komendę wykrzyknęły prawdziwe nazwisko ukochanego, a w kolejnej sekundzie skoczyły na siebie, usiłując pozbawić rywalkę tlenionych włosów i tym sposobem rozstrzygnąć, do której tak naprawdę należy Marcin Rydzewski oraz czy w rzeczywistości jest Misiakiem, Słodziakiem, czy zwykłym palantem.

Szklanka wypadła Zoey z ręki. Siedząca obok Alicja, która także słyszała wszystko, natychmiast ewakuowała otępiałą przyjaciółkę z feralnej imprezy, napoiła porządnie trunkiem wysokoprocentowym i odstawiła do domu pod czułe skrzydła Damazego.

Następne dni Zoey pamiętała jak przez mgłę. Siedziała na łóżku, opierając brodę na kolanach, i wpatrywała się w bliżej nieokreśloną przestrzeń, wciąż na nowo próbując zrozumieć, jak Rex mógł jej coś takiego zrobić. Jak on, taki bliski i dobry, mógł tak ją ośmieszyć, tak okrutnie zażartować z jej uczuć i szczęścia wspólnie spędzonych lat.

Po kilku dniach Marcin pojawił się w progu jej mieszkania. Otworzył mu Damazy. Chłopak tłumaczył coś zawile, głośno deklarując chęć wyjaśnienia wszystkiego. Przez uchylone drzwi swojego pokoju Zoey słyszała, jak dziadek łagodnie, acz stanowczo tłumaczy mu, żeby przynajmniej dał jego wnuczce spokój, skoro nie potrafił dać jej nic więcej. Zacisnęła dłonie na kocu i przygryzła poduszkę. Łzy zalewały jej oczy, rozmazując wszystko wokół. Czuła się tak, jakby ktoś rozcinał jej wewnątrz tępym nożem. Nie mogła oddychać i chciało jej się wyć z bólu, gdy nasłuchiwała odpowiedzi Marcina.

– Damazy, proszę, niech chociaż pan mnie zrozumie – mówił Rex.
– To wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem. Ja muszę jej wyjaśnić...

– Nieporozumieniem? – zapytał szybko dziadek.

Eufrozyna zastygła w bezruchu, z nadzieją w sercu.

– Tak, nieporozumieniem – powtórzył z naciskiem. – Zostałem w to wszystko wplątany...

Nadzieja zgasła.

– A, to skoro zostałeś wplątany, mój chłopcze, to znaczy, że była jednak jakaś afera i to w dodatku z twoim udziałem – rzeczowo zauważył Damazy.

– No tak, ale to wszystko nie jest tak, jak pan myśli. – Marcin się nie poddawał.

– Ja nic nie myślę, mój chłopcze. Nic a nic. Nie chce mi się tylko dłużej oglądać twojej kłamliwej postaci i oddychać tym samym powietrzem. Jestem starym człowiekiem i nadmiar emocji mi szkodzi.

Zoey była pewna, że w tym momencie dziadek chwycił się za pierś, doskonale wystudiowanym przez lata pracy scenicznej gestem, który wśród niewtajemniczonych zawsze budził przerażenie. Nie mogła się zdecydować, czy powinna zdenerwować się na dziadka, że w takiej chwili pozwala sobie na żarty, czy raczej cieszyć się, że dodatkowo dokuczył temu padalcowi, którego niestety wciąż kochała ze wszystkich sił, choć była pewna, że z nimi koniec.

– Panie Damazy? – usłyszała niepewny głos Marcina. – Wszystko w porządku? Wezwać pogotowie?

Poskutkowało. Eufrozyna obiecała sobie, że po wszystkim podziękuje dziadkowi za stylową obronę.

– To przez to zatrute kłamstwami powietrze – wypalił dramatycznie Damazy, prostując się, aż mu chrupnęło w łopatkach. – Więc jeśli mógłbyś mi zrobić tę przyjemność i czym prędzej opuścić mój dom, i najlepiej nigdy nie wracać, byłbym wielce zobowiązany.

Rex zaniemówił. Stał jeszcze chwilę w przedpokoju, mierząc się wzrokiem z Damazym. Przegrał. Odwrócił się w stronę wyjścia, mamrocząc coś pod nosem.

– A, i jeszcze jedno – zatrzymał go w progu dziadek. – Dopóki ja żyję, nikt bezkarnie nie będzie krzywdził mojej wnuczki. Masz się trzymać od niej z daleka. Zrozumiano?

Eufrozyna usłyszała w głosie dziadka nutki, których nie słyszała nigdy przedtem. Rex nic nie odpowiedział. Wybiegł z ich mieszkania, głośno trzaskając drzwiami. Zoey do dziś pamiętała moment, w którym zbieleły jej palce od trzymania się ramy łóżka, gdy powstrzymywała się całą siłą woli przed pobiegnięciem za nim.

Wkrótce potem Rex wyjechał na stypendium do Stanów Zjednoczonych, gdzie nie zrobił wprawdzie aż tak wielkiej kariery koszykarskiej, ale nauczył się świetnie pływać na desce, co wkrótce zaowocowało kolejnymi tytułami mistrzowskimi, tym razem

w windsurfingu.

Zoey wtuliła się w skórzane obicie klubowej kanapy. Poczła się nagle zupełnie bezbronna wobec powracającej fali wspomnień. Nigdy wcześniej i nigdy później nie była tak szczęśliwa jak przez te lata spędzone z Reksiem. Miliony razy zastanawiała się, czy nie powinna była dać mu szansy na wyjaśnienia albo po prostu przebaczyć i puścić w niepamięć tego, co się stało. Parę razy nawet zrobiła dziadkowi karczemną awanturę za to, że odprawił Marcina z kwitkiem, odmawiając mu prawa do przedstawienia zdarzeń z jego perspektywy.

– Zoey, w miłości perspektywa jest tylko jedna – tłumaczył wówczas dziadek. – Uczciwość. Jeśli ktoś oszukał cię raz, bez wątpienia zrobi to znowu.

– Odmawiasz ludziom prawa do nawrócenia, do rehabilitacji! – oburzała się Eufrozyna.

– Nie, maleńka. Nie odmawiam.

– To dlaczego nie dałeś mu wyjaśnić?

– Bo nim zaczął wyjaśniać, znów skłamał...

Eufrozyna była jednak w tamtej chwili zbyt zdołowana własną samotnością i kolejnymi niepowodzeniami miłosnymi, żeby pojąć takie postawienie sprawy.

– Zastraszyles go, sterroryzowales swoimi grozbami! To wszystko przez ciebie! Bał się przyjść, bał się zadzwonić. Przez ciebie nigdy sobie tego wszystkiego nie wyjaśniliśmy!

– Ciebie też sterroryzowałem? – zapytał łagodnie Damazy. – Jeśli chciałaś wyjaśnień, to czemu sama do niego nie zadzwoniłaś?

Zoey umilkła. Zrozumiała, że nie zadzwoniła, bo coś w głębi duszy podpowiadało jej, że nie może tu być mowy o pomyłce. Teraz, siedząc w zadymionym klubie, wśród migoczących nieznośnie lamp stroboskopowych, rozważała, czy aby na pewno się nie myliła? Może gdyby wówczas nie dała ponieść się emocjom i dumie, miałaby sławnego i przystojnego męża, z którym jeździłaby po całym świecie? Może byłaby szczęśliwa?

– Jesteś z nami? – zagadnęła Alicja, podając jej kolejny kieliszek martini.

– Ciałem na pewno, ale chyba nie duchem – zawtórowała jej

Kaśka.

Eufrozyna wzruszyła ramionami. Nie chciało jej się wyjaśniać wszystkiego dziewczynom. Była głęboko przekonana, że i tak niczego by nie zrozumiały. W tej samej chwili, po przeciwnej stronie parkietu, dostrzegła wysoką postać Reksa. Rozglądał się, jakby kogoś szukał. Tknęło ją niemiłe przeczucie, że wie, kogo.

– Idziemy na parkiet – zawyrokowała i duszkiem wypiła zawartość kieliszka.

Alicja i Kaśka wymieniły zszokowane spojrzenia. Zoey co do zasady nie tańczyła, a nieliczne wyjątki od tej reguły nigdy dotąd nie zdarzyły się w klubie. Kaśka pociągnęła łyk drinka i chwyciła Zoey za rękę.

– Raz kozie śmierć! – zawołała, kierując się w stronę parkietu.

Otoczona dziesiątkami wilgotnych od potu ludzkich ciał, wijącymi się nieskładnie obok rytmu, Zoey poczuła się bezpieczna. Po dziesięciu minutach, góra kwadransie podrygiwań uznała, że odczekała już wystarczająco długo i wygłupiła się stanowczo ponad miarę. Rozejrzała się za Kaśką, ale przyjaciółka wywijała właśnie kankana do piosenki Davida Guetty. Spróbowała wydostać się z ludzkiej masy przy użyciu łokci. W końcu się udało. Tańczący tłum, niemal dosłownie, wypłuł ją na wprost ich stolika, przy którym – o zgrozo! – siedziała roześmiana Alicja i wesoło konwersowała z nie mniej rozbawionym Reksem. Torebka Zoey wisiała na krześle obok. A w niej, oprócz pieniędzy na taksówkę, były też klucze do górskiego domku. Bez nich pod nieobecność dziewcząt zmuszona byłaby spędzić noc w temperaturze mocno poniżej zera na ulicy, w dodatku bez płaszcza, który wisiał pod torebką. Nie miała wyjścia, musiała do nich podejść.

– Co za spotkanie! – wykrzyknął Marcin, jakby nie widzieli się od lat, a nie od kwadransa. – Widzę, że papużki nadal pozostały nierozłączkami.

Eufrozyna zaczerwieniła się tak bardzo, że aż policzki zaczęły ją piec. Pozwoliła pocałować się na powitanie, wymamrotała kilka nieskładnych słów, uśmiechnęła się krzywo i zajęła bezpieczne miejsce obok Alicji. Czym prędzej skinęła ręką na kelnera.

– Martini. Podwójne i najlepiej jeszcze dodatkowo coś

wzmocnione – szepnęła mu do ucha. – Muszę przetrwać.

Kelner, który najwyraźniej niejedno w życiu widział, pokiwał ze zrozumieniem głową. Do końca wieczoru nie odezwała się ani słowem, przysłuchując się, jak jej przyjaciółka, która najwyraźniej z łatwością zapomniała o przeszłości, wspomina szkolne lata z kolegą z klasy, uparcie ignorując to, że był wówczas chłopakiem Zoey.

IX

– Ej, twoje noworoczne marzenie się spełnia, widzisz to? – emocjonowała się Alicja, gdy następnego ranka siedziały we dwie, bez przyjemności popijając czarną z braku mleka kawę. – Pomyśl, jakie jest prawdopodobieństwo, że po dziesięciu latach wpadniecie na siebie w klubie w Zakopanem?! Uwzględniając fakt, że ty nie chodzisz po klubach, a on rzadko bywa w Polsce – bliskie zero! To los was znów ku sobie prowadzi! Chciałaś się zakochać i voilà! Nie do wiary! Po prostu nie do wiary!

Zoey, której myśli poprzedniej nocy, zapewne przez drinki wyjątkowo miłego kelnera, biegły podobnym szlakiem, uśmiechnęła się niepewnie.

– Może, kto wie... – odparła cicho.

– Żadne może! Dziewczyno, to magia! Wypowiedziałaś życzenie i...

Na schodach dało się słyszeć kroki. Eufrozyna rzuciła Alicji pełne paniki spojrzenie, ale nim którakolwiek zdążyła zareagować, schodząca na dół Kaśka spytała czujnie:

– Jakie znowu życzenie?

Nie było odwrotu. Eufrozyna cała czerwona słuchała, na szczęście dość oszczędnej, relacji Alicji z ich wspólnego sylwestra, a zwłaszcza opisu finałowego kwadransa. Kaśka prychnęła z pogardą.

– Wy to macie pomysły!

W pewnych kwestiach Kaśka była nieoceniona, ale niektórych spraw po prostu nie pojmowała, i w ramach samoobrony przed

wyśmianiem, dla własnego dobra, nie należało jej we wszystko wtajemniczać. W ułożonym, dorosłym, perfekcyjnym świecie Katarzyny Szczygło nie było miejsca na wiarę w cuda, czary, spełnianie życzeń i tym podobne wygłupy.

– No dobrze, to jak idzie spełnianie tego życzenia? – zapytała Kaśka wciąż z lekko zjadliwym uśmiechem na ustach, nalewając sobie do kubka kawy z ekspresu.

– Świetnie! – wykrzyknęły jednocześnie Zoey i Alicja tonem, którym zwykle samotna kobieta odpowiada na pytanie o sprawy sercowe.

– A dokładnie? – spytała rozbawiona ich zgodnością Kaśka. Zoey przygryzła wargę.

– Wychyły duchy cudownej przeszłości i pojawiły się obiecujące dziny terażniejszości, ale przyszłość nadal pozostaje zakryta – poetycko podsumowała skacowana Alicja, która podjęła próbę wyratowania Zoey z kłopotów. Poskutkowało. Kaśka zamrugła ze zdziwienia, po czym wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

– Chyba potrzebuję więcej szczegółów, żeby zrozumieć cokolwiek z tej poezji – powiedziała, odzyskawszy głos. – Pamiętam Jacka od kwiatów i sąsiada od podróży do Indii, kogoś pominęłam?

Eufrozyna, widząc, że nie ma innego wyjścia, opowiedziała przyjaciółce wydarzenia ostatniego wieczoru w klubie.

– Ulala, „Rex” Rydzewski! Proszę, proszę! – Kaśka była pod wrażeniem. – Nie wiedziałam, że się znacie.

– Kiedyś byliśmy... – zaczęła Eufrozyna. – Chodziliśmy do tej samej klasy, ale to było dawno temu. Był ze mną na waszym ślubie.

– Naprawdę? Wow! Nie wiedziałam! – Kaśka nie zdołała opanować ekscytacji. – Rex był na moim weselu i ja tego nie pamiętam?!

– Bo wtedy był jeszcze zwyczajnym Marcinem. Nie zwróciłaś na niego uwagi. Zresztą słabo się wtedy znałyśmy. Właściwie i ja tam byłam tylko dlatego, że twój dziadek kumpluje się z moim. Dopiero później zaczęłyśmy się przyjaźnić. Już po naszym... Gdy nasze drogi z Reksem rozeszły się na dobre.

– Aż do wczoraj... – mruknęła Alicja, która najwyraźniej uważała

to spotkanie za jeden wielki cud.

– Wspaniale! Czyli życzenie się spełniło. Zoey zapomina o kwiatach i podróżach, pada w objęcia Rekxa, wszyscy są zadowoleni i mamy problem z głowy? – podsumowała drwiąco Kaśka.

– Tak! – powiedziała entuzjastycznie Alicja, zbyt przejęta, by wyczuć kpinę.

– Nie – odparła jednocześnie zamyślona Eufrozyna.

Alicja posłała jej zdziwione spojrzenie, a Kaśka zapytała:

– Jak to?!

– Bo to JA chciałam się zakochać – powiedziała Zoey z naciskiem.

– A nie żeby ktoś zakochał się we mnie. Zresztą o żadnym zakochaniu na razie nie może być mowy. Nie wiem, o czym właściwie rozmawiamy. Na razie koledzy... Mężczyźni wyrastają wokół jak grzyby po deszczu i tyle.

– Każdy by takie „tyle” chciał... – zaśmiała się Alicja.

– No widzisz, nie każdy – burknęła coraz bardziej poirytowana Eufrozyna. – Macie wreszcie dowód na to, że jestem wariatką, ale ja właśnie nie chcę, żeby mnie tak osaczali na każdym kroku. Prawdę mówiąc, jest to trochę męczące i niezwykle krępujące. Mi wystarczyłby ten jeden jedyny.

Kaśka pokiwała głową z aprobatą.

– To może jednak Rex, co? – zasugerowała, najwyraźniej świetnie się bawiąc. – Pafcio jest jego wiernym fanem, będzie zachwycony. – Zoey zatkało z wrażenia. Najgorsze było to, że nie potrafiła orzec, czy Kaśka żartuje, czy mówi poważnie. – No, dalej, jak oceniasz swoje szanse na ponowne zakochanie w Reksie? Nie rób takiej miny, na kilometr widać, że to jakaś stara historia miłosna, a nie zwykły kolega, którego przypadkiem z braku laku wzięłaś na moje wesele. – Eufrozyna zaczerwieniła się z przykrości, co przyjaciółka przyjęła najwyraźniej za dobry znak. – Okej, widzę, że szanse są duże – odpowiedziała sobie sama. – Świetnie, w takim razie życzenie jednak się spełniło, ja poproszę autograf dla Pafcia i możemy skończyć z tymi bzdurami o poranku. Co jemy? Głodna jestem.

– To nie takie proste... – szepnęła Zoey

Alicja pochyliła się nad swój kubkiem i upiła łyk kawy.

– Lodówka jest pusta. Musimy iść na miasto – odpowiedziała szybko Kaśce, po czym wróciła do tematu zasadniczego: – Zoey, to jest bardzo proste! Co do Reksa może i sama miałabym jakieś wątpliwości, ale z pewnością nie pogardziłabym takim stylowym, jak to powiedziałaś, osaczeniem przez tych twoich nowych wielbicieli. Zwłaszcza przy takiej selekcji jakościowej... Sto róż akito, podróż do Indii, proszę cię! Takie rzeczy nie przytrafiają się na co dzień i z pewnością nie każdemu.

Zoey westchnęła. Alicja była nieuleczalnym przypadkiem. Poszukiwaczką wrażeń, świeżych doznań, smaków, zapachów. Uwielbiała podróże, nowych ludzi, spanie w cudzych łóżkach pod obcym niebem. Miała w sobie coś z nomady, i pewnie dlatego nie mogła pojąć, jak można tęsknić do swojego jednego, jedyne miejsca na ziemi i tej jednej wyjątkowej osoby. A Kaśka jak zwykle myślała tylko o sobie. Zoey popatrzyła na przyjaciółki i poczuła się wśród nich obco jak nigdy dotąd. Nie rozumiały jej. Każda uważała, że jej własny sposób myślenia i styl życia są najlepsze. Żadna nie próbowała nawet przez chwilę popatrzeć na świat jej oczami. Ekscentryczne, barwne, temperamentne przyjaciółki są świetne na czas wesołości. Młodość upływa w ich towarzystwie głośno, radośnie i intensywnie, ale czasem życie ma mniej kolorów, okropnie przytłacza, męczy, wyciska łyzy. Zoey poczuła, że potrzebuje tylko zrozumienia, wysłuchania, tak po prostu, bez komentarza, a nade wszystko bez narzucania jej wizji rzeczywistości. Jediną osobą, która z całą pewnością mogłaby ją teraz zrozumieć, był oddalony o kilkaset kilometrów dziadek, ale jemu z kolei nie mogła opowiedzieć wszystkiego, co działo się w jej wnętrzu. Wstydziła się. Zapragnęła nagle znaleźć się we własnym domu pod kołdrą i porządnie się wypłakać. Dawno nie czuła się taka zagubiona i wyobcowana.

– Muszę się wykąpać – powiedziała, starając się brzmieć naturalnie i celowo nie patrząc na dziewczyny, żeby się nie rozpłakać. – Idźcie coś zjeść. Nie czekajcie na mnie.

Alicja, widząc, co się dzieje, chciała się podnieść i pójść za nią, ale Kaśka powstrzymała ją szybkim, dyskretnym ruchem głowy. Alicja po krótkiej chwili zastanowienia opadła na krzesło. Najwyraźniej Zoey rozpaczliwie potrzebowała zostać sama i upewnić się, czego chce od Marcina, jeśli w ogóle czegokolwiek.

X

Gdy Eufrozyna zeszła na dół, ugniatając rącznikiem mokre loczki, dziewczyn już nie było. Zostawiły jej karteczkę, że jadą na porządne śniadanie do „Watry”, a potem będą zjeżdżały na Nosalu, czekając na nią.

Zoey zmięła liścik i wrzuciła go do kosza. Miała serdecznie dość przyjaciółek, których towarzystwo jedynie potęgowało jej wątpliwości. Doskonale bawiły się jej kosztem i robiły wielkie halo ze spraw nieistotnych. Kincaid wyjechał do tych swoich Indii bez słowa pożegnania, jak zwykle zresztą. Skreślony. Rex to przeszłość. Wczoraj cały czas rozmawiał z Alicją, jej jakby w ogóle nie dostrzegając. Out. Pozostaje Jacek... Hmm... Nad nim musiałaby się dłużej zastanowić. Albo i nie. Wcale nie będzie się zastanawiała, dopóki nie upewni się, czy te kwiaty rzeczywiście były od niego i co właściwie miałyby oznaczać? Może stanowiły wyraz wdzięczności rodzica za rzetelne uczenie dziecka? Wprawdzie róż było obłędnie dużo, a i data ich nadesłania była mocno sugestywna, ale w dzisiejszych czasach różne rzeczy się zdarzają. Basta! Pora wziąć się w garść i zająć rozwojem osobistym, zamiast wciąż kręcić się wokół nieistniejących problemów sercowych.

„Może Alicja miała rację?”, pomyślała. „Może rzeczywiście wyśniłam sobie nieistniejący ideał?”. W tym momencie przed oczami stanęła jej roześmiana twarz wicedyrektora. „Tylko tego jeszcze brakowało, żebym zakochała się w zaobrączkowanym mężczyźnie”, skarciła samą siebie, kręcąc głową, żeby odpędzić jego obraz.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Zatopiona we własnych myślach ruszyła otworzyć, zapominając, że jest ubrana jedynie w kusy szlafroczek i ma mokrą głowę. W drzwiach stał Marcin. W jednej ręce trzymał plastikową podstawkę z papierowymi kubkami, w drugiej szeleszczącą, brązową, wypchaną do granic możliwości torebkę. Obrzucił jej długie nagie nogi wyjątkowo bezwstydnym spojrzeniem.

– Nie spodziewałem się takiego przywitania – powiedział,

uśmiechając się do niej drapieżnie.

Zoey zacisnęła mocniej ręce na szlafroku i patrzyła na mężczyznę szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

– Przyniosłem ci śniadanie. Cappuccino z cynamonem i drożdżówka z białym serem? Dobrze pamiętam? – zapytał w odpowiedzi na jej nieme pytanie, po czym, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Zoey zamknęła drzwi. Serce waliło jej jak oszalałe. Nie wiedziała, co ma robić. Tymczasem Rex odstawił zakupy na stół i przyglądał się jej z uśmiechem.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Alicja – odparł szybko. – Wszyscy w tym mieście leczą kaca szaszłykami z „Watry”.

Zoey uśmiechnęła się niemrawo, w duchu uroczyście przysięgając nie odzywać się do Alicji nigdy, przenigdy więcej.

– Kawy? – zapytała nieprzytomnie. Pomachał jej kubeczkiem przed nosem. – A, tak. Dziękuję. – Wzięła od niego papierowy kubek i usiadła, przezornie chowając nogi głęboko pod stołem.

– Denerwujesz się? – zapytał wprost, siadając naprzeciwko.

Odważyła się na niego spojrzeć. „Boże! Jaki on jest przystojny!”, pomyślała mimo woli, ale w tej samej sekundzie skarciła samą siebie. „Opanuj się, opanuj się. To zamknięty rozdział”.

– Nie. Czemu? – odparła już na głos.

Rex nie odpowiedział, tylko posłał jej znaczące spojrzenie.

– No dobrze, trochę się denerwuję – przyznała w końcu, zastanawiając się, dlaczego po prostu go nie wyprosi, nie pójdzie się ubrać i, jak gdyby nigdy nic, nie dołączy do dziewczyn na stoku. Starła się myśleć o Jacku i różach akito, ale jakoś nie mogła się skupić. – Po co przyszedłeś?

– Nie mieliśmy okazji wczoraj porozmawiać – odparł. – Zoey... tęskniłem.

Eufrozyna miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Tyle lat, mniej lub bardziej świadomie, czekała na ten dzień – i oto nadszedł. Rex siedział naprzeciwko niej i mówił o tęsknocie. Miała ochotę uszczypnąć się, by sprawdzić, czy nie śni. Zamiast tego sięgnęła po drożdżówkę.

Ułamała kawałek i bawiła się nim chwilę, formując kulkę. Zajęcie rąk zwykle pomagało jej uspokoić nerwy i zebrać myśli. Marcin wyciągnął rękę przez stół i położył dłoń na jej dłoni.

– Zoey... tęskniłem – powtórzył. – Tak bardzo tęskniłem.

– Więc czemu się nie odezwałeś? – szepnęła drżącym głosem, pozwalając, by wciąż dotykał jej ręki.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Nie śmiałem, nie mogłem, a może... Może po prostu się bałem.

– Czego?

– Ciebie, siebie... – zawahał się. – Pana Damazego.

Eufrozyna nie mogła się nie uśmiechnąć. Marcin odpowiedział jej tym samym. Był to ładny, dobry, trochę nieśmiały uśmiech, tak różny od pyszałkowatego grymasu, który miał na wszystkich okładkach magazynów sportowych. Uśpione przez lata uczucie wybuchło nagle z wielką mocą. To był dawny Rex, jej Rex; ukochany, jedyny. Czowała, że grunt usuwa się jej spod nóg, a wszelkie racjonalne argumenty tracą moc. Największa miłość jej życia była tuż obok.

– Zoey... wtedy... tamto... – zaczął znowu. – To wszystko było nie tak.

– Ciii... – szepnęła i, niewiele myśląc, podniosła jego dłoń do ust. – To było dawno i nie ma już znaczenia.

Marcin zrozumiał. Wstał, wciąż nie puszczając jej ręki. Podszedł bliżej, bardzo, bardzo blisko. Drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął. Ich ciała splotły się w uścisku. Zoey czowała, że świat przestaje istnieć. Wtedy Rex pocałował ją, mocno wpijając wargi w jej usta. Zabrakło jej tchu, a od emocji zakręciło się w głowie. Zamęt w myślach ustąpił, a jego miejsce zajęła drżąca cisza. Byli tylko oni.

XI

Wieczorem Zoey siedziała nadal w szlafrocжку i spoglądała w trzaskający wesoło w kominku ogień, będący jedynym źródłem

światła w pomieszczeniu. Nie myślała o niczym szczególnym. W jej głowie zapanowała dziwnie przyjemna pustka. Jakby ten dzień spędzony z Marcinem odłączył zasilanie wszystkich jej wątpliwości. Siedziała z kieliszkiem wina w dłoni i po prostu patrzyła, jak pomarańczowe jęczyczki pochłaniają coraz większe kawałki szczapy drewna, którą przed wyjściem dorzucił do kominka Rex.

– To Marcin wychodził przed chwilą? – spytała głośno Alicja, zrzucając narty w przedsionku i brutalnie zapalając światło. – Co tak siedzisz po ciemku?

Zoey odwróciła się w jej stronę, mrużąc oczy. Popatrzyły na siebie, a potem Zoey skinęła głową i wzruszyła ramionami, lekko się uśmiechając, jakby to, że spędziła ten dzień z Rexem, było czymś oczywistym.

– Jejku i co? Jak było? – pisnęła podekscytowana Alicja. – Znów jesteście razem, tak?

– Nie wiem... – zawahała się.

Wraz z pojawieniem się Alicji i jej zestawu obowiązkowych przyjacielskich pytań znów ogarnęła ją fala wątpliwości. W głębi serca odezwały się ostrzegawcze głosy, a niepokój, który odczuwała poprzedniego wieczoru, powrócił.

– Jak to, nie wiesz? – oburzyła się Alicja. – Spędziliście razem cały dzień. Sami. Nie odbierałaś telefonu i, sądząc po twoim stroju, miałaś po temu dobry powód. A ty mi mówisz, że nie wiesz?!

– Bo nie wiem! – wrzasnęła Zoey. Alicję zamurowało. Eufrozyna sama była pod wrażeniem, że potrafi wydobyć z siebie tak donośne dźwięki. – Nie wiem, rozumiesz? – zapytała już ciszej. – Dziadek zawsze powtarza, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki...

– To Heraklit, a nie Damazy, a zresztą ani jeden, ani drugi nigdy nie był młodą kobietą – powiedziała Alicja tonem znawcy. – Może czasem, żeby pójść dalej, trzeba o czymś zapomnieć, wejść drugi raz i dać się ponieść prądowi wydarzeń, poczekać, co się stanie, dać sobie szansę.

Zoey wstała i objęła przyjaciółkę.

– Przepraszam, że jestem taka nieznośna – wyszeptała, wtulając się w chudy obojczyk Alicji. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Boisz się. To normalne. Ale czasem warto zaryzykować, wierzm.

– Zoey, zrobiłaś zakupy? – krzyknęła Kaśka, wchodząc. – Jestem tak głodna, że ostrzegam: jeśli w lodówce jest pusto, zjem te przeterminowane ogórki, które wczoraj kazałaś mi wyrzucić!

Alicja i Zoey, nadal objęte, zaczęły się śmiać.

– A wam co jest? – zapytała podejrzliwie Kaśka.

– Nic, nic – odparły tonem niewiniątek i znów wybuchnęły śmiechem.

– Ale jedzenia nie ma – wydusiła z siebie Alicja. – Zoey była zbyt, ekhm... zajęta, by przejmować się tak przyziemnymi sprawami.

Eufrozyna wymierzyła jej kuksańca i ruszyła po telefon, żeby zamówić pizzę.

XII

– Cieszę się, że cię widzę, całą i zdrową – zagadnął dziadek, gdy po powrocie z dworca usiedli razem do obiadu. – Martwiłem się, czy aby nie oberwiesz rykoszetem, gdy Alicja z Kaśką skoczą sobie do gardeł.

Zoey zachichotała.

– Nie było aż tak źle – odparła ze śmiechem.

Zdała dziadkowi szczegółową relację z wyjazdu, dbając o to, by ani słowem nie zdradzić obecności Reksa w całej historii. Nie opowiedziała, że spędzili trzy dni, niemal się nie rozstając. Jeździli na nartach, włóczyli się po Krupówkach, kupowali różne drewniane bibeloty na bazarze pod Gubałówką, a wieczorami pełnili rolę rozjemców pomiędzy Alicją i Kaśką, po czym, napoiwszy je wystarczająco, by do rana żyły w zgodzie, wracali do hotelu Reksa. Przez cały ten czas nie zastanawiała się, co do niego czuła. Postanowiła raz w życiu posłuchać Alicji. Dać się ponieść prądowi i nie myśleć o niczym, po prostu być szczęśliwa i cieszyć się życiem. W dniu wyjazdu rozstali się bez żadnych deklaracji, ale Zoey była pewna, że Marcin wkrótce się do niej odezwie. Po tym co przeżyli przez ostatnie

kilka dni, nie mogło być inaczej. Dawne uczucie rozgorzało z nową mocą. Dziadek jednak od razu wyczuł, że wnuczka czegoś mu nie mówi.

– A poznałyście kogoś? – zapytał ostrożnie, bacznie się jej przyglądając.

– Nie – odparła zupełnie szczerze, pewna, że pytanie nie dotyczyło dawnych znajomości.

– To może spotkałyście kogoś znajomego? – dopytywał, jakby czytał w jej myślach.

– Któregoś dnia wpadłyśmy w klubie na Reksa – wyrzuciła, siląc się na naturalność, po czym wsadziła duży kawałek kotleta do ust. Dziadek milczał, wciąż na nią patrząc. Starła się udawać, że nie dostrzega jego sugestywnego spojrzenia. – Był z całą drużyną na obozie kondycyjnym – wyjaśniła niemal swobodnie. – Spotkaliśmy się wszyscy przypadkiem w tym burżujskim klubie, o którym ci już opowiadałam. Tym, w którym Kaśka została królową obrotowego parkietu, ku wielkiemu niezadowoleniu...

– Nie mydl mi oczu Kaśką – wszedł jej w słowo Damazy. – Lepiej powiedz, co z Marcinem.

– Zależy, o co pytasz – odparła Zoey, dłubiąc w marchewce. – Jest zdrowy. W zasadzie poza grzywką niewiele się zmienił...

– Zoey!

– No co?!

– Przecież wiesz, o co pytam...

– Nie, nie wiem! – Dziewczyna nie wytrzymała, rzuciła widelcem o talerz. – Nie mam pojęcia, co chcesz usłyszeć! Nie wiem, po co to całe przesłuchanie! Spotkałyśmy dawnego kolegę. Kropka.

– To skąd tyle emocji?

Zoey wiedziała, że atak złości ją zdradził.

– A nawet jeśli spotkaliśmy się raz czy drugi, to czy to aby na pewno jest twoja sprawa? – zapytała oschle.

– Zoey, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki – powiedział dziadek, wciąż jeszcze spokojny, choć widać było, że nastrój wnuczki i jemu zaczyna się udzielać. – To się nigdy dobrze nie kończy.

– A niby dlaczego? – spytała wojowniczo. – Marcin się zmienił...

– Nie bądź naiwna! – przerwał jej gniewnie Damazy, nie panując

już nad emocjami, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. – Tacy jak on nigdy się nie zmieniają.

– A skąd wiesz?! Może warto czasem dać komuś drugą szansę?

– Może i warto, ale nie komuś takiemu jak Rex.

– To znaczy jakiemu? Jakiemu?! – spytała prowokacyjnie Zoey, splatając ręce na piersi. – Co możesz o nim wiedzieć, po tylu latach?

– Wiem, że ktoś, kto w młodości był zakochanym w sobie błaznem, nie liczącym się z uczuciami innych, z wiekiem i wzrostem pozycji robi się tylko coraz bardziej niebezpieczny i żałosny w swoim błazeństwie.

– Z własnego doświadczenia, tak? – zapytała wściekle Zoey.

Przeciągnęła strunę. Damazy wstał od stołu i bez słowa wyszedł z kuchni. Eufrozyna schowała twarz w dłoniach. Nie poznawała samej siebie. Pierwszy raz w życiu odezwała się do dziadka w taki sposób. Nie rozumiała, dlaczego tak na niego napadła, skoro wypowiedział tylko to, nad czym sama zastanawiała się, myśląc o tamtym poranku w Zakopanem, gdy Rex przyniósł jej śniadanie. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że żałuje tego, co stało się w przeszłości, że dojrzał, że kochał ją przez cały ten czas i chciałby zacząć wszystko od nowa. Jednak teraz, gdy wróciła do domu z baśniowej, górskiej krainy, coś nie dawało jej spokoju. Coś, czego nie potrafiła zidentyfikować i nazwać. Jakiś nieokreślony lęk nie pozwalał się jej cieszyć wizją przyszłości spędzonej u boku tak wspaniałego mężczyzny, jakim był Rex, ucieleśnienie marzeń tysięcy kobiet na całym świecie. Jak mogłaby odrzucić kogoś takiego? Potrzebowała czasu. W jej życiu stanowczo zbyt wiele się ostatnio działo. Dotąd wszystko stało w miejscu, zaś od nieszczęsnego wyglupu sylwestrowego jej życie miłosne gnało jak opętane, na łeb, na szyję, jak jakiś niezbyt bezpieczny rollercoaster. Wahania emocji stawały się powoli nie do zniesienia. Zaczynała podejrzewać, że faktycznie jakieś siły postanowiły zabawić się jej noworocznym życzeniem. Złośliwe chochliki, a może najzwyczajniejszy w życiu pech sprawiły, że choć dookoła niej pojawiło się tylu nietuzinkowych mężczyzn, ona wciąż miała wrażenie, że chce czegoś innego niż to, co podsuwa jej w danej chwili los, choć nie wiedziała dokładnie, co jej przeszkadza, a przede wszystkim, czego mogłaby

chcieć w zamian. Jej własne pragnienia były zamglone, a może nawet zagłuszone przez nadmiar wrażeń dostarczanych przez potencjalnych kandydatów na księcia z bajki. Musiała znaleźć chwilę, żeby poukładać sobie to wszystko. Bezwarunkowo musiała to być chwila samotności.



Zoey sprzątała niedojedzony obiad, powoli odzyskując namiastkę równowagi wewnętrznej. Pozmywała naczynia, pochowała garnki, przetarła blaty i poczuła, że nie wytrzyma ani minuty dłużej, jeśli natychmiast nie pogodzi się z dziadkiem. Podeszła na palcach pod drzwi sypialni Damazego.

– Dziadku... – zapukała, choć drzwi były uchylone.

Starzec siedział w fotelu i czytał książkę, lecz zamknął ją natychmiast, gdy Zoey weszła do środka.

– Dziadku...

Nie pozwolił jej skończyć. Podniósł dłoń do góry, nakazując milczenie.

– Nie musisz przeproszać. Wiem, że nie myślisz tego, co powiedziałaś – rzekł. Zoey poczuła nieopisaną ulgę. – Masz rację – ciągnął. – Jestem już stary i z pewnością skostniały w poglądach na świat i ludzi... – Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale znów powstrzymał ją szybkim ruchem ręki. – Pozwól mi dokończyć. Zoey, chyba za rzadko ci to powtarzam, ale jesteś najdroższą mi osobą na tym świecie.

Wyznania tego typu rzeczywiście nieczęsto padały z ust Damazego. Zoey czuła, że pod powiekami zbierają jej się łzy.

– Chciałbym ci dać wszystko, co najlepsze. Chciałbym, żebyś była szczęśliwa, więc jeśli... – Widać było, że to, co chce powiedzieć, z trudem przechodzi mu przez gardło. – Jeśli Marcin jest tym, czego szukasz to... po prostu zrób, jak uważasz.

Siedzieli do późna, rozmawiając, śmiejąc się, popijając herbatę. Eufrozyna miała wrażenie, że są to niepowtarzalne, idealne chwile, w których była najszczęśliwsza. Wreszcie, zmęczona podróżą i wrażeniami minionego dnia, postanowiła się pożegnać i w końcu, po tygodniu spędzonym na nocnym życiu, porządnie wyspać.

– A, zapomniałbym, jakiś mężczyzna był tutaj kilka dni po waszym wyjeździe. – Dziadek wstał i zaczął przeszukiwać swoje biurko. – Zostawił wizytówkę. Gdzieś tu była... Zaraz, zaraz. O, mam! – Wyciągnął z szuflady elegancki kartonik. – Wyglądał mi na takiego, co zna się na różach.

Puścił do Zoey łobuzerskie oczko i podał jej wizytówkę. „Jacek Kaliski, wiceprezes zarządu”. Serce Eufrozyny znów zabiło mocniej, a senność zupełnie ją opuściła. Podobnie zresztą jak chwilowy spokój odzyskany podczas pogawędki z dziadkiem. „Czemu poszukiwanie miłości musi być takie męczące?”, pytała samą siebie. „A skoro Rex ma być tym jedynym, to czemu w ogóle myśli o Jacku? I skąd w tym wszystkim tyle niepokoju?”.

Marzec

I

– „Miłość rośnie wokół nas” ... – zanuciła Alicja.

Stały na balkonie dostępnym jedynie kadrze pedagogicznej i przyglądały się podchodom godowym nieletnich osobników ludzkich odbywającym się na boisku. Chłopcy rzucali w dziewczynki kamykami, a te uciekały z piskiem. Po chwili jednak, gdy były już zbyt daleko, wracały w niebezpieczne rewiry, by przypadkiem chłopcy się nie rozmyślili i nie zaprzestali owych niezbyt bezpiecznych, ale wielce emocjonujących praktyk.

– Co ta wiosna robi z ludźmi, i to od najmłodszych lat – zaśmiała się wesoło Alicja.

– Do kalendarzowej wiosny jeszcze dwa tygodnie – zauważyła Zoey.

– Oj tam, oj tam. Sądząc z zachowania przyrody i przedstawicieli płci męskiej, już nadeszła i nie da się wygryźć zimie.

Zoey roześmiała się.

– À propos, co dostałaś od swoich chłopaków z klasy? – zagadnęła.

– Ich nieobecność.

– Jak to?!

– Moi rezolutni wychowankowie postanowili z okazji Dnia Kobiet pozwolić nam odsapnąć od męskiego towarzystwa. Uznali, że będzie to dla nas dar o wiele cenniejszy niż kwiaty czy czekoladki.

– Sprytne.

– To nie koniec. Wilkowski przysłał na mój numer MMS-a, na którym widać ich wszystkich, jak siedzą na moście z wzniesionymi w górę puszkami coli. Pod wiadomością napisał: „Pijemy Wasze zdrowie, Najpiękniejsze”. Dowcipnisie od siedmiu boleści.

Zoey wybuchnęła śmiechem.

– Ty się nie śmiej, tylko wymyśl lepiej, co mam z nimi zrobić – ofuknęła ją Alicja.

– A zrobili coś złego?

– Poza zerwaniem się z lekcji i szlajaniem się po moście w czasie, gdy ponoszę za nich odpowiedzialność karną? Absolutnie nic!

– Odsuść. To całkiem urocze.

– Urocze?! No dobra, może i urocze, ale z drugiej strony jest to namacalny dowód, że nie mają do mnie za grosz szacunku. I jeszcze ten bezczelny MMS! Kto wysyła takie wiadomości do własnej wychowawczynie?!

– Ktoś, kto ją bardzo lubi i szanuje. – Zoey postanowiła wziąć w obronę Wilkowskiego, za którym osobiście przepadała. – Gdyby tak nie było, to po prostu by zniknęli i nie dali ci znać, że żyją.

– Może – przytaknęła Alicja po chwili wahania. – Ale i tak zrobię im pogadankę antyalkoholową! Co to za pijackie zwyczaje, wznosić toasty z okazji Dnia Kobiet?! Oni są w podstawówce!

– Dlatego wznieśli toast colą... – uspokajała ją Zoey.

– I tak im nagadam. I będą musieli jutro wypastować aulę, o, albo lepiej, całe piętro. W końcu panie sprzątaczkę to też kobiety. Niech i one dostaną prezent. Co tam, że spóźniony.

Eufrozyna przytaknęła skwapliwie, widząc, że Wilkowskiemu i przesympatycznej szóstej B po raz kolejny się upiekło.

– A co ty dostałaś? – spytała Alicja.

– Od dziadka...

– Bez urazy, ale wyjątkowo nie pytam, co dał ci dziadek. –
Sprostowała Alicja. – Co dostałaś od Reksa?

– Bukiet słoneczników przewiązany słomką – powiedziała Zoey i spróbowała się uśmiechnąć, jak wypadałoby to uczynić, mówiąc o kwiatach od ukochanego.

– Ekstra! Uwielbiam słoneczniki – westchnęła Alicja. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że po tylu latach znów jesteście razem.

– Właściwie nadal nie wiem, czy jesteśmy... – westchnęła Zoey, a widząc pytające spojrzenie przyjaciółki, dodała: – To znaczy nie wiem, czy jesteśmy razem oficjalnie.

– A! Czyli jeszcze ci się nie oświadczył? – zakpiła Alicja.

– To nie tak. Widujemy się prawie codziennie. Chodzimy za rękę do kina i jest miło. No, może nie licząc tych paparazzi...

– Swoją drogą świetnie wyszłaś na tym zdjęciu w barze – wtrąciła Alicja.

– Na tym, gdzie właśnie zamierzam ugryźć wielkiego hamburgera i mam rozdziawioną do granic możliwości paszczę? No dzięki!

Alicja zaśmiała się.

– Spokojnie. Dawno niemyta szyba zapewniła ci anonimowość. Zdjęcie jest tak nieostre, że gdybym cię nie znała od stu lat, nie zgadłabym, że to ty.

– A, i dlatego mówisz, że świetnie wyszłam, tak?

– Dobra, przepraszam, głupi żart. To co z tym waszym byciem razem? – Alicja postanowiła zawrócić rozmowę na interesujący ją temat.

– Bo widzisz, teraz Rex ma urlop i żyjemy trochę jak na wakacjach. Ale za chwilę go kończy i jedzie na mistrzostwa świata do RPA, a potem jeszcze gdzieś tam dalej, i... – Zastanowiła się. – I właściwie ani razu nie rozmawialiśmy o tym, co dalej. Nie było żadnych deklaracji, obietnic, wyznań. Nic. Żyjemy sobie tak, jakby nie było jutra...

– Płyniecie niesieni prądem – podpowiedziała rozmarzona Alicja. Zoey przytaknęła.

– Właśnie. Jest miło, ale mam wrażenie, że jakoś tak nierealnie... – Eufrozyna zamilkła. Szukała odpowiednich słów, żeby wyjaśnić przyjaciółce swoje obawy. Nigdy nie była dobra w zwierzeniach. –

Czuję się trochę jak we śnie... – szepnęła wreszcie.

– A to źle? – zapytała Alicja, nic nie rozumując.

– Źle... Bo z każdego snu trzeba się w końcu obudzić. Sny nie są naprawdę. Sny to sny. Alternatywna, wyidealizowana rzeczywistość. A ja bym chciała czegoś... Czegoś prawdziwego. Wiesz, takiej miłości na zawsze. Bez ciągłego strachu, że w końcu się obudzę...

– Nie zaczynaj z tymi romantycznymi bredniami, błagam – jęknęła Alicja. – Pociesz się chwilę tym, co masz.

– Ale jak mam się cieszyć, skoro nie wiem, co mam i czy w ogóle mam to tak naprawdę! A może zaraz skończą mu się wakacje, codzienność upomni się o swoje prawa i nastąpi brutalne przebudzenie?

– Na twoim miejscu nie dzieliłabym włosa na czworo... – zaczęła Alicja.

– Ale nie jesteś na moim miejscu! – odparowała Zoey.

– A szkoda... – szepnęła Alicja.

Dzwonek kończący przerwę zagłuszył jej ostatnie słowa.

II

Zoey wyszła ze szkoły obładowana dowodami sympatii od męskiej części grona pedagogicznego i uczniów. Szła ostrożnie, patrząc pod nogi, czyli z jedynej perspektywy nieprzesłoniętej przez wielkogabarytowe prezenty. Z rozrzewnieniem pomyślała o czasach, kiedy na Dzień Kobiet niewiasty otrzymywały rajstopy i goździki. Może i było skromniej, ale zarazem o ile poręczniej.

– Dzień dobry! – usłyszała przed sobą męski, dźwięczny głos. – Może pani pomóc?

Z trudem wyjrzała zza wielkiej kartonowej laurki, którą przygotowali dla niej czwartoklasiści. Przed nią stał Jacek i uśmiechał się zupełnie tak jak w jej plażowych snach.

– Dziękuję. Poradzę sobie – odparła i dokładnie w tej samej chwili misternie ułożona konstrukcja wypadła jej z rąk.

Jacek zaśmiał się i przyklęknął, by pomóc Zoey zbierać rozsypane

laurki.

– Nie zadzwoniła pani – powiedział cicho, przytrzymując papierowego tulipana, którego drugi koniec znajdował się w dłoni Eufrozyny. Poczowała, że się rumieni. Rozpaczliwe szukała w głowie jakiejś wymówki. – Zgubiła pani mój numer, prawda? – zasugerował, patrząc jej prosto w oczy.

Skinęła głową, sama nie wiedząc, dlaczego uznała za stosowne przytaknąć jego słowom. Prawda była bowiem taka, że obudzona w środku nocy Zoey potrafiłaby powiedzieć, że jego wizytówka znajduje się w drugiej szufladce jej nocnej szafeczki, pomiędzy szczotką do włosów a pudełeczkiem na wsuwki.

– Tak właśnie myślałem – odparł z uśmiechem i powoli puścił tulipan. W milczeniu zebrali resztę papierowych upominków. – Bardzo się pani spieszy? – spytał nagle.

Eufrozyna pokręciła głową, nim zdążyła się zastanowić nad tym, co robi.

– To może wrzucimy te skarby do bagażnika mojego samochodu i pójdziemy na kawę? – zaproponował.

– A Lena? – zapytała Zoey niepewna, czy w ogóle powinna iść gdziekolwiek z jakimkolwiek mężczyzną. Był przecież Marcin...

Jacek spojrzał na zegarek.

– Przyjechałem za wcześnie – odparł. – Lenka kończy szachy dopiero za czterdzieści minut. Proszę dotrzymać mi towarzystwa. To tylko kawa, a ja naprawdę nie gryzę – dodał po chwili, widząc jej wahanie.

Eufrozyna uśmiechnęła się.

– No dobrze, chodźmy. Ale pod jednym warunkiem.

Jacek uniósł brew, przybierając wyraz twarzy, który natychmiast skojarzył się Eufrozynie z pociągającym panem Rochesterem, przystojnym, mądrym, bogatym, choć skrywającym straszny sekret. Wprawdzie u Jacka na żadne rewelacje w stylu chorej psychicznie żony zamkniętej w skrzydle dworu leżącego wśród opustoszałych wrzosowisk się nie zносиło. Choćby dlatego, że nie posiadał dworu na odludziu...

– Zamiast kawy poproszę mocną herbatę i... – powiedziała miękko, mimo woli zauważając, że w jej głosie pobrzmiwają

kokieteryjne nutki, których nie zdołała powstrzymać.

– Tak? – wymruczał, przyglądając się jej uważnie.

– I duży kawałek szarlotki z okazji Dnia Kobiet – zaśmiała się wesoło, choć w duchu wyzywała samą siebie od przebrzydłych flirciar.

Chyba miała chłopaka, a to oznaczało, że podobne teksty, niby niewinne, a jednak zalotnie zaczepne, w ogóle nie powinny opuścić jej ust. Zawahała się. Przebiegło jej przez myśl, że jednak powie Jackowi, że musi wracać do domu, a najlepiej w ogóle sprowadzi tę relację na bardziej oficjalne tory, informując mężczyznę, że z kimś się spotyka. Wzięła wdech, ale w tej samej chwili Kaliski odezwał się.

– Dla pani wszystko – rzekł tonem, od którego pod Eufrozyną ugięły się nogi.

III

– Widzę, że ostatnio nie można cię nawet na chwilę zostawić samej – stwierdziła Kaśka, gdy kilka dni później Eufrozyna opowiedziała jej o tym, jak przypadkiem znów wpadła na Jacka. – I co było dalej?

– Zupełnie nic – odpowiedziała Zoey niby obojętnie, choć nie zdołała powstrzymać się od lekko zawstydzonego uśmiechu. – Zjedliśmy ciastka, wypiliśmy herbatę, pogadaliśmy i każde poszło w swoją stronę.

– Aha, ale, tak po koleżeńsku oczywiście, wymieniliście się numerami telefonów, prawda? – upewniła się Kaśka.

– Ja mam jego numer...

– Ale jak cię znam i tak z niego nie skorzystasz – ucięła przyjaciółka, rzucając Zoey pełne pogardy spojrzenie. – Rozumiem, że on twojego nie ma, i że nie umówiliście się na kolejne niezobowiązujące spotkanie?

– Kaśka, przecież ja się spotykam z Marcinem...

– O ile mi wiadomo, Rex trzy dni temu wyjechał – przyjaciółka mrugnęła do niej porozumiewawczo, po czym, widząc jej zdziwioną minę dodała: – Teleexpress uroczyście odtrąbił wyjazd naszej kadry do RPA. Było rzewne pożegnanie?

Zoey chwilę zastanowiła się nad odpowiedzią. Spotkali się wieczorem na kolacji we włoskiej restauracji, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Zupełnie jakby każde z nich czuło, że powinno coś powiedzieć, ale nie chciało tego zrobić... To było przebudzenie ze snu, i choć nikt nie powiedział tego głośno, oboje wiedzieli, że nie ma dla nich przyszłości. Byli już innymi ludźmi niż dziesięć lat temu. On pragnął wolności, blasku reflektorów, splendoru, bycia w ciągłym ruchu, najlepiej w centrum uwagi. Ona chciała spokoju, ciszy, codziennej bliskości, miłości, a przede wszystkim wyłączności. Nie potrafiła na nowo całkowicie zaufać Marcinowi. Gdy traciła go z oczu, wątpliwości natychmiast powracały i mimo woli zastanawiała się, z kim wychodzi, gdy ona jest w pracy. Na samych wspomnieniach nie dało się zbudować czegoś nowego. Tamtego wieczora pożegnali się życzliwie, ale bez żadnych emocji, przynajmniej ze strony Zoey.

– Jeśli mam być szczerą, nie wyglądasz na kogoś dręczonego tęsknotą za ukochanym – trzeźwo oceniła Kaśka, przyglądając się jej. – Od początku spotkania mówisz wyłącznie o Jacku, a o tym, że Rex wyjechał, jako pierwsza wspomniałam ja.

Brutalność znaczenia słów Kaśki uderzyła Eufrozynę. Tak właśnie było. Zapomniała już o wyjeździe Reksa i od kilku dni myślała niemal bez przerwy o Jacku. Co ciekawe, gdy tylko sobie to uświadomiła, poczuła niewysłowioną ulgę. Nie musiała niczego udawać. Historia jej i Marcina była od dawna skończona, a to, co działo się w ciągu kilku ostatnich tygodni, było jedynie epilogiem, postawieniem ostatniej kropki przed zamknięciem książki i schowaniem jej do głębokiego kufra, gdzie pokryje ją kurz zapomnienia.

Uśmiechnęła się, bo nagle w jej głowie zaświtała radosna myśl.

– Nie umówiliśmy się na kolejne spotkanie, ale mam dobry pretekst, żeby zadzwonić do Jacka i, kto wie, może znów się z nim spotkać – powiedziała ucieszona. – Zostawiłam w jego bagażniku z pięćdziesiąt laurek i dwa okazałe bukiety kwiatów. Także prędzej czy później zapach rozkładu przypomni mu o mnie.

To powiedziawszy, wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Śmiała się tak długo, aż złapała ją kolka. Mimo to, zgięta w pół, nadal nie mogła przestać się śmiać.

– Rzadko to mówię, ale Alicja miała rację – zawyrokowała Kaśka z politowaniem. – Ty jesteś nienormalna!

IV

Zgodnie z przewidywaniami Eufrozyny, już następnego dnia po spotkaniu z Kaśką Jacek czekał na nią przed szkołą. Stał niedbale oparty o maskę samochodu, z rękami nonszalancko ułożonymi na lewym kolanie. Ubrany w czarny, tweedowy płaszcz, spod którego wystawał elegancki garnitur w najmodniejszym kolorze sezonu – indygo, wyglądał jak księżę z bajki o Kopciuszku odgrywanej we współczesnej aranżacji.

Gdy opuściwszy szkolną bramę, Zoey dostrzegła jego obecność, natychmiast ruszyła w tamtą stronę. Nie wiedziała, skąd wzięła się ta pewność, ale nie miała nawet cienia wątpliwości, że mógłby czekać na kogoś innego niż ona. Mężczyzna również ją spostrzegł i od tej sekundy nie spuszczał jej z oka. W jego spojrzeniu było tyle emocji, że poczuła się jak bohaterka filmowa, i wcale by się nie zdziwiła, gdyby nagle z niebiańskich głośników popłynęły rzewne tony „My heart will go on...”. Podeszła bliżej. Dłuższą chwilę stali tak w milczeniu, patrząc sobie głęboko w oczy i nic nie mówiąc. Wreszcie Jacek wyciągnął rękę i ucałował jej dłoń. Zoey przeszył dreszcz. Gotowa była założyć się, że to była właśnie ta epokowa chwila, która prędzej czy później spotyka każdą kobietę; oto przybył rycerz na białym koniu – jej rycerz.

– Znów zbyt długo się nie widzieliśmy – odezwał się po chwili aksamitnym głosem.

Zoey oblała się wdzięcznym rumieńcem i uścisnęła mu rękę, która jakimś tajemniczym zbiegiem okoliczności wciąż trzymała jej dłoń. Czasem jedna nieznośna myśl może zrujnować cały nastrój chwili. Tak było i w tym momencie. Gdy Eufrozyna zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć Jackowi, nieoczekiwanie przypomniała sobie o kwiatowych truchłach, które z pewnością napelniały już jego bagażnik, jeśli nie całe wnętrze luksusowego pojazdu, niezapomnianą i trudną do usunięcia wonią kompostu. Nie zdołała się powstrzymać. Zachichotała,

rozbawiona tą wizją. Romantyczny czar przysł.

Pierwszy atak wesołości dziewczyny Jacek przyjął ze stoickim spokojem. Po chwili jednak Eufrozyna roześmiała się na całe gardło, przypomniawszy sobie, że jeden z bukietów stanowiła kompozycja z frezji ułożona na gąbce z wodą (jak wiadomo frezje mają cudowny zapach... przez dzień czy dwa, lecz później kwiatowa woń znika, za to woda, w której stały, zaczyna pachnieć szambem). Dłuższą chwilę nie mogła się uspokoić. Śmiała się i śmiała, a jej rude loczki wesoło podskakiwały dookoła kształtnej główki. Oczy iskrzyły humorem i wesołością, a białe zęby błyskały raz po raz we wdzięcznie uchylających się w uśmiechu ustach. Choć był to pełen uroku widok, na twarzy Jacka odmalowało się wzburzenie. Zaciśnął szczękę i jakby zeszywniał. Wypuścił jej dłoń i wsadził ręce do kieszeni płaszcza. Zoey odniosła wrażenie, że lekko się cofnął i zapewne oddaliłby się jeszcze bardziej, gdyby nie uniemożliwiła mu tego maska samochodu. Dostrzegła zmianę w zachowaniu mężczyzny i zawstydzona natychmiast przestała się śmiać. Tak się kończy nadmierna swoboda. Poczowała się jak dziecko skarcone niemą dezaprobatą rodzica. Wciągnęła powietrze, usiłując opanować oddech i silniej przytrzymać stery własnych emocji.

– Już? – zapytał Jacek. W jego głosie było coś, co sprawiło, że resztki wesołości w jednej sekundzie opuściły dziewczynę. Skinęła głową. – Świetnie – podsumował, po czym znów przybierając ów miękki ton dodał: – To może dasz się zaprosić na lunch? Lenkę odbiera dziś babcia.

Zoey, lekko zdezorientowana huśtawką nastrojów Jacka, mimo wszystko dała się poprowadzić do samochodu. Wkrótce pod wpływem zmysłowego jazzu płynącego z głośników rozluźniła się nieco. Zaś podczas lunchu mężczyzna zachowywał się tak ujmująco, otaczał ją tak ciepłą uwagą, chłonał każde jej słowo z takim oddaniem i zainteresowaniem, że postanowiła nie analizować jego zachowania przed szkołą, a wkrótce zupełnie zapomniała o całej sprawie.

Tego wieczoru, leżąc w łóżku, wpatrywała się w jego wizytówkę i uśmiechała się sama do siebie.

– Jacek Kaliski, książkę z bajki – mamrotała, zasypiając.

Eufrozyna postanowiła wreszcie porzucić niemającą, mimo jej usilnych starań, stertę papierów i pójść do domu. Chciało jej się płakać ze zmęczenia. Poprzedniej nocy do czwartej poprawiała wypracowania swoich uczniów, dziś od ósmej rano miała siedem godzin lekcji pod rząd, a na koniec dyrektorka upomniała się o uzupełnienie zaległych kart komunikatywności językowej uczniów przystępujących w tym roku do egzaminu szóstoklasisty. Mimo szczyrych chęci nie zdołała wypełnić wszystkich. Trudno. Jutro przyjedzie wcześniej i dokończy pracę, zanim dyrektorka przybędzie do szkoły. Dziś jednak marzyła już tylko o ciepłej kąpieli z pianką, kanapkach zrobionych przez Damazego na kolację i łóżku z miękką pościelą w kratkę.

Właśnie miała wychodzić spełnić te niezbyt wygórowane pragnienia, gdy do pokoju nauczycielskiego wszedł Szymon.

– Dobrze, że cię jeszcze zastałem – powiedział.

Zoey mimowolnie uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

– Mamy problem – dodał szybko, wyciągając w jej stronę dużą kopertę. – Dostaliśmy to przed chwilą z ministerstwa. To znaczy faktycznie dostarczono to pismo do szkoły ponad tydzień temu, ale sekretarka dopiero dziś je odnalazła.

Dziewczyna natychmiast przestała się uśmiechać i odłożyła torbę na krzesło. Wzięła list i pospiesznie przebiegła wzrokiem jego treść.

– Jak to?! – wykrzyknęła oburzona. – Mogą tak?

– Oni mogą wszystko – odparł rozgoryczony Szymon.

– Ale czy to jest zgodne z tym całym prawem zamówień publicznych i w ogóle?

– Nie mam pojęcia, ale wolałbym nie wdawać się z nimi w dyskusję, bo coś mi mówi, że mamy niewielką szansę na zwycięstwo, nawet gdybyśmy mieli rację.

– I co teraz? – zapytała bezradnie Eufrozyna, oddając wicedyrektorowi list.

– Nic, musimy dokończyć wniosek i wysłać go pocztą.

– Ale jak chcesz to zrobić?! Przecież termin upływa dzisiaj!
Szymon uśmiechnął się do niej.

– Przejrzałem to, co zrobiliśmy do tej pory, i wcale nie zostało nam tak dużo do końca... – Eufrozyna rzuciła mu pełne powątpiewania spojrzenie. – Jest szesnasta z minutami. Do północy mamy niemal osiem godzin. Damy radę – powiedział dziarsko i uśmiechem próbował dodać jej otuchy.

Jego twarz promieniała zapałem i dobrocią, choć czoło przecięte było zmarszczką zmartwienia. Zmęczenie jakby ciut ustąpiło i Eufrozynie zaczął się udzielać jego entuzjazm i duch walki.

– Dobrze – powiedziała, rozkładając ręce. – Spróbować nie zaszkodzi.

– Wiedziałem, że to powiesz – odparł, patrząc na nią ciepło. – Chodźmy do mojego gabinetu. Zaparzę kawę i zabierzemy się do pracy. Zdamy, zobaczysz!

Zoey rzuciła płaszcz na krzesło i poszła za Szymonem. Zapowiadał się długi i intensywny koniec i tak ciężkiego dnia, choć myśl o spędzeniu popołudnia w towarzystwie wicedyrektora poprawiała jej nieco humor. Spędzali ze sobą ostatnio mnóstwo czasu, a ich relacje zaczynały mieć bardzo przyjacielski charakter. Przyjacielski, nic poza tym.



Pięć godzin później wniosek był niemal ukończony. Eufrozyna wyprostowała się na krześle i odetchnęła głęboko. Nim zgasło światło, a wraz z nim ich komputery, zdążyła jeszcze z satysfakcją pomyśleć, że uda im się wygrać wyścig z czasem.

– Co jest...? – Zdenerwowany Szymon zerwał się na równe nogi, gdy w gabinecie zapanowała ciemność. Po omacku dotarł do drzwi. Były zamknięte. – Cholerne blokady.

Gabinety dyrektorskie i sekretariat, w którym znajdowała się kasa pancerna ze szkolnymi dokumentami, zaopatrzone były w specjalny system zabezpieczeń i zamki. Brak prądu odcinał automatycznie możliwość otwierania drzwi, udaremniając w ten sposób hipotetycznemu włamywaczowi dokonanie napadu na mienie szkolne pod osłoną nocy. Byli w pułapce. Szymon wyjrzał przez okno. Jeśli nie liczyć świateł przejeżdżających samochodów, na całej ulicy panowały egipskie ciemności.

– To chyba jakaś większa awaria – powiedział, opadając ciężko na swój fotel.

Eufrozyna siedziała bez ruchu i usiłowała się nie rozplakać. Trudno wyobrazić sobie większego pecha. Była skrajnie wyczerpana i głodna. Miała zdrętwiały kark i nie czuła nadgarstka, a cały jej trud poszedł na marne z powodu awarii prądu. Stężenie adrenaliny towarzyszące walce z czasem stopniowo spadało, a miejsce nadziei w duszy dziewczyny powoli zajmowała, wielce niepożądana w tych kryzysowych okolicznościach, rozpacz.

Dłuższą chwilę trwali w milczeniu. Nie mieli siły rozmawiać, otepiali wysiłkiem zakończonym spektakularną klęską.

– Jesteś? – Szymon odezwał się pierwszy.

– Uhm – wydusiła słabo, wciąż walcząc ze łzami.

Coś zaszurało i chwilę później wicedyrektor klęczał już obok niej. Było tak ciemno, że nie mogła dostrzec jego twarzy.

– No już, nic się nie stało – powiedział łagodnie, opierając dłoń na jej kolanie. – Siła wyższa. Napiszemy odwołanie.

Eufrozyna musiała dać upust emocjom. Zsunęła się z krzesła na podłogę obok niego i, najzwyczajniej w świecie, rozplakała się. Szymon objął ją ramieniem. Była zbyt rozbita, by zaprotestować. Opadła w jego ramiona i długo płakała.

Po jakimś czasie odzyskała na tyle panowania nad sobą, że odczuła niestosowność własnego położenia. Z żalem, do którego nie przyznałaby się sama przed sobą, wysunęła się z objęć wicedyrektora i oparła

o ścianę. Burza w jej wnętrzu zaczynała powoli cichnąć. Szymon otworzył jakąś szafkę i po chwili w głębokiej czerni panującej w gabinecie rozbłysło słabiuteńkie światło latarki. Mężczyzna uśmiechnął się zawadiacko.

– Dobry harcerz musi być przygotowany na wszelkie ewentualności.

Zoey posłała mu w odpowiedzi słaby uśmiech. Przynajmniej mogli się teraz rozejrzeć po pomieszczeniu. Wprawdzie nie zmieniało to niczego w ich nie najweselszej sytuacji, ale mogli chociaż widzieć siebie nawzajem.

– Masz może telefon? – zapytał Szymon, jakby nagle doznał olśnienia.

Eufrozyna poszukała wzrokiem torebki.

– Tak – jęknęła. – W pokoju nauczycielskim.

– No to utknęliśmy na dobre – westchnął Paskiewicz, wypuszczając powietrze. – Mi już rano padła bateria.

Zoey odchyliła głowę i przymknęła oczy. Nie miała siły wymyślić jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi. Było jej wszystko jedno. Najchętniej położyłaby się na dywanie i zasnęła. Panująca w pomieszczeniu ciszę przerwało przeraźliwe burknięcie. Jej żołądek rozpaczliwie domagał się jedzenia. Zawstydzona odruchowo przyłożyła obie ręce do brzucha, jakby ten gest miał uciszyć panujący w jej wnętrzu głód. Szymon podszedł do biurka i po chwili wyciągnął z niego wielką paczkę słonych paluszków.

– Faktycznie dobry z ciebie harcerz – zaśmiała się Eufrozyna, której widok jedzenia przywrócił odrobinę energii i poczucia humoru.

Paskiewicz roześmiał się i usiadł obok niej. Siedzieli tak w słabnącym z każdą chwilą świetle latarki i chrupali paluszki, chichocząc raz po raz. Popili mizerny posiłek resztkami zimnej kawy.

– Czekaj! Dzisiaj jest dwudziesty czwarty, tak? – zapytał niespodziewanie Szymon, po czym zaśmiał się, gdy Zoey przytaknęła. – Ale numer! Z tego wszystkiego zapomniałem, że mam imieniny!

– O! Nie wiedziałam! Przepraszam. Nie mam dla ciebie prezentu, ale no... wszystkiego najlepszego – pospieszyła z życzeniami. – Zdrowia, szczęścia i by spełniło się wszystko, o czymkolwiek

zamarzysz.

Pochyliła się, by, jak nakazywał obyczaj, cmoknąć go przyjacielsko z dubeltówki. Jednak w tym momencie wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Szymon zamiast nadstawić policzek, obrócił się szybko w jej stronę i pocałował ją w usta. Eufrozyna odruchowo przymknęła oczy i przez jedną, króciutką chwilę zapomniała o całym świecie. Liczyły się tylko wąskie, ciepłe usta Szymona, dotyk jego skóry i ręka, którą czule ją objął.

Wielka jarzeniówka tuż nad ich głowami rozblęła jaskrawym światłem. Eufrozyna skoczyła na równe nogi, wyszarpnęła się z objęć mężczyzny. Pociągnęła drzwi, które ustąpiły bez najmniejszego oporu. Wybiegła z gabinetu wicedyrektora, ani razu nie obracając się za siebie.

– Zoey, zaczekaj! – wołał za nią Szymon, ale ona już go nie słyszała, a może nie chciała usłyszeć...

VI

Powrót do domu wczesną wiosną, w środku nocy, pieszo i bez płaszcza skończył się dla Eufrozyny ostrym zapaleniem oskrzeli. Okoliczność tę, skądinąd dość przykrą, tym razem przyjęła z wielkim zadowoleniem. Po tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru w gabinecie wicedyrektora, nie miała najmniejszej ochoty pokazywać się w szkole przez najbliższe sto, sto pięćdziesiąt lat, a najlepiej nigdy. Nie obchodził jej już żaden wniosek o dofinansowanie remontu ani zbliżający się koniec trymestru, ani nadchodzące egzaminy do gimnazjum jej uczniów. Było jej absolutnie obojętne, czy dyrektorka ją zwolni, czy sama będzie musiała złożyć wypowiedzenie, co niewątpliwie poskutkuje jakimś niezbyt przyjemnym wpisem w jej aktach pracowniczych i zapewne spowolni na kilka lat uzyskanie kolejnego stopnia nauczycielskiego. Nieważne. Nie pojawi się tam nigdy więcej!

Wspomnienie owego niespodziewanego pocałunku zamiast blednąć w jej pamięci, z każdym dniem zdawało się wyostrzać. Nie mogła myśleć o niczym innym, nieustannie pytając samą siebie, jak to

się właściwie stało, a przede wszystkim, co to wszystko miało znaczyć?

Wmawiała sobie, że cieszy się z pozostawienia rzeczy w szkole. Nie było ryzyka, że Szymon zadzwoni, żeby spróbować coś wyjaśnić. Jednak gdy następnego dnia Alicja przyniosła jej torebkę, w której był telefon, Eufrozyna z trudem ukryła zawód, nie znajdując ani jednego połączenia, ani jednej wiadomości od niego.

Na wyświetlaczu było zaś piętnaście nieodebranych połączeń od Jacka. Ku własnemu przerażeniu przypomniało jej się wówczas, że byli przecież umówieni na kolację w jakiejś bardzo modnej restauracji, jedynej w Polsce przyozdobionej dumnie gwiazdką Michelina, w której stoliki rezerwuje się z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Na śmierć o tym zapomniała! Nie uprzedziła go, że będzie musiała zostać dłużej w pracy, a potem, nawet gdyby pamiętała, co oczywiście nie nastąpiło, i tak nie miała jak się do niego odezwać.

Jacek zostawił jej na sekretarce pełną pretensji wiadomość. Nieprzyjemnie brzmiącym, obcym tonem wypomniął, że musiał dokonać prawdziwego cudu, żeby zdobyć dla nich ten stolik i nie życzy sobie, żeby jeszcze kiedykolwiek stawiała go w podobnej sytuacji. Pożegnał się zimno i rozłączył.

Zoey wyłączyła telefon i opadła na łóżko, chora, obolała, z koszmarnym poczuciem winy wobec Jacka, wobec owej cud-żony Szymona i ze znów rosnącą temperaturą. Schowała głowę pod kołdrę i rozplakała się.

VII

Kuracja Damazego szybko postawiła ją na nogi. Dziadek kilka razy dziennie poił ją obrzydliwą mieszanką czosnku, soku malinowego, miodu, cytryny i mocnej herbatki z dziurawca. Choć w ciągu dnia czuła się zupełnie dobrze i w normalnych okolicznościach z pewnością wróciłaby już do pracy, podczas wizyty kontrolnej poprosiła lekarza o przedłużenie zwolnienia, nieco podkolorowując stan, w którym się obecnie znajdowała. Zresztą owo przekłamanie dotyczyło wyłącznie jej

kondycji fizycznej. Psychicznie czuła się nadal fatalnie. Nie mogła opanować mętluku w głowie i sercu.

Rex wyjechał, a ona wcale za nim nie tęskniła, choć chyba powinna. Przez kilka pierwszych dni codziennie pisał do niej maile. Irracjonalne poczucie winy z powodu herbaty wypitej w Dniu Kobiet z Jackiem sprawiło, że od tamtej pory wszystkie wiadomości od Reksa pozostawiała bez odpowiedzi. Wreszcie, udając, że ma za wysoką gorączkę, by usiąść do komputera, poprosiła Alicję o przekazanie Marcinowi, że ona sama jest strasznie chora i odezwie się, jak trochę wydobrzeje. Przestał się odzywać. Może czekał na jej krok, a może był zbyt pochłonięty treningami albo nie miał dostępu do Internetu, a może i on rozumiał, że to wszystko nie ma sensu. Dziadek, Heraklit czy ktokolwiek tam inny mieli rację: ze związkiem jest jak z rzeką, już nigdy nie jest taki sam jak kiedyś. Choć akurat nad tym tematem nie zastanawiała się zbyt długo. Po prostu w pewnej chwili uświadomiła sobie, że w ogóle przestała myśleć o Reksie.

Za to o Jacku myślała dużo. Następnego dnia po odzyskaniu telefonu zadzwoniła do niego zakatarzona i opowiedziała wypadki tamtego feralnego dnia, pomijając oczywiście pocałunek z wicedyrektorem. Kaliski przyjął jej wyjaśnienia chłodno, podziękował i pożegnał się. Zoey nic z tego nie rozumiała. Jednak kilka godzin później wysłał jej SMS-a z wyjaśnieniem, że dzwoniła, gdy był na ważnym spotkaniu i nie mógł rozmawiać. Zapewnił, że jest mu przykro z powodu jej choroby, prosił by się odezwała, gdyby potrzebowała czegokolwiek i czeka na jej telefon, jak wróci do zdrowia. Wiadomość była grzeczna, miła i pełna życzliwości, ale jej tonu z pewnością nie można było nazwać nawet przyjacielskim, o czymś więcej nie wspominając...

Czy to możliwe, żeby Jacek aż tak bardzo obraził się z powodu tamtej rezerwacji? Zoey wielokrotnie zadawała sobie to pytanie. Niby miał trochę racji; tyle wysiłku, tyle starań poszło na marne. A jednak Eufrozyna nie mogła przestać się dziwić... W jej wizji świata ksiązę z bajki powinien, mimo wszystko, trochę bardziej przejąć się chorobą królewny niż koniecznością odwołania uczy, choćby najbardziej wystawnej i nagrodzonej.

Najwięcej zaś myślała o Szymonie, któremu w ogóle nie powinna poświęcać uwagi w sferze pozazawodowej. Wciąż na nowo przeżywała to, co wydarzyło się w jego gabinecie. Za każdym razem, gdy wspominała pocałunek przy pełgającym świetle latarki, czuła dreszcz przeszywający całe jej ciało. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Powinna go znieawidzić za zabawianie się z nią w taki obrzydliwy sposób, zwłaszcza, że był żonaty, ale nie potrafiła. Wciąż wspominała miękki dotyk jego warg, ciepło oddechu i dziwną, niezrozumiałą czułość bijącą z całej jego postaci. Przez tę jedną chwilę w niemal zupełnej ciemności był jej tak bliski jak nikt wcześniej. A może to jedynie projekcja rozstrojonego nadmiarem wrażeń umysłu?

Najgorsze było to, że po raz pierwszy została ze swoimi myślami zupełnie sama. Przed dziadkiem, który, mimo swojego rubasznego usposobienia, był człowiekiem żelaznych zasad, nie mogła się przyznać, że stoi na progu zakochania się w żonatym mężczyźnie, z którym na domiar złego już się całowała. Alicji też nie mogła szepnąć ani słowa. Paskiewicz, było nie było, był jej szefem. A spizowa Kaśka nie rozumiałaby niczego z tej delikatnej gry uczuć, która rozgrywała się w jej wnętrzu.

„A może właśnie na tym polega dojrzewanie, żeby uświadomić sobie, że wreszcie należy przejąć odpowiedzialność za własne życie, którego nikt nie przeżyje za mnie?”, pytała samą siebie, gdy wybudzona przez gorączkę ze snu leżała w ciemności nocy, wpatrując się w złote gwiazdki na suficie. Może w życiu nie chodzi o bajki, marzenia i ich spełnianie, dawanie się ponieść temu czy innemu prądowi, ale o świadome kroczenie. Podejmowanie jednej decyzji, która rodzi drugą i przyjmowanie za nie pełnej odpowiedzialności, zaakceptowawszy uprzednio fakt, że nikt na świecie nie może ich podjąć za mnie... Nikt nas do końca nie zrozumie i nie pomoże zadecydować.

Leżała tak kilka godzin, aż wreszcie poranne światło zaczęło przeciskać się przez szpary w żaluzjach. Eufrozyna w gorączkowym otępieniu, będąc na granicy snu, podjęła decyzję. Za wszelką cenę zapomni o tym, co wydarzyło się w gabinecie Paskiewicza. Szymon... Wicedyrektor jest żonaty. Projekt i tak z pewnością zakończył się klęską z powodu znamiennej w skutkach awarii prądu, więc nie będą ich

łączyły żadne sprawy, których nie mogłaby załatwić bezpośrednio z dyrektorką; z łatwością więc uda się jej go unikać. W czerwcu złożyła wypowiedzenie i zmieniła szkołę. Postanowiła też dołożyć wszelkich starań, żeby pogodzić się z Jackiem. Kaliski był zabawny, przystojny, bogaty, szarmancki i miał uroczą córkę. A przede wszystkim nie miał żony. Rozwiedli się parę lat temu, na wniosek kobiety, która twierdziła, że małżeństwo i rodzicielstwo ograniczają jej samorozwój. Pani Kaliska była bowiem szalonym naukowcem. Eufrozynie od razu przyszli na myśl jej rodzice, doskonale rozumiała więc ból Jacka i czule okazała mu swoje wzruszenie. Eks-pani-Kaliska zaraz po rozwodzie wyjechała na ekspedycję do Australii i od tej pory Jacek nie miał o niej wieści. Była pewna, że nie ma też narzeczonej, dziewczyny ani chłopaka. Dzielił swój czas pomiędzy wyczerpującą pracę na odpowiedzialnym stanowisku a opiekę nad ukochaną córeczką. Wolnych chwil miał bardzo, bardzo mało i, patrząc Zoey głęboko w oczy, wyznał, że ostatnio wszystkie poświęca tylko jej i ma nadzieję, że już nigdy nic tego nie zmieni. Eufrozyna poczuła przysłowiowe motyle w brzuchu i spłonęła się wdzięcznym rumieńcem. Tak, Jacek był wolny, a to zaleta nie do pogardzenia.

VIII

– W takich chwilach niesamowicie się cieszę, że jestem wnuczką Damazego – stwierdziła Eufrozyna, kręcąc dla zabawy winem w kieliszku.

Stojąca obok niej przy wysokim stoliku w lśniącym od świateł i kryształów foyer filharmonii Alicja zakrztusiła się jedzonym właśnie ciastkiem.

– I ja się cieszę, że wreszcie do tego doszłaś – wydusiła, gdy odzyskała zdolność oddychania. – A tak w ogóle, to co cię naszło na takie wyznania?

Zoey nadęła policzki i odrzuciła głowę, udając śmiertelnie obrażoną.

– No już, już, przepraszam. Głupi żarcik – zaczęła pojednawczo Alicja. – Nie bocz się, tylko wyjaśnij mi możliwie najskładniej, co miałaś na myśli.

– Nic poza tym, że mam fajnego dziadka – powiedziała Eufrozyna. – Gdyby tak pięknie nie śpiewał, nie byłoby nas tutaj dzisiaj...

– ...bo nie byłoby nas na to stać – dokończyła za nią Alicja. – Bilety na najtańsze miejsca na dzisiejszy koncert zaczynały się od jednej trzeciej mojej pensji, wliczając oczywiście dodatek za wychowawstwo tych małych zwyrodnialców.

Zoey zaśmiała się. Ku jej zaskoczeniu wieczór był bardzo udany. Wiosenna gala opery, bo tak nazywał się doroczny koncert otwierający sezon plenerowych występów zespołu filharmonii, była wielkim wydarzeniem w mieście. Eufrozyna, prawdę mówiąc, nie przepadała za podobnymi imprezami. Nigdy nie wiedziała, w co ma się ubrać ani jak się zachować wśród tych tabunów ludzi ważnych i ważniejszych, przedstawicieli świata kultury i biznesu, ubranych jak z katalogów mody i wymieniających się wizytówkami. Wszyscy się tu znali, uśmiechali do siebie jak członkowie rodziny Crystalów z Dynastii i prowadzili tak przeintelektualizowane rozmowy, że Eufrozynie, która nie miała nic do zarzucenia swojemu wykształceniu, kręciło się w głowie. Nie pasowała do tego świata i wyraźnie to czuła. W tym roku, mimo niechęci, iść musiała, gdyż była to część zapłaty za milczenie Damazego w sprawie nieszczęsnej walentynki od pana Władysława. Miłosierny dziadek, by trochę złagodzić jej męki, załatwił jednak dodatkowe zaproszenie, żeby mogła zabrać ze sobą Alicję. We dwie były już w stanie otwarcie ignorować wszystkich wokół, udając, że rozmawiają o czymś bardzo ważnym i bardzo osobistym, tak, by nikomu nie przyszło do głowy do nich dołączyć. Wyjątkowo też tym razem nie miała problemu z wybraniem stroju.



Parę dni wcześniej ułagodzony jej pełnymi skruchy zapewnieniami Jacek zaprosił ją na kolację do restauracji mieszczącej się na ostatnim piętrze najwyższego wieżowca w mieście. Ponieważ w lokalu od godziny osiemnastej obowiązywał strój wieczorowy, Eufrozyna zmuszona była wybrać się na zakupy. Wciąż będąc na zwolnieniu, wyciągnęła na rajd po sklepach Kaśkę, która często podkreślała, że skoro haruje dla swojej firmy od rana do nocy, to czasem w godzinach pracy musi wyjść załatwić sprawy niecierpiące zwłoki. Taki właśnie priorytet w jej elektronicznym kalendarzu otrzymały zakupy z przyjaciółką.

Poszukiwania trwały kilka godzin, podczas których despotyczna Kaśka zmuszała opierającą się Zoey do wejścia do kolejnego sklepu, rozebrania się i przymierzenia kolejnej sukienki, powtarzając, że ma znaleźć nie po-prostu-sukienkę, tylko kieckę, dzięki której swym wyglądem odkupi winy względem Kaliskiego. Kaśka bowiem była równie oburzona jak Jacek, odkąd usłyszała, że Eufrozyna wystawiła go w dniu, gdy załatwił stolik w TEJ restauracji.

– Ludzie dzień po operacji wychodzą ze szpitala na własne życzenie, jeśli mają tam rezerwację! – perorowała Kaśka. – A ty zapomniałaś przez jakieś wnioski o dofinansowanie remontu?!

Przyjaciółka nie mogła w to uwierzyć, choć i tak najwięcej emocji wzbudzał w niej sposób, w jaki Jackowi w ogóle udało się załatwić tam stolik niemal z dnia na dzień. Od tego momentu Kaśka stała się jeszcze zagorzalszą zwolenniczką ich związku, co tylko utwierdzało Eufrozinę w słuszności decyzji, którą podjęła.

Wreszcie znalazły sukienkę idealną. Uszyta z delikatnego jedwabiu, czekoladowo- złota, delikatnie migocząca długa suknia zdawała się zlewać w jedno z ciałem Eufrozyny. Szerokie króciutkie rękawki tworzyły na jej drobnych ramionach coś na kształt małych skrzydeł, a głębokie wycięcie na plecach czyniło całą kreację odpowiednio uwodzicielską. Eufrozyna stała przed lustrem i mrugała

szybko, nie mogąc uwierzyć, że widzi własne odbicie.

– Nieczęsto to mówię komukolwiek, ale wyglądasz spektakularnie – powiedziała Kaśka.

Gdy Eufrozyna się przebierała, przyjaciółka wzięła sukienkę i pośpieszyła zająć miejsce w kolejce do kasy. Chwilę później Zoey opuściła przymierzalnię i została świadkiem niezwykle interesującej sceny. Po drodze do kasy Kaśka zauważyła prosty, szary, męski sweter i uznała najwyraźniej, że mogłaby go sprezentować mężowi. Rozłożyła go i zaczęła oglądać, gdy nagle tuż przy niej zmaterializował się krzykliwie ubrany sprzedawca, który codziennie spędzał na układaniu włosów przed lustrem więcej czasu niż Kaśka i Zoey razem wzięte.

– Czy mogę pani pomóc? – zapytał uprzejmie.

– Chcę kupić sweter mężowi, ale nie jestem pewna, czy ten rozmiar będzie dobry... – odparła Kaśka, wciąż wpatrując się w ubranie.

Sprzedawca, najwyraźniej chcąc zwrócić na siebie jej uwagę, chrząknął znacząco. Poskutkowało. Spojrzała.

– A czy pani małżonek jest choć trochę podobny do mnie? – spytał, nieznacznie ściszej głoś.

Kaśka zlustrowała go uważnie. Pod wpływem jej spojrzenia mężczyzna zdawał się prężyć i wyginać, jakby rosnące wewnątrz ego nie mogło się już pomieścić w opalonym, umięśnionym i idealnie wypielęgnowanym ciele. Otaksowała go raz jeszcze. Mężczyzna przymknął powieki. Eufrozyna zamarła w oczekiwaniu na pomruk rozkoszy, który powinien zaraz wydobyć się z jego narcystycznych ust, gdy usłyszała głos Kaśki:

– Skąd! – powiedziała ostro i z bezwzględnością szczerością. – Mój mąż jest wyższy, szczuplejszy w talii i szerszy w barach.

Sprzedawca otworzył szeroko oczy i zrobił taką minę, jakby lada moment miał się rozplakać. Sięgnął do leżącego obok stosu swetrów i drżącą ręką podał jeden z nich Kaśce.

– Ten powinien być odpowiedni – odparł lodowato i zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Eufrozyna podeszła do przyjaciółki, która wydawała się bez reszty pochłonięta zakupem i oczywiście niczego nie zauważyła.

– Myślisz, że Pafciowi się spodoba? – spytała, jak gdyby nigdy nic.

– Na pewno, ale na rabat i zapakowanie na prezent nie licz.

Niczego nieświadoma przyjaciółka posłała Eufrozynie pełne zdumienia spojrzenie. Ostatecznie jednak dostały rabat, bo gdy podeszły do kasy, miejsce urażonego sprzedawcy zajął inny mężczyzna, którego Kaśka bez trudu owinęła sobie wokół palca.

Ubrana w zakupione wówczas cudo Zoey zrobiła wrażenie zarówno na Jacku, jak i, tak jej się przynajmniej zdawało, na całej męskiej części gości restauracji, którzy spoglądali na nią ku wyraźnemu niezadowoleniu towarzyszących im kobiet. Jacek trzymał rękę na jej odsłoniętych plecach i zdawał się promienieć pełnią szczęścia, że to on jest tym samcem alfa, który przyszedł w takie miejsce z taką kobietą. Zoey nie czuła się zbyt dobrze w roli maskotki, ale nim zdążyła powiedzieć o tym Jackowi, mężczyzna wyciągnął z marynarki podłużne brązowe pudełko i przesunął w jej stronę.

– Chciałem cię przeprosić – szepnął zmysłowo. – Przereagowałem. Miałem mnóstwo pracy, byłem zmęczony i bardzo zawiedziony, że pozbawiłaś mnie tamtego wieczoru swojego towarzystwa. Przepraszam.

Zoey machnęła głową.

– Nie musisz za nic przeproszać, powinnam była cię uprzedzić... – zaczęła, ale nim zdążyła skończyć, Jacek uchylił wieczko pudełka.

Wewnątrz znajdowała się wytworna bransoletka złożona z dziesiątek cieniuteńkich nitek białego i żółtego złota.

– Mimo to przepraszam... – szepnął. – Mogę? – zapytał, i gdy Zoey podsunęła rękę, zapiął bransoletkę na jej bladym nadgarstku.

– Jest piękna – westchnęła.

– Nawet w jednym procencie nie tak piękna jak ty – odparł i ucałował jej dłoń, a potem nadgarstek.

Zawstydzona obecnością innych ludzi, delikatnie wysunęła rękę z jego uścisku.

– Dziękuję – powiedziała i uśmiechnęła się.



Zoey pociągnęła łyk wina i przez chwilę bawiła się, łapiąc na złote nitki na swojej ręce promyki światła rozszczepionego przez kryształowe żyrandole filharmonii. Uśmiechnęła się na wspomnienie przedwczorajszego wieczoru, gdy Jacek podarował jej bransoletkę. Idealny wieczór z idealnym mężczyzną. Jeden z wielu takich bajkowych momentów, które bez wątpienia miała przed sobą. Odstawiła kieliszek na stolik i dla zabicia czasu rozejrzała się wokoło.

Nagle zza rogu wyłoniła się znajoma postać. Szymon. Serce podeszło Eufrozynie do gardła. Widziała go po raz pierwszy od pocałunku w gabinecie. Wyglądał świetnie. Wyprostowany, ubrany w doskonale skrojony ciemnogrnatowy garnitur, pasował jak ulał do eleganckiego wnętrza filharmonii. Natychmiast skarciła się w myślach, nakazała sobie spokój i odwróciła wzrok. Po chwili jednak pokusa zwyciężyła i rzuciła jeszcze kilka ukradkowych spojrzeń w jego stronę. Zastanawiała się, czy nie powinny z Alicją podejść się przywitać, może dotrzymać mu towarzystwa. Nie, żeby chciała znaleźć się blisko niego, absolutnie nie o to chodziło. Podobna myśl przyszła jej do głowy wyłącznie dlatego, że tak wypadało. Na wszelki wypadek, żeby nie doszło do niezręcznej sytuacji, w której on dostrzeże ją, gdy będzie udawała, że go nie widzi. Bądź co bądź nadal był jej szefem; jej i Alicji, i przez wzgląd na dobro przyjaciółki musiała mimo wszystko przestrzegać powszechnie ustalonych norm zachowań.

Szybko jednak okazało się, że Szymon nie jest sam. Eufrozyna kątem oka dostrzegła kobietę, która lekkim, pewnym krokiem podeszła do Paskiewicza. Była wysoka i szczupluteńka (tak szczupła, że przez głowę Zoey przeszła irracjonalna myśl, iż nie powinna pod żadnym pozorem zbliżać się do klimatyzatorów, bo któryś może ją zwiać lub, co gorsza, wessać). Rasowa piękność ubrana była w długą, prostą czarną suknię bez ozdób i uczesana na gładko z hiszpańskim kokiem upiętym

wdzięcznie nad lewym ramieniem. Poufałym ruchem ściągnęła z marynarki Szymona jakiś paproszek i pogłaskała go po policzku. Pani Marzena miała rację – była idealna. Młoda, aż nieprzyzwoicie zgrabna i równie elegancka jak on; prawdziwa kobieta z klasą. Ta długonoga piękność pochyliła się w stronę Szymona i szepnęła mu coś do ucha, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Zoey, ku własnemu zaskoczeniu, poczuła ukłucie najczystszej zazdrości.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Do świadomości Eufrozyny skupionej na obserwacji dotarł urażony głos Alicji.

– Tak, tak, oczywiście – przytaknęła, wciąż patrząc na stojącą nieopodal parę.

Alicja odruchowo podążyła wzrokiem w tamtą stronę.

– O, Szymon! Wow! Co za spotkanie! Cześć! – zawołała przyjaciółka i, nim Zoey zdążyła ją powstrzymać, podniosła rękę w powitalnym geście.

Pech chciał, że mężczyzna akurat spojrzał w ich kierunku. Odmachał przyjaźnie Alicji, powiedział coś do swojej towarzyszki, która skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko. Zoey spuściła wzrok, pewna, że cud-piękność taksuje ją teraz wzrokiem, oceniając sukienkę, która nagle wydała się Zoey jakaś nieodpowiednia, zbyt wycięta i za strojna; krytykuje w myślach jej włosy, które od miesiący domagały się fryzjerskiej interwencji. Poczuła, że się czerwieni. Mieszanina urazy, wstydu, pretensji, żalu i złości zalała jej duszę. Potrząsnęła nieznacznie głową, jakby chciała wyrzucić z niej niezdrowe myśli.

„Szymon ma żonę”, powtarzała sobie, nie mogąc oderwać wzroku od zbliżającej się ku nim pary.

Niegdyś była pewna, że ona, Eufrozyna Maliniak, nigdy, przenigdy nie potrafiłaby zakochać się w żonatym mężczyźnie. Teraz jednak wiedziała, że jakiś czas temu utraciła tę pewność. Uświadomiła sobie nagle, że choć od tamtego wieczoru nie widziała Szymona, wicedyrektor był wciąż obecny w jej myślach, nie licząc oczywiście chwil spędzanych u boku Jacka.

Zaczęła się zastanawiać, czy można zakochać się w dwóch mężczyznach jednocześnie. Po chwili jednak przetłumaczyła sobie, że nawet gdyby istniała taka hipotetyczna możliwość, z jednym z tych

zauroczeń już dawno postanowiłaby przecież walczyć. Zakochanie zakochaniem, może pozostać sprawą wewnętrzną, głęboko ukrytym, a najlepiej zagłuszonym i zapomnianym na zawsze sekretem serca. Ważne są decyzje i działania, owoce pracy umysłu. W jej przypadku ani w sercu, ani w umyśle nie było miejsca dla Szymona. Tak podpowiadał jej rozum i tego zamierzała się trzymać, ignorując podszepty serca.

– Cześć, co za spotkanie! – powtórzyła radośnie Alicja, gdy piękna para podeszła wreszcie do ich stolika.

Ucałowała Szymona na powitanie, po czym wyciągnęła dłoń w stronę jego towarzyszek.

– Alicja Nowożycka.

– Natalia Paskiewicz. – Dziewczyna uściśnęła podaną jej dłoń, uśmiechnęła się przyjaźnie, po czym skierowała zaciekawione spojrzenie na Eufrozinę.

Alicja dyskretnie kopnęła Zoey, która wyglądała, jakby ktoś zmienił ją w kamień.

– E... Maliniak. Zoey Maliniak – wymamrotała zmieszana.

Jej prezentacja w stylu Jamesa Bonda wywołała salwę śmiechu Alicji, której wkrótce zawtórowali pozostali. Zoey czuła, że się czerwieni, i miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Maliniak? – Nowa znajoma przyszła jej z nieoczekiwaną pomocą. – Jesteś może spokrewniona z Damazym?

– To mój dziadek – odparła z ulgą.

– Ach! To wspaniały śpiewak! Uwielbiam mu akompaniować!

– Akompaniować?

Kobieta skinęła głową.

– Natalia jest pierwszą skrzypaczką orkiestry filharmonii – powiedział Szymon i czule pogłaskał ją po plecach. – Jest najlepsza.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na niego z takim oddaniem, że Zoey aż westchnęła. Na szczęście nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo Alicja zaczęła opowiadać o swoich przygodach podczas zgłębiania tajników gry na skrzypcach w podstawówce. Rozmowa potoczyła się własnym rytmem. Eufrozyna wbiła sobie paznokiec w nadgarstek, bo poczuła, że jest bliska płaczu, choć nie wiedziała, dlaczego poznanie żony Szymona wzbudziło w niej aż tyle emocji. Prędzej czy później to

po prostu musiało się stać. Takie jest życie. Marzenia się nie spełniają. Nie ma cudów, czarów ani magii. A życzenia noworoczne to najbzdurniejsze bzdury. O ile oczywiście zakładamy, że to Szymon, a nie Jacek, miałyby być ich spełnieniem. Zaplątana we własne buntownicze rozmyślania nie odezwała się już więcej.

Wkrótce wszystkie rozmowy przerwał gong wzywający publiczność do powrotu na miejsca.

– Oho, muszę uciekać – powiedziała Natalia. – Zaraz zaczynamy. Właściwie w ogóle nie powinnam wychodzić zza kulis. Bardzo miło było mi was poznać.

Uśmiechnęła się, pocałowała Szymona w policzek, okręciła się wokół własnej osi i szybkim krokiem odeszła, a raczej odpłynęła z wdziękiem nimfy wodnej, w stronę wejścia dla artystów. Zoey patrzyła za nią tak długo, aż kobieta zupełnie zniknęła jej z oczu. Wiedziała jedno: mimo najszczerzych chęci, za nic w świecie nie będzie w stanie znienawidzić żony Szymona – była naprawdę wspaniała.

Po drugim gongu mężczyzna także się pożegnał. Zoey pocałowała go w policzek, ale ani razu nie spojrzała mu w oczy.

– A tobie co się stało? – zapytała Alicja, gdy znalazły się znów na swoich miejscach na widowni. – Wyglądasz jakbyś zobaczyła ducha. – Zoey pokręciła głową, wzruszyła ramionami i westchnęła ciężko. – Przyznaję, fajny facet, ale od początku mówiłam ci, że nic z tego nie będzie. Wiedziałaś, że ma żonę – skarciła ją Alicja, która natychmiast zrozumiała wszystko. Zoey pomyślała, że czasem wołałaby, żeby jej przyjaciółka jednak nie czytała w myślach. – Powinnaś wreszcie zacząć żyć na jawie. Sięgaj tych swoich gwiazd, ale może dla odmiany nie tych przynależących do czyjejś konstelacji...

Światła przygasły i wokół zapanowała cisza.

– Będzie dobrze. Spełni się. Zobaczysz – szepnęła Alicja i krzepiąco poklepała przyjaciółkę po ręce. – A może już się spełniło? W końcu Jacek jest wolnym ciałem niebieskim...

Chwilę później salę koncertową wypełniły delikatne, smutne tony skrzypiec. Eufrozyna za nic nie mogła zmusić myśli, by pobiegły w stronę Jacka. Miała wrażenie, że bransoletka nagle zrobiła się szalenie niewygodna. Rozpięła zameczek i schowała ją do torebki. A może to nie

metal tak ją gryzł, a wyrzuty sumienia? Nie mogła jednak nic poradzić na to, że widok Szymona uciszył na chwilę zdrowy rozsądek, a tym samym wszystkie rozumowe kalkulacje przestały się liczyć. Poddała się więc i, do końca koncertu wymyślając sobie od „popaprańców”, z zazdrością wpatrywała się w pochłoniętą bez reszty grą cud-Natalię, marząc o tym, jak wspaniale byłoby zamienić się z nią miejscami. I choć w tej chwili ze wszystkich sił nienawidziła siebie za podobne myśli i czuła się winna w stosunku do Jacka, nie potrafiła zapanować nad uczuciami.

IX

– Dziadku, byłeś niesamowity! – Zoey rzuciła się Damazemu w ramiona, gdy tylko wyszedł przed filharmonię. Odkąd zagubiła się we własnych myślach, marzyła o tym, żeby znaleźć się na chwilę w bezpiecznych objęciach dziadka, w których wszystkie problemy natychmiast się rozpląwały, a świat znów wydawał się dobrym i bezpiecznym miejscem. Dziadek zdawał się zaskoczony tym nagłym przyływem czułości, ale nie skomentował jej zachowania. Natychmiast zrozumiał, że w gościu tym kryje się coś więcej niż podziw dla jego występu, z którego, po prawdzie, nie był dziś szczególnie zadowolony. Objął swoją dorosłą wnuczkę ramieniem i pocałował w czubek głowy.

– Było świetnie, Damazy! – dołączyła do zachwytów Alicja. – Lata lecą, a ty nadal nie wychodzisz z formy!

Wyrwany z zamyślenia mężczyzna znów przybrał swój rubaszno-kpiący wyraz twarzy.

– Dziękuję, moje drogie. Wasze słowa są wyrazem iście królewskiej hojności w prawieniu komplementów i skrajnej niekompetencji, gdy idzie o wychowanie muzyczne, o słuchu nie wspomnę. – Zaśmiał się głośno, po czym zaprosił swoje wielbicielki na kolację.

– „Co tam w garze?” czy „Kociołek”?

– „Kociołek” – odpowiedziała Alicja, a Zoey przytaknęła bez

przekonania.

Było jej absolutnie obojętne, gdzie spędzą ten wieczór. Od przerwy w koncercie prześladował ją widok roześmianej, przesympatycznej Natalii. Nie ma się czemu dziwić. „Idealny mężczyzna musi mieć idealną żonę”, myślała, raz po raz wzdychając ciężko.

Damazy rzucił Alicji pytające spojrzenie. Dziewczyna wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– A zatem „Kociołek” – zawyrokował Damazy, który postanowił za wszelką cenę wyrwać wnuczkę z otępienia. Był pewien, że jej ulubione podsmażane pierogi ruskie znacząco poprawią jego szanse na zwycięstwo z dręczącą ją chandrą.

– Czyżbyście wybierali się na kolację? – zagadnął nieśmiało pan Władysław, podchodząc do nich. – Może mógłbym się do was przyłączyć? Jeśli, oczywiście, nie sprawiłoby to wam kłopotu.

Eufrozyna poczuła, że się czerwieni. Dawno nie widziała pana Władysława. Wprawdzie staruszek zachowywał się jak gdyby nigdy nic, ale ogarnął ją nagle lęk, czy dziadek rozochocony koncertem nie palnie jakiegoś głupstwa podczas wspólnej kolacji.

– Władziu, Władziu, co też ty opowiadasz! Im nas więcej, tym weselej! – zaśmiał się Damazy i rąbnął kolegę w szczupłe, silnie przygarbione plecy tak mocno, że emerytowany dyrygent jęknął. – O, pardon! Wciąż zapominam, że się zestarzeliliśmy.

Choć pan Władysław był niemal równolatkiem Damazego, różnił się od niego znacząco. Podczas gdy Damazy, mimo ponad osiemdziesięciu lat, nadal wyglądał krzepko i czerstwo, chodził sprężysto, dumnie wyprostowany, z wysoko podniesioną głową, sadząc wielkie kroki, pan Władysław zdawał się coraz bardziej skurczoną wersją samego siebie. Zoey miała wrażenie, że głowa ciąży mu niemiłosiernie, a przygarbione od zawsze plecy z każdym rokiem zaokrąglały się jeszcze bardziej. Przez rzadkie, choć perfekcyjnie uczesane włosy, prześwitywała łysina. Pachniał werbeną, a zapadnięte, blade policzki miał zawsze idealnie ogolone.

Odzyskawszy oddech, pan Władysław uśmiechnął się nieśmiało w podziękowaniu. Damazy tymczasem zauważył niepewność, która odmalowała się na twarzy wnuczki i nie omieszkał tego wykorzystać.

Młasnął soczyście i powiedział niby mimochodem:

– Czy i wy czujecie ten oszałamiający zapach lawendy wypełniający powietrze?

Eufrozyna oblała się rumieńcem i zastygła, pewna, że pan Władysław dostrzeże niedorzeczność stwierdzenia i domyśli się, do czego nawiązuje Damazy. Tymczasem dyrygent wciągnął powietrze nosem i rzekł:

– W istocie piękny zapach.

Zdezorientowana Zoey rozejrzała się wokoło i dopiero teraz dostrzegła w oknie pobliskiej pralni wielką, podłużną donicę gęsto obsianą lawendą. Spojrzała na dziadka oburzona, ale on przybrał minę niewiniątka i rozłożył ręce w geście bezradności.



Wkrótce potem siedzieli we czworo w zacisznym, przytulnym wnętrzu restauracji. Damazy jak zwykle wziął na swe „starcze barki” – zwrotu tego używał ostatnio z prawdziwą lubością – ciężar rozmowy. Alicja, która po dwóch lampkach wina wypitych w filharmonii była w doskonałym humorze, wtórowała mu tak entuzjastycznie, że ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach raz po raz zerkali w ich stronę.

– Pewnie mają nas, Władziu, za strasznych zbereźników! – zachichotał Damazy, podchwyciwszy jedno z takich ukradkowych spojrzeń. – Dwóch mężczyzn w późnej jesieni, by nie rzec przedzimię życia, starcy po prostu, nie bójmy się tego słowa, Władziu, zabawiają się w towarzystwie kwitnących jak kwiaty polne, młodziutkich panienek. – Pan Władysław zaczerwienił się speszony, ale Damazy, nie zważając na

błagalne spojrzenia wnuczki, wyraźnie się rozkręcał. – Pani siedząca przy stoliku z lewej patrzy na nas jak na tych biblijnych podstarzałych zboczeńców, którzy podglądali kąpiącą się Zuzannę, czerpiąc z tego niezdrową, ba, kto wie, czy nie zabójczą w ich wieku, przyjemność.

Damazy znów się roześmiał, Alicja zawtórowała mu, zachwycona połączeniem absurdalności podobnych teorii i koniecznością przyznania, że zapewne wszyscy wokół tak właśnie myślą. Zoey popatrzyła na pana Władysława, który, choć zdawało jej się to niemożliwe, jeszcze bardziej się skurczył. Ona także nie czuła się najlepiej, wysłuchując zbyt rubasznego komentarza dziadka. Jedynym sukcesem, jaki odniósł całą tą nedorzeczną paplaniną, było to, że przestała myśleć o Szymonie i jego żonie.

– A teraz patrzcie – rzekł Damazy, zachęcony tym, że wnuczka zamiast wzdychać otworzyła szerzej oczy z przerażenia, i czym prędzej wstał.

Zoey zamarła. Dziadek podszedł do siedzącej przy stoliku z lewej strony kobiety. Ukłonił się z galanterią, ucałował ją w dłoń, po czym w wyrafinowanych, usłużnych słowach poprosił najuprzejmiej, by nieco ściszyła swoje nieprzyzwoite myśli na temat jego i jego wnuczki, bo przeszkadzają mu jeść kolację, a niestrawność w jego wieku może mieć fatalne skutki. Kobieta wyglądała, jakby od nadmiaru emocji groziła jej natychmiastowa implozja. Damazy tymczasem wrócił do stolika. Patrząc kobiecie prosto w oczy, zjadł ostatni kęs swojej kolacji.

– Pierogi mają najlepsze, ale deseru nikt nie poda wam takiego jak ja – zawyrokował, otarłszy usta serwetką, po czym puścił oko do nieszczęsnej kobiety, której policzki z lekko zaczerwienionych zmieniły się natychmiast w purpurowe. – Sernik, kawa, likier orzechowy i brydzyk. Oto moja propozycja na dalszą część wieczoru. Odmowy nie przyjmuję – powiedział wesoło. – Usiłował przy tym nie patrzeć na wnuczkę, żeby przypadkiem jej nie spłoszyć. Potrzebowała oderwać myśli od dręczącego ją tematu. Cokolwiek nim było od czasu choroby, odbierało jego małej królownie radość życia. Nie mógł pozostawić jej samej sobie, choćby się miał wygłupić przed całym światem, a nawet stąpać słowami po cieniutkiej linii sugestii, tak, by nie złamać danej wnuczce obietnicy i nie sprawić nadmiernej przykrości przyjacielowi.

Dla Eufrozyny gotowy był na wszystko. – Zresztą gdyby ktokolwiek z was postanowił nie skorzystać z zaproszenia, zrujnowałby partyjkę pozostałym – dodał z naciskiem, po czym uniósł dłoń, przywołując kelnera. – Rachunek, poproszę!

Kwiecień

I

Powrót do szkoły był dla Eufrozyny o wiele łatwiejszy, niż się spodziewała. Szymon najwyraźniej także postanowił jej unikać. Bez słowa, za to z nieodmiennie uprzejmym i obojętnym uśmiechem na twarzy kłaniał się jej, gdy mijali się na korytarzu lub w pokoju nauczycielskim, ale nigdy nie patrzył jej w oczy. Pewnie wstydził się swojego postępu albo obraził się, że podwładna odrzuciła jego względy. „Klasyczny samiec ze zranioną miłością własną”, pomyślała, gdy kolejny raz odwrócił wzrok, mijając ją. Mimo wszystko nie mogła nie dosłyszeć podszeptu żalu i tęsknoty za pogawędkami o niczym, żartami i wspólną, wyteżoną pracą.

„Było, minęło”, skarciła się w myślach i rozluźniła zaciśnięte pięści. Z jednej strony było jej przykro, że tak bardzo pomyliła się w jego ocenie, z drugiej zaś odczuwała nieopisaną ulgę. To właśnie spotkania z Szymonem, a także tego, jak zachowa się względem niej w szkole, bała się najbardziej. Cała reszta zdawała się wręcz ulec poprawie. Uczniowie, widocznie stęsknieni, powitali ją radośnie, i przez

pierwszy tydzień czuła się jak Mary Poppins, a nie nauczycielka w zwyczajnej podstawówce. Największą zagadkę stanowiła jednak dyrektorka. Od powrotu Eufrozyny nie robiła żadnych aluzji, nie komentowała nieprzyjaźnie jej nieobecności, choć zwykle każdy nadprogramowy dzień absencji nauczyciela traktowała jak osobistą obrazę i zamach na funkcjonowanie jej placówki oświatowej. Jeszcze dziwniejsze wydało się dziewczynie, że przełożona ani razu nie nawiązała do nieszczęsnego wniosku o dofinansowanie, choć było powszechnie wiadomo, że remont generalny szkoły, za który zamiast samorządu zapłaciłaby Unia Europejska, miał być wielkim numerem pokazowym przed burmistrzem i gwarantem pozostania na stanowisku aż do emerytury. Niepowodzenie projektu było w jej świecie tragedią równą klęsce żywiołowej lub stanowi wojennemu. Tymczasem kobieta zachowywała się tak, jak gdyby nigdy nic się nie stało, a wręcz, czego Zoey nie mogła już żadną miarą zrozumieć, była dla niej zaskakująco miła. Przez pierwsze dwa tygodnie Zoey wstrzymywała oddech, mijając gabinet dyrektorki i starając się przemknąć niezauważona.

– Żartujesz?! – wykrzyknęła Alicja, gdy przestraszona Zoey opowiedziała jej, jak to dyrektorka podeszła do niej i z uśmiechem zapytała, co słyhać.

– Serio. Wierz mi, też się zdziwiłam – zapewniła Eufrozyna. – Patrzyłam na nią przerażona, spodziewając się noża w plecy po tym przymilnym wstępie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Odpowiedziałam przez zaciśnięte gardło, że wszystko jest w najlepszym porządku; chciała jeszcze coś powiedzieć, ale dzwonek wyratował mnie z opresji.

– Mam złe przeczucia... – złowrogo wymamrotała Alicja. – Myślisz, że chce cię zwolnić?

– A niby za co? – spytała czym prędzej Zoey, by ukryć zmieszanie.

Natychmiast pomyślała, że może Szymon okazał się mniej dyskretny, niż przypuszczała, i pod jej nieobecność przedstawił dyrektorce swoją wersję wydarzeń, obarczył ją winą za niepowodzenie projektu i na dodatek napomknął o pocałunku? Tylko że naturalnym następstwem podobnego scenariusza z całą pewnością nie byłaby poprawa stosunków z dyrektorką, a raczej jakaś wyrafinowana zemsta z jej strony... A może tak właśnie było? Może są to tylko pozory mające

uśpić czujność Zoey, swoiste preludium przed wielką wendetą za uwiedzenie mężczyzny, na którego dyrektorka sama ostrzyła sobie zęby?

– Czy ja wiem... – ciągnęła Alicja po chwili namysłu. – Może za te twoje notoryczne spóźnienia?

Zoey odetchnęła z ulgą. Przyjaciółka niczego nie podejrzewała. Nie wiązała całej sprawy z Szymonem, a to oznaczało, że po szkole nie krążyła żadna niestosowna plotka. Przynajmniej na razie...

– Pani Maliniak, pani dyrektor prosi – oznajmiła swoim nerwowym, nosowym głosikiem sekretarka, która nie wiadomo skąd nagle zjawiła się obok nich.

Zoey zamarła. A zatem to już, nadeszła godzina prawdy.

– Więc jednak... – westchnęła grobowym głosem Alicja. – Chcesz, żebym poszła z tobą?

Eufrozyna pokręciła głową. Nie przyznała się przyjaciółce, co naprawdę zaszło tamtego wieczoru w gabinecie Paskiewicza. Nie mogła zebrać się na odwagę... Nie chciała mimo wszystko ingerować w jakikolwiek sposób w relację przyjaciółki z przełożonym. Nie potrafiła tego uzasadnić, ale wydawało jej się, że podobne zachowanie byłoby nie w porządku. Teraz zaś nie chciała, żeby Alicja usłyszała od dyrektorki fałszywą wersję wydarzeń, nim ona będzie miała okazję przedstawić jej prawdziwą.

– Nie, dzięki, poradzę sobie – odparła słabo.

– A jednak pójdę z tobą. Tak na wszelki wypadek – oświadczyła lojalnie Alicja. – I zaczekam pod gabinetem. – Zoey skinęła głową. Nie miała teraz siły protestować. – Jakby usiłowała cię zabić, krzycz, przyjdę z odsieczą – zażartowała przyjaciółka, ale pogrążona we własnych, niezbyt wesołych myślach Eufrozyna nawet się nie uśmiechnęła.



Niecały kwadrans później wyszła z gabinetu dyrektorki. Minę miała jeszcze bardziej nieodgadnioną niż przed wejściem, jakby mięśnie twarzy zostały sparaliżowane przez strach i napięcie wewnętrzne. Alicja otoczyła ją ramieniem.

– Zwolniła cię? – zapytała zatroskana.

– Dała mi premię – odpowiedziała Zoey głosem pozbawionym emocji. – No, proszę, proszę. – Alicja gwizdnęła z wrażenia. – A co się stało naszej Cruelli de Mon, że zdobyła się na taki gest?

– Powiedziała, że... – Zoey mówiła powoli, jakby sama nie mogła uwierzyć, że to, co ma powiedzieć, jest prawdą – że nasza szkoła jako jedyna w województwie otrzymała pełną kwotę, o którą wnioskowała, a nasz wniosek jako jedyny nie zawierał błędów formalnych, za co dyrektorka została oficjalnie pochwalona i w ministerstwie, i w ratuszu.

– Świetnie! Gratulacje! – wykrzyknęła Alicja. – Od teraz będzie jadła ci z ręki. Ona jest łasa na wszelkie komplementy z góry. – Zoey uśmiechnęła się słabo. – Co jest? Nie cieszysz się?

– Cieszę się, cieszę... – odparła mechanicznie Zoey, a jej myśli podążały w zupełnie innym kierunku.

Zastanawiała się, jak Szymon tego dokonał. Czyżby sam dokończył wniosek i jakimś cudem złożył go w terminie? Dlaczego nie powiedział dyrektorce, że Zoey porzuciła projekt tuż przed metą i w ogóle się nim potem nie interesowała? Dlaczego mimo wszystko powiedział jej, że to ich wspólna zasługa?

– Właśnie widzę – zakpiła Alicja. – Tryskasz radością. Jeśli ja kiedyś dostanę podwyżkę i będę się tak cieszyła, to mnie dobij, bo niechybnie będzie to znak, że pora umierać.

Eufrozyna wruszyła ramionami, nie zważając na docinki przyjaciółki. Rozważała, czy nie powinna pójść podziękować Szymonowi. Ostatecznie zachował się w porządku. Jednak w następnej chwili przypomniał jej się powód, przez który uciekła tamtego wieczoru, nie dokończywszy zadania. Poczowała falę gorąca zalewającą jej wnętrze. Zakręciło jej się w głowie, a w uszach lekko zaszumiało. Wspomnienie

pocałunku Szymona, mimo najszczerzych wysiłków jej woli, wywoływało wciąż zbyt żywą reakcję serca.

– A, czekaj! Z tego wszystkiego zapomniałam ci powiedzieć, że Rex wrócił – przypomniała sobie nagle Alicja, ściągając przyjaciółkę gwałtownie na ziemię.

Rzeczywistość zastukała do wnętrza Zoey, domagając się uwagi. Wspomnienie słodkiej chwili bliskości z wicedyrektorem natychmiast uleciało.

– Nie wiedziałam... – szepnęła zawstydzona. – Nie odezwał się, żeby powiedzieć o powrocie.

– A ty się odezwałaś? – spytała Alicja, patrząc jej uważnie w oczy.

II

Zoey obudziła się przed budzikiem, choć, prawdę powiedziawszy, czuła się tak, jakby ucięła sobie za ledwie poobiednią drzemkę, a nie przespała dziesięć godzin. Rozmowa, którą wczoraj odbyła z Reksiem na tarasie uroczej włoskiej restauracji, kompletnie ją rozbiła. Czym innym jest wiedzieć, że jakaś historia jest już skończona, a czym innym usłyszeć wprost z ust, które jeszcze kilka tygodni wcześniej całowały cię namiętnie, że to wszystko nie miało sensu.

„Dziwny jest ten świat”, westchnęła w duchu Eufrozyna i aż podskoczyła z wrażenia, gdy nagle głęboki aksamitny głos tuż przy jej głowie wyśpiewał tę samą frazę. Radiobudzik wskazywał szóstą piętnaście, a rosnący w siłę z każdą sekundą głos Czesława Niemena zrzędzeniem dowcipnego losu zastępował pianie koguta albo nieznośny terkot tradycyjnego budzika. Zoey wyłączyła radio, by łkający o ludziach dobrej woli Niemen nie postawił na nogi mieszkańców całego pionu w bloku. Wstała, rozcierając obolały kark. Wykonała parę skłonów, ale szybko porzuciła gimnastykę. Nic jej się nie chciało. No jasne, nie ma się czemu dziwić, w końcu jest w niej za mało życia. Jakos tak to powiedział.

– Jest w tobie strasznie mało życia, mniej niż dawniej. I mało

radości. Aż mi się odechciewało... – usłyszała w głowie głos Reksa i ponownie zrobiło jej się przykro.

„Mało życia? Mało radości? Ciekawe czemu nie jestem taka radosna jak kiedyś? Ciekawe, kto mnie odarł ze złudzeń i życiowej naiwności? Ze ślepej wiary w to, że miłość jest lekiem i sposobem na wszystko? Kto, do cholery?”, pytała samą siebie, krążąc po pokoju. „Kto mnie zdradził i oszukał, potem zniknął, wrócił po dziesięciu latach jak gdyby nigdy nic, zabawił się moim kosztem, by potem oświadczyć, że jest we mnie za mało radości? Co ze mną jest nie tak? Dlaczego wszyscy, no, prawie wszyscy, na których mi zależy, odchodzą? Może rodzice też uznali, że jest we mnie za mało życia? Cholera by to wszystko wzięła!”, rozmyślała, dalej krążąc po pokoju w poszukiwaniu rzeczy użytku codziennego, które najwyraźniej także postanowiły sprzysiąć się przeciwko niej.

Kopnęła wściekle ciężkie drzwi szafy, które zatrzęsnęły się z hukiem. Dziadek natychmiast pojawił się w drzwiach pokoju. Eufrozyna leżała na łóżku i zalewała się łzami ze złości.

– Wszystko w porządku? – zapytał zatroskany.

Zoey podniosła głowę i spojrzała na Damazego. Jego nienagannie ogolone policzki, perfekcyjnie wyprasowana koszula i przebijający spod powierzchni chwilowego zmartwienia, zadowolony z siebie wyraz twarzy, z niewyjaśnionych przyczyn wyjątkowo ją dziś zirytowały. Dziadek miał powody do samozadowolenia. Był idealny, a ona nie! Pytanie: dlaczego? Co robiła źle?!

– Dziadku, powiedz, co ja robię źle? – Gniewnie podniosła się na łóżku, usiadła po turecku i wypowiedziała na głos ostatnie pytanie, które zrodziło się w jej skołatanej głowie.

– Zacznijmy od tego, co się stało? – spytał delikatnie dziadek.

– Rozstałam się z Reksiem... – szepnęła.

– Nie wchodzi... – zaczął Damazy, a Eufrozyna gotowa była się założyć, że słyszy w jego głosie ulgę.

– Nie waż się dokończyć! – przerwała mu ostro. – Mam dość tych twoich powiedzonek, a tego w szczególności!

– Eufrozyno, posłuchaj...

– Nie, nie, nie! – gorączkowała się rozdrażniona. – Nie chcę, żebyś

mnie pocieszał. Chcę tylko wiedzieć, co robię źle? Dlaczego wszyscy mnie zostawiają? Dlaczego rodzice zostawili mnie tak bez żalu tobie na wychowanie?

– Nie za późno na bunt nastolatki? – zakpił Damazy i puścił do wnuczki oczko, próbując sprawdzonymi metodami nieco rozluźnić atmosferę. Bezskutecznie.

Dziewczyna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, które ciskały gromy.

– Zoey, tyle razy już to przerabialiśmy...

– Może było we mnie za mało radości? Czy może życia? Tak mało, że aż im się odechciewało, co? – wyrzuciła na jednym wydechu.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur?! – zachnął się Damazy, po czym najwyraźniej sam odpowiedział sobie na to pytanie, bo syknął: – A to kłamliwy fircyk, i do tego bezczelny! – Podeszedł do wnuczki i usiadł obok niej na łóżku. Odsunęła się z niechęcią. – Tyle razy ci mówiłem, że nie możesz wierzyć we wszystkie bzdury, które wygadują inni. Za duża już jesteś. – Dźgnął ją żartobliwie palcem w bok. – A życia zawsze miałaś i masz w sobie aż nadto, wiem co mówię, bo mieszkam z tobą pod jednym dachem od ponad trzydziestu lat.

– To dlaczego... Dlaczego on tak powiedział? – wychlipała Eufrozyna, w której duszy złość ustąpiła chwilowo miejsca głębokiemu zasmuceniu.

– Bo potrzebował wymówki, żeby nie brać odpowiedzialności za wasze rozstanie na swoje barki. Rozstanie to zawsze porażka, a on nie lubi przegranych. Chciał się czuć dobrze, usprawiedliwić się jakoś sam przed sobą, a to, że przy okazji ciebie zrani czy dotknie, było mu najprawdopodobniej zupełnie obojętne. Zawsze ci mówiłem, że Marcin jest tchórzem i ma parszywy charakter. I teraz sama widzisz, że tacy jak on naprawdę się nie zmieniają.

– Dziadku... – załkała. – Ale dlaczego ja mam takiego straszego pecha?

– Każdy ma. Takie jest życie, raz na wozie, raz pod wozem.

– Akurat! Ty jesteś cały czas na wozie, a ja moim pechem mogłabym spokojnie obdarować z pięć osób.

– Oto klasyczny przykład uzalania się nad sobą – podsumował

Damazya, ponownie przybierając swój lekko kpiący wyraz twarzy. – Zoey, każdemu się czasem nie układa...

– Nie tobie... – westchnęła.

– Mnie też, mnie też – zapewnił dziadek. – Pytanie, jak przyjmiesz te przeciwności losu. Z godnością i podniesionym czołem, nie pozwalając, żeby zaważyły na twoim samopoczuciu, czy pozwolisz im się pochłonać i zdołować.

– Łatwo ci mówić... – burknęła, zbywając jego słowa, zamiast się nad nimi zastanowić.

– Wiesz mi, że nie. – Po czym dodał ostrzejszym tonem: – Zoey, chyba już czas, żebyś przestała się mazać i zaprowadziła w swoim życiu jakiś porządek.

– Ciekawe, jak mam to zrobić? – odparła niechętnie.

– Zaczynaj od nieprzejmowania się głupotami, które mówią inni. A potem weź samą siebie w garść. Musisz wreszcie zacząć starać się żyć tak, jak chcesz, a nie funkcjonować jak przysłowiowa chorągiewka na wietrze.

– To nie fair... – zjeżyła się, ale dziadek postanowił dokończyć.

– Od dłuższego czasu patrzę, jak użalasz się nad sobą, miotasz w jakimś strasznym chaosie wewnętrznym. Z tym naprawdę da się zrobić porządek, tylko musisz chcieć! I trochę się wysilić! – zakończył nieznacznie podniesionym głosem.

– Ale ja już mam dość! Nie mam siły, rozumiesz?

– Bo trwonisz czas i energię na kręcenie się w kółko! Czy ty w ogóle wiesz, czego chcesz?!

Zoey otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili zadzwonił telefon. Odebrała, patrząc dziadkowi wyzywająco w oczy. Nie będzie jej mówił, jak ma żyć i co ma robić. Jest dorosła, niezależna i ma swoje życie. Po chwili rozmowy, a raczej po kilkunastu pełnych irytacji przytaknięciach, odłożyła telefon na stół.

– Kaśka – rzuciła. – Muszę lecieć.

– Nie dokończyliśmy rozmowy...

– Bo dla niej nie ma dobrego zakończenia – odparła Zoey nieprzyjawnym tonem, po czym zebrała ubrania z krzesła i wyszła do łazienki. – Najwyraźniej z pewnymi rzeczami jest jak z fatalnym

imieniem, nie pozostaje nic innego, jak się z nimi pogodzić.

III

Eufrozyna wbiegła do „Pękatej pszczołki” kilkanaście minut przed ósmą. Spróbowała, wzorem spóźnionych bohaterek seriali, rozebrać się w biegu, jednocześnie szukając wzrokiem czekającej na nią osoby, którą była, najpewniej bardzo rozhisteryzowana, Kaśka. Jednak to zadanie w praktyce okazało się o wiele trudniejsze. Eufrozyna zaplątała się w swój ulubiony długi, jedwabny szalik, straciła równowagę i wpadła z impetem na stojący przy drzwiach, o tej porze roku wciąż jeszcze mocno przepełniony, wieszak na ubrania. Wieszak zgodnie z prawami fizyki runął z hukiem na ziemię. Spoczywający na szczycie sterty okryć wierzchnich bezrękawnik w kolorze khaki wyleciał w powietrze i miękko opadł na głowę starszej pani siedzącej przy stoliku tuż obok wejścia. Zdezorientowana kobieta podniosła straszliwy krzyk. Machała rękami na wszystkie strony, usiłując zwalczyć niewidzialnego napastnika. Przy okazji straciła filiżankę z poranną kawą i talerz ze śniadaniem – porcją jajecznicy przyjemnie pachnącą szczypiorkiem. Kawa naznaczyła brązową plamą kolana kobiety odziane w szarą, elegancką spódniczkę, a z ust poszkodowanej wydobył się kolejny okrzyk; tym razem bólu. Tymczasem jajecznica ozdobiła tłustym kleksem jasne, wiosennie żółte tenisówki młodej, zadbanej dziewczyny przy sąsiednim stoliku, która fotografowała telefonem swój posiłek. Z jej intensywnie pomalowanych ust ułożonych w dzióbek wydobył się pisk przerażenia:

– Moje nowe conversy!

Zaś Zoey Maliniak, sprawczyni całego zamieszania, rozpaczliwie szarpnęła szal i upadła na podłogę tuż obok wieszaka. Zapanowała cisza. Wszyscy w kawiarni przyglądali się, jak Eufrozyna, rozczochrana i zaczerwieniona z gorąca i emocji, na czworakach, wypięta bezwstydnie w stronę widowni, szuka pod stolikiem starszej kobiety ciężkiej torby, która z spadła jej z ramienia w czasie upadku. Kelnerka, zastygła w pół

kroku z pełną tacą w ręku, przyglądając się pandemonium przy drzwiach z otwartymi ustami, niezdolna wykonać jakiegokolwiek ruchu, teraz odzyskała przytomność umysłu. Wykazując pełen profesjonalizm, w krótkim czasie zaprowadziła względny porządek i przywróciła w lokalu spokój. Wkrótce jedynym wspomnieniem katastrofy było pochlipywanie dziewczyny, która, zdjawszy but ze swojej idealnie wypielęgnowanej małej stópki o karminowych paznokciach, usiłowała przy pomocy lekko gazowanej wody i serwetki usunąć tłusty, pachnący szczypiorkiem ślad.

Zawstydzona Zoey bąknęła jakieś przeprosiny i odprowadzana niechętnymi spojrzeniami obsługi przemknęła w róg sali, gdzie w całym zamieszaniu udało jej się dostrzec przyjaciółkę.

– Świetne wejście – przywitała ją Kaśka.

Poirytowana do granic możliwości Eufrozyna, spodziewając się podobnego komentarza, miała w zanadrzu gotową ciętą ripostę, ale coś w głosie przyjaciółki sprawiło, że natychmiast zapomniała zarówno o własnej kompromitacji, jak i o konieczności odbicia piłeczki.

Brzmienie głosu Kaśki zapowiadało kolejne ciężkie chwile tego poranka.

Zoey westchnęła. Ten dzień nie tylko zaczął się źle, ale postanowił najwyraźniej takim pozostać. Obudziła się zaledwie dwie godziny temu i już ze wszystkich sił marzyła, by był wieczór, by mogła wrócić do domu i ukryć się przed całym światem pod kołdrą w towarzystwie latarki, książki i wielkiej tabliczki czekolady z orzechami. A potem przypomniała sobie, że w domu był dziadek, z którym po porannej dyskusji jakoś nie miała ochoty się widzieć.

Nigdy dotąd zresztą nie był wobec niej aż tak surowy. Zwykle jej wybryki traktował z właściwą sobie pogodną pobłażliwością, upominając i pouczając ją tak, by zrozumiała, ale nie poczuła się dotknięta. Dziś było inaczej. Damazy zachował się jak wymagający dowódca, udzielający reprimendy swemu podwładnemu, od którego oczekiwał bezwzględного posłuszeństwa. Jedno wiedziała na pewno, choć nigdy by się do tego przed nim nie przyznała – staruszek ma rację. W jej życiu panował nieznośny bałagan, nad którym utraciła kontrolę. Niepozamykane sprawy z przeszłości wyciągały swoje macki po jej teraźniejszość, a teraźniejszość chciała z całych sił stać się przyszłością.

Najgorsze jednak było to, że nieuporządkowane żale krępowały jej kolejne ruchy, sprawiając, że chwiała się, przechylała, to unosiła, to opadała pośród wszystkich życiowych fal jak mały szkuner na sztormowym oceanie. Tyle że nie była już małym szkunerem. Miała ponad trzydzieści lat i chyba naprawdę nadeszła pora, żeby wydorosnąć, uporządkować swoje życie i podejść do rzeczywistości bardziej systemowo.

– Stało się coś? – zapytała Kaśka bez zainteresowania, bardziej pochłonięta dziobaniem długą łyżeczką w sztywnej mlecznej piance stojącego przed nią latte niż zmartwieniami przyjaciółki.

– Ciężki poranek – rzuciła Zoey, żeby powiedzieć cokolwiek. – Co tam?

Kaśka nie odpowiedziała ani nie spojrzała na nią. Jediną reakcją na pytanie było zaprzestanie dziobania. Łyżeczka z cichym brzdękiem przyłgnęła do szklanej powierzchni szklanki.

– No, co tam? – powtórzyła Eufrozyna, ale znów odpowiedziała jej jedynie cisza.

Zoey przyjrzała się Kaśce uważnie. Takie zachowanie zazwyczaj zwiastowało kłopoty. I to poważne. Kiedy Kaśka miała mały problem, pojawiała się w domu Zoey z dwoma pudełkami ptasiego mleczka i dwiema butelkami czerwonego wina.

– Po jednym zestawie dla każdej – mówiła, po czym pochłaniała sama zawartość obu paczek i wychylała obie butelki, opowiadając swoje przygody. Pod koniec drugiego opakowania zwykle ją mdliło. Po krótkiej wizycie w łazience dochodziła do wniosku, że sytuacja nie wygląda aż tak dramatycznie, jak jej się wydawało. Układała się na kanapie i zasypiała. Zoey wielokrotnie zastanawiała się, do czego właściwie jest potrzebna Kaśce w takich chwilach, skoro zwykle przyjaciółka nie dawała jej dojść do słowa. Może była wymówką do bezwstydnego zjedzenia dwóch pudełek ptasiego mleczka? A może mówiąc, Kaśka porządkowała własne myśli i przeżycia, dzięki czemu w końcu sama znajdowała rozwiązanie?

Gdy zmartwienie Kaśki było średniego kalibru, dziewczyna płakała, histeryzowała i rozpaczała tak długo, aż sama męczyła się tym stanem, a górę brała zdroworozsądkowa część jej natury. Wówczas

sprzątała szafy, by następnie wypełnić je nową garderobą albo przechodziła na kolejną dietę „cud” i kupowała karnet do pobliskiego fitness klubu, który oczywiście pozostawał zwykle na wieki niewykorzystanym.

Najgorzej było, gdy Kaśka traciła apetyt i milczała. Przez ostatnie dziesięć lat ich przyjaźni ten poziom osiągnęła zaledwie dwa razy: po śmierci matki i gdy z dnia na dzień wyrzucono ją z pierwszej pracy – nie za brak umiejętności czy odpowiednich kompetencji, ale ponieważ kochanka szefa potrzebowała pracy i trzeba było zwolnić dla niej miejsce. Proces wyciągania przyjaciółki z apatii był długi i skomplikowany dla całego otoczenia.

Gdy parę minut przed siódmą, w porze, którą sama zwykła nazywać barbarzyńską, Kaśka zadzwoniła i grobowym tonem oświadczyła, że czeka w „Pękatej pszczołce” i będzie tu siedzieć tak długo, aż przyjaciółka się nie pojawi, Zoey podejrzewała umiarkowaną histerię. Późniejsza tyrada Kaśki tylko utwierdziła ją w tym przekonaniu.

– Jak nie przyjdiesz, to najwyżej mnie zwolnią z naganą za niestawienie się do pracy, bank zlicytuje mi mieszkanie, bo bez pensji nie będę mogła zapłacić raty kredytu, pozbawiona pakietu medycznego, bez badań profilaktycznych odkryję, że mam raka, gdy będzie już w zaawansowanym stadium z przerzutami, i umrę w męczarniach. Do ostatniej chwili będę jednak czekać... Nie mam już nic lepszego do roboty...

Zoey jęknęła. Dramatyczny słowotok Kaśki i jej wyimaginowane problemy były ostatnią rzeczą, której dziś potrzebowała. Choć w historii świata nikt nigdy nie wyrzucił dyrektora finansowego z doskonałymi wynikami za spóźnienie, a na ratę kredytu w razie czego zapracuje Pafcio, mimo to Zoey rzuciła się czym prędzej do wyjścia, żeby przed lekcjami zdążyć poświęcić chwilę przyjaciółce. Kaśka najwyraźniej potrzebowała uwagi i odrobiny dramatyzmu w swoim nazbyt spokojnym, drobnomieszczańskim życiu. Eufrozyna całą drogę wyrzucała sobie, że powinna wreszcie zacząć słuchać Damazego, być bardziej asertywna, nie dawać się wciągać w emocjonalne gierki przyjaciółek i byłych chłopaków, przestać zaspokajać wydumane kaprysy wszystkich dookoła i wreszcie znaleźć trochę czasu, by

zastanowić się, czego sama chce od życia! Mimo bojowego nastawienia nie zdołała się przełamać, by zadzwonić i odwołać spotkanie. Zgrzytając zębami, po raz setny złożyła uroczystą przysięgę, że następnym razem uświadomi Kaśce, że ona, Zoey, też ma swoje życie, swoje sprawy i nie może rzucać wszystkiego z powodu jej wygłupów.

Z każdym krokiem czuła, że narasta w niej złość. Miała ochotę złapać Kaśkę za ramiona, potrząsnąć nią z całej siły i uświadomić w dosadnych słowach, że inni ludzie też mają problemy, i to prawdziwe! Cała jej złość uleciała w nanosekundzie, w chwili gdy dostrzegła brak talerzyka z ciastkiem, prawie pełną szklankę latte i spokojną, choć dziwnie zaciętą twarz przyjaciółki. Do tego Kaśka była niepomalowana! Zoey nigdy wcześniej nie widziała jej w miejscu publicznym bez makijażu. Zmartwiła się nie na żarty. Coś było stanowczo nie w porządku. Kaśka wyglądała, jakby ktoś odłączył ją od prądu. Eufrozyna położyła dłoń na ręce przyjaciółki i pogładziła ją uspokajająco.

– Hej, hej, jesteś tu? – zagadnęła znowu. – Hej, powiedz coś...

Kaśka spojrzała na Zoey, jakby właśnie przypomniała sobie o jej istnieniu. Pokręciła głową. Zamrugnęła oczami, z których wypłynęło kilka wielkich łez. Zoey czuła, jak z niepokoju żołądek zwija się jej w ósemkę. Coś było nie tak, cholernie nie tak.

– On mnie już nie kocha... – szepnęła Kaśka.

– Kto? – zapytała Eufrozyna, zanim zdążyła się zastanowić.

– Nie kocha mnie... – powtarzała przyjaciółka jak w transie. – Już mnie nie kocha...

– Pafcio?! – wykrzyknęła zszokowana Zoey.

Kaśka skinęła głową.

– Paweł już mnie nie kocha.

Gdy wypowiedziała te słowa, coś w niej pękło i wybuchnęła płaczem. Eufrozyna nie była pewna, co wstrząsnęło nią najbardziej: pewność, z jaką Kaśka wypowiedziała to straszne zdanie, to, że po raz pierwszy odkąd się znały, nie użyła pieszczotliwego przydomka męża czy wreszcie, że jej opanowana do granic możliwości przyjaciółka rozplakała się publicznie, nie tyle by dodać dramatyzmu scenie, którą właśnie odgrywała, lecz z prawdziwego żalu. Zoey z rosnącym

niepokojem patrzyła, jak Kaśka, wtuliwszy głowę w ramiona, chlipała żałościwie. Zastanawiała się, co też mogło się stać. Jednak zanim zdążyła zapytać, przyjaciółka bezwiednie udzieliła jej odpowiedzi.

– Wczoraj nie wrócił na noc. Mówił, że renegocjują warunki jakiegoś kontraktu z Rosjanami i że prześpi się na kanapie w pracy. Zdarzało mu się to czasami, zwłaszcza gdy miał zagranicznych kontrahentów, więc niczego nie przeczuwałam. Ale dziś... Dziś rano, jak wracałam z basenu... – Głos Kaśki załamał się i chwilę milczała, pochlipując.

– No? – Eufrozyna, sama nie mogąc opanować napięcia, ponagliła przyjaciółkę niezbyt delikatnie.

– Zoey, ja go widziałam. Widziałam... Widziałam go z inną. – Kaśka jęknęła rozpaczliwie i, co gorsza, całkiem głośno.

Oczy wszystkich w kawiarni momentalnie zwróciły się w ich stronę. Melodramat jest zawsze w cenie. Mimo zmartwienia, Zoey zanotowała w pamięci, żeby na krytyczne spotkania w przyszłości umawiać się w jakimś mniej obleganym miejscu. Zignorowała jednak zaciekawione spojrzenia i skupiła całą uwagę na przyjaciółce.

– Widziałaś Pafcia z inną? – powtórzyła, czując, że głos jej drży.

Kaśka kiwnęła głową i załkała rozdzierająco. Zoey nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Pafcio, owszem, był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, owszem, w kręgach, w których się obracał, nie brakowało równie atrakcyjnych kobiet, ale od lat pozostawał na obie te okoliczności całkowicie obojętny. Należał do osób, które nie poświęcają swojemu wyglądowi najmniejszej uwagi, a określenie „przystojny” przyjmował wprawdzie z pobłażliwym uśmiechem, ale natychmiast zmieniał temat, jakby własna uroda lub jej brak nie miały żadnego znaczenia. Gdyby Kaśka nie pilnowała jego garderoby, Pafcio wciągałby na grzbiet, co popadnie, byle było czyste, bez dziur i w miarę możliwości pasujące do okazji. Grzebienia nie używał. Mimo wysokiej pozycji zawodowej, zamiast, jak jego koledzy, odwiedzać fryzjerskie atelier i oddawać się w ręce wysoce wykwalifikowanego stylisty, Pafcio, niezmiennie od lat, raz w miesiącu chodził się strzyc do fryzjera na osiedlu, gdzie mieszkali jego rodzice. Pan Lucek prowadził swój zakład od pół wieku i podobnie jak Pafcio był kompletnie nieczuły na słowo

„trend”. W swoim gabinecie rodem z PRL-u przycinał klientom wąsik, golił brzytwą, a włosy strzygł równo i tak, by nie wchodziły do oczu.

Przede wszystkim jednak Pafcio należał do ginącego gatunku mężczyzn, którzy zakochują się raz na całe życie. Poznał i pokochał Kaśkę, mając lat czternaście, i od tej pory wszystkie kobiety na Ziemi przestały się dla niego liczyć, no, może poza matką i babcią. Był mężem idealnym, ostatnim bastionem dawnych, rycerskich zasad, chodzącym dowodem na to, że marzenie o miłości, którą pokona jedynie śmierć, może się spełnić. Nie, Pafcio nie mógłby zrobić czegoś takiego.

– Jesteś pewna? – zapytała Zoey, nie mogąc opanować narastającego przekonania, że musiała zająć jakąś pomyłkę.

Kaśka kiwnęła głową.

– Potrafię rozpoznać własnego męża! – wychlipała. – Widziałam ich... Widziałam... p...pod jego kancelarią, a...A potem wsiadli do naszego... NASZEGO samochodu i odjechali....

Zoey czuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie. Kaśka lubiła kontrolowany dramatyzm. Uwielbiała być nieustannie w centrum uwagi, w przeciwnym wypadku potrafiła ją skutecznie wymusić na otoczeniu przy pomocy mniej lub bardziej tragicznych opowieści. Jednak podobnej historii nawet ona by sobie nie wymyśliła.

– I ta... Ta ku... kobieta obejmowała go za szyję i patrzyła mu w oczy, i uśmiechała się do niego, a on pochylił się nad nią, gdy wsiadali do samochodu i to było straszne... – Kaśka znów zaniosła się płaczem. – Takie straszne...

– A może to jednak jakaś pomyłka? – ponownie zasugerowała Eufrozyna, choć opowieść była na tyle realistyczna, że i jej niezbita wiara w rycerską wierność Pafcia zaczynała się chwiać. – Rozmawiałaś z nim?

Przyjaciółka pokręciła głową.

– Próbowałam do niego zadzwonić, ale ma wyłączony telefon...

– Spróbuj jeszcze raz. – Zoey poczuła, że i jej zaczynają udzielać się emocje. Ogarniała ją panika.

– Próbowałam dwadzieścia siedem razy – wychlipała Kaśka. – Już nie mogę... Telefon mi padł...

– To ja spróbuję. – Zoey drżącą ręką wybrała znany od tak dawna

numer.

Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka: „Witam. Mecenas Szczygło nie może w tej chwili odebrać połączenia, uprzejmie proszę o pozostawienie wiadomości lub ponowny kontakt w późniejszym terminie...”. Zoey przeszły po plecach ciarki. Pamiętała dokładnie dzień, w którym Kaśka nagrała mężowi powitanie na poczcie głosowej. Nim powstała obecna wersja, dowcipna pani mecenasowa nagrała przynajmniej tuzin mniej cenzuralnych. Pafcio był zachwycony ich treścią i jednocześnie przerażony, że któremuś z jego poważanych klientów przyjdzie do głowy skontaktować się z nim w sobotni wieczór w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie, a wówczas mógłby przypadkiem usłyszeć te wszystkie urocze świąstewka wypowiedane zmysłowym głosem jego żony. Nie, ten Pafcio nie mógłby zdradzić Kaśki. Nigdy, przenigdy!

– Nie uwierzę w to! – powiedziała bardziej do siebie niż do Kaśki.
– To po prostu niemożliwe! Musi być jakieś wyjaśnienie...

– Jest. Bardzo konkretne – powiedziała cicho Kaśka. – Kryzys wieku średniego...

– Błagam cię! – jęknęła Eufrozyna. – Pafcio nie podlega pseudo-psychologicznym prawom rodem z kolorowych gazet dla kobiet...

– W takim razie prawda jest o wiele gorsza. Przynajmniej dla mnie... – Kaśka ściszyła głos. – Mój mąż mnie już nie kocha i zdradza, bo szuka sobie czegoś nowego.

Zoey spojrzała przez okno, próbując jakoś pozbierać wszystkie elementy tej układanki.

IV

Eufrozyna wypadła z „Pękatej pszczołki” i, powiewając długim szalikiem, obciążona wielką torbą z pomocami szkolnymi, usiłowała dogonić wjeżdżający na przystanek autobus – jej ostatnią nadzieję na punktualne przybycie do pracy. Autobus długo stał. W sercu dziewczyny

zaczęła tlić się nadzieja na ratunek, jednak gdy tylko dopadła drzwi, kierowca zamknął je, nie zważając na jej rozpaczliwe walenie i okrzyki, po czym włączył kierunkowskaz i odjechał. Wprawdzie musiał stać w takiej skręconej pozycji kolejne półtorej minuty, czekając na zielone światło, ale absolutnie nie zamierzał ponownie otworzyć drzwi.

Zoey westchnęła i zrzuciła torbę na przystankową ławkę. Wzruszyła ramionami na myśl, że klasy są przyzwyczajone do spóźnień swojej anglistki, nawet gdy zaczyna dzień pracy dopiero od trzeciej lekcji. Kolejny autobus będzie za kwadrans i jeśli przyjedzie punktualnie, a ulice zaleje fala zielonych świateł, spóźni się jedynie dziesięć minut. Pokrzepiona tą myślą przysiadła obok torby i od niechcienia zajrzała do środka.

– Nie! – krzyknęła nagle, nie zważając na pozostałych oczekujących. – Nie, nie, nie, nie!

We wnętrzu jej torby znajdował się gruby plik egzaminów szóstoklasisty! Poprzedniego wieczoru kuratorium nadesłało egzemplarze do szkoły. Jak zwykle miała je skopiować sekretarka, ale ksero odmówiło posłuszeństwa. Zoey, jako mieszkanka śródmieścia, w którym jak wiadomo punktów ksero jest niemalże tyle samo co śmietników, po szczegółowym pouczeniu dotyczącym faktury i konieczności zachowania treści arkuszy w tajemnicy, została wydelegowana do wykonania kopii na dzisiejszy egzamin. Jej nieobecność nie miała szans pozostać niezauważoną, a kolejne, tym razem prawdziwie spektakularne spóźnienie, z pewnością poskutkuje odebraniem podwyżki, nim jeszcze faktycznie ją dostała.

Niewiele myśląc, zamachała na nadjeżdżającą taksówkę, w duchu modląc się, by była wolna. Samochód zatrzymał się. Wsiadła do niego z wyraźnym uczuciem ulgi, po czym dostrzegła brak nieszczęsnej torby i zmusiła skołowanego taksówkarza do wykonania nieprzepisowego manewru na rondzie, który oczywiście musiała zauważyć patrolująca okolicę policja. Gdy wściekły kierowca tłumaczył stróżom prawa okoliczności zdarzenia, Zoey pobiegła na przystanek. Na szczęście podczas jej krótkiej nieobecności nikt nie pokusił się o kradzież stu egzemplarzy egzaminu szóstoklasisty z języka angielskiego. Wróciła do samochodu, dysząc ciężko. Oddała taksówkarzowi równowartość

mandatu, ale na niewiele się to zdało.

– E tam, pani, nic to nie pomoże. Najgorsze to te punkty – wymamrotał, ale schował banknot.

Jechali przez miasto, a modlitwy Zoey po raz pierwszy tego feralnego dnia zostały wysłuchane. Taksówka ani razu nie musiała zatrzymywać się na światłach.

Zwolnili dopiero podczas skrętu w małą uliczkę dojeżdżającą do szkoły. Wtedy właśnie spoglądająca przez okno Eufrozyna dostrzegła Pafcia. Nie był sam. Wchodził do pobliskiego hotelu czterogwiazdkowego z wtuloną w jego bok młodziutką kobietą, którą obejmował w pasie. Zoey nie dowierzała własnym oczom.

– To nie może być prawda... – szepnęła, chcąc dodać sobie otuchy.

Przykleiła nos do szyby, chcąc przyjrzeć się im lepiej. Pafcio, jak zwykle niedbale elegancki, uśmiechał się szeroko do niewysokiej, drobniuteńkiej blondynki o niezwykle wąskiej talii ściągniętej szerokim paskiem i wielkich ustach, podkreślonych dodatkowo intensywnie czerwoną szminką. Eufrozyna skrzywiła się. Wstrętna Kokieta, jak natychmiast ochrzciła ją w myślach, była zdecydowanie nie w typie Pafcia. Taka kobieta po prostu nie mogła mu się podobać! To było sprzeczne z porządkiem jego świata! Pafcio zwykł mawiać, że nie kręca go chude laski, bo kobieta musi się czymś różnić od mężczyzny. Powtarzał to zdanie konsekwentnie przez tak wiele lat, niestrudzenie wyśmiewając kolejne diety swojej żony i jej przyjaciółki.

– Jedyną rozsądną dietą, którą mógłbym wam zaaplikować... – tłumaczył, śmiejąc się z ich sałatek, mieszanek białkowych czy odchudzających cud-zupek w proszku. – Jest dieta pączkowa. I na tę, słowo daję, chętnie przeszedłbym z wami.

Czy to możliwe, żeby pod wpływem Wstrętnej Kokiety tak diametralnie zmienił swoje upodobania estetyczne? Może omamiła go środkami farmakologicznymi, zahipnotyzowała albo wprowadziła do jakiejś tajemniczej sekty, która robiła swoim wyznawcom pranie mózgu z wirowaniem?

Zoey, wyginając się niczym radziecka gimnastyczka, patrzyła, jak diabelska para znika w drzwiach hotelu. Przybita opadła na pachnący tytoniem fotel. Jedno było pewne: w ten z pozoru zwyczajny dzień świat

stanął na głowie. Taksówkarz z wielką determinacją i efekciarskim piskiem opon zajechał nieprzepisowo pod samą bramę szkoły, za co został nagrodzony oklaskami przez chłopców grających w piłkę na szkolnym boisku, tuż koło wejścia. Eufrozyna, ściskając mocno torbę, wbiegła do szkoły. Spojrzała na wiszący w holu wielki zegar ścienny. Była za siedem dziesiąta – zdążyła.

– Jestem, już jestem! – krzyknęła rozdzierająco, wbiegając do pokoju nauczycielskiego. – Mam wszystko! Zaraz możemy zaczynać!

Pani Marzena spojrzała na nią ze zdziwieniem i, tknięta niejasnym przecuciem, ruszyła w stronę czajnika. Kilku pozostałych nauczycieli wymieniło znaczące spojrzenia i tajemnicze uśmieszki.

– Co, znów naoglądałaś się na noc *Ostrego dyżuru*? – zapytała flegmatycznie Alicja, nawet nie podnosząc wzroku znad czytanej gazety. Zoey puściła uwagę przyjaciółki mimo uszu, w pośpiechu wypakowując na stół skopiowane arkusze dla szóstoklasistów. Alicja, zaintrygowana jej milczeniem, porzuciła gazetę. – A to co? – zagadnęła.

– Egzaminy!

– Jakie?

Zoey skończyła przeliczanie egzemplarzy.

– Dobra, zgadza się – oznajmiła. – Dziesiąta. Idziemy.

– Ale dokąd?

– Na aulę. Pośpiesz się!

Alicja podeszła do niej i położyła obie ręce na ramionach przyjaciółki.

– Eufrozyno Maliniak, czy ty się dobrze czujesz? – zapytała powoli, patrząc Zoey prosto w oczy.

– Doskonale! – Adrenalina uniemożliwiła jej trzeźwą ocenę sytuacji i dostrzeżenie, że coś było nie tak, jak powinno.

– To na jaki egzamin tak się spieszysz? – zapytała łagodnie Alicja.

Zoey rzuciła przyjaciółce zszokowane spojrzenie. – Nie mów, że zapomniałaś o egzaminie szóstoklasisty twojej pierwszej wychowawczej klasy?!

Alicja nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Za to ty, jak widzę, pamiętałaś o nim aż za dobrze!

– Jak to?

– A który dzisiaj jest, twoim zdaniem?

– Piąty kwietnia, do cholery! – prychnęła wściekle Zoey, wciąż nie rozumiejąc, o co chodzi Alicji.

– Jesteś tego pewna?

Kpiący ton, jakim przyjaciółka zadała ostatnie pytanie, kazał Zoey spojrzeć na stojący na stole kalendarz. Czerwona obwoluta, skrupulatnie przesuwana co rano przez panią sprzątaczkę, obramowywała wtorek czwartego kwietnia. Sekundę później Zoey usiadła na krześle.

Adrenalina opadła, a wraz z nią spadły i klapki z oczu.

– To wszystko przez dyrektorkę... – zaczęła łzawo, rozmyślając o biednym taksówkarzu, który z powodu jej pomyłki dostał punkty karne, i o pieniądzech straconych na pokrycie kosztów mandatu. – To wszystko przez nią. Kazała mi wczoraj wykonać kopie arkuszy na dziś. Na pewno na dziś.

– No tak, bo trzeba je jeszcze ostemplować szkolną pieczętą – wyjaśniła tonem mędrca Alicja. – Na to też potrzeba czasu.

– Masz, kochana, przyda ci się – powiedziała pani Marzena i postawiła przed Zoey kubek z melisą. – Pij, no już, pij.

Rex, Damazy, Pafcio z Wstrętną Kokietą, taksówkarz, policjanci, dziewczyna w wiosennych tenisówkach, kelnerka, wredny kierowca autobusu, dyrektorka, wszyscy zawিrowali nagle przed oczami Eufrozyny w otoczeniu niezliczonych kart egzaminacyjnych i z nadmiaru wrażeń tego poranka najzwyczajniej w świecie zemdlą.



– Zoey... Zoey – usłyszała nad sobą zatroskany głos Alicji, która

jednocześnie z równie wielkim przejęciem waliła ją wierzchem dłoni po twarzy. Ocknęła się momentalnie.

– Boli! – syknęła.

– Ale podziałało – odgryzła się Alicja, mimo wszystko dość łagodnie. – Dobrze, że żyjesz.

– Dzięki.

Eufrozyna otworzyła oczy, po czym natychmiast je zamknęła, oślepią jaskrawym światłem wiszącej nad nią jarzeniówki. Po chwili znów próbowała spojrzeć, tym razem ostrożniej, mrużąc oczy.

Dostrzegła zgromadzony wokół niej tłumek nauczycieli. Usiłowała zrozumieć, co się wydarzyło i gdzie się właściwie znajduje. Leżała z lekko uniesioną głową, która spoczywała na czymś twardym, ale ciepłym, na czyichś kolanach. Podniosła wzrok i ujrzała nad sobą twarz Szymona. Uśmiechał się do niej, ale był bardzo blady i przejęty. Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– Zemdląłeś – poinformowała ją rzeczowo Alicja, przerywając im ten moment niezrozumiałej, zakazanej bliskości.

Zoey próbowała wstać.

– Powoli... – szepnął Szymon i chciał chwycić ją za ramię, ale wiedzona instynktem samozachowawczym Eufrozyna zdołała go uprzędzić i zarzucić ręce na ramiona przyjaciółki.

– Dziękuję, poradzę sobie – rzuciła do Szymona, nie obdarzając go ani jednym spojrzeniem.

Z pomocą Alicji ostrożnie wstała i usiadła na krześle. Wkrótce wszyscy wrócili do swoich zajęć, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Tylko Zoey, pochylona nad dziennikiem, poprzysięgła sobie wreszcie wziąć się w garść, skoro już nawet jej ciało wysyła znaki ostrzegawcze, że ma dość.

V

– Jak się czujesz? – zapytał Szymon, gdy tego popołudnia zastał ją samą w pokoju nauczycielskim.

– W porządku, dziękuję – odparła grzecznie, siląc się na obojętność. – Za dużo wrażeń, przemęczenie i brak śniadania. Nie ma o czym mówić.

Zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę wyjścia. Gdy była już na korytarzu, przy schodach, Szymon dogonił ją i złapał za ramię.

– Zoey, zaczekaj... – zaczął niepewnie rozglądając się na boki, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie widzi i nie słyszy.

Eufrozyna poczuła, jak w jej wnętrzu zbiera się burza, co tam burza, straszliwa nawałnica, tsunami! Przed oczami stanął jej obraz Wstrętnej Kokiety w objęciach Pafcia, zmierzających do hotelu. Gdyby nie zobaczyła tej sceny na własne oczy nigdy, przenigdy nie uwierzyłaby w niewierność Pafcia, a jednak! Co za ohydny świat, a jaki płodny w zdrowe okazy męskiej niewierności! Oto ma przed sobą kolejnego oszusta, padalca i lawiranta ukrytego pod przyjemną, nawet bardzo przyjemną, powłoką maskującą.

– Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy razem... – Znów się rozejrzał i mimowolnie pokręcił obrączką na palcu.

Tego było dla niej za wiele. Zbyt dużo się wydarzyło tego dnia, by cokolwiek było w stanie powstrzymać wybuch wściekłości.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz, co? – zapytała wrogo.

Cała jej złość, rozczarowanie światem i ludźmi znalazło ujście w tym jednym pytaniu. Szymon aż cofnął się pod wpływem jej wzroku Meduzy. Na jego twarzy odmalowało się na raz tak wiele emocji, że Zoey, nie mogąc ich poprawnie odczytać, wydawało się, że mężczyzna z niej kpi.

– Daj mi wreszcie spokój, dobrze? – wykrzyknęła wojowniczo. – Dajcie mi wszyscy święty spokój!

– Jacy wszyscy? – mimo emocji zainteresował się Szymon, który za wszelką cenę starał się zrozumieć cokolwiek.

– Wy wszyscy! Wy, wy zdradzieccy, zakłamani mężczyźni! – krzyknęła Eufrozyna i chcąc ukryć łzy, które, nie pytając o zgodę, zaczęły spływać jej po policzku, odeszła szybko i schowała się w toalecie, zostawiając osłupiałego Szymona samego.

„Od piętnastu lat bez zmian!”, pomyślała z goryczą, gdy wypłakała już emocje i postanowiła opłukać twarz przed dzwonkiem na przerwę.

„Nadal przez facetów płaczę w kiblu. Żadnego postępu. Dziadek ma rację, pora na porządki”.

Jej dalsze rozważania przerwał dzwonek i dwie uczennice, które zmaterializowały się w łazience niemal natychmiast po nim. Spojrzały na nią z zaciekawione i skłoniły się na przywitanie. Eufrozyna wyprostowała się i wyszła z łazienki. Na korytarzu panował nieopisany rejwach. Mimo woli rozejrzała się w poszukiwaniu Szymona, choć przekonywała samą siebie, że za nic na świecie nie chciałaby go teraz spotkać. Teraz, ani najlepiej nigdy więcej, choć to akurat było zupełnie nierealne. Korytarz wypełniały zbite w stadka dzieci, ale wicedyrektora nigdzie nie było widać.

VI

Po powrocie do domu zastała Damazego siedzącego przy stole w towarzystwie roztrzęsionego Pafcia. Dłuższy czas przyglądała się osobliwej scenie rozgrywającej się w kuchni. Dziadek, wierny swojej złotej zasadzie, że jedzenie poprawia humor każdemu i w każdych okolicznościach, raz po raz wyjmował coś to z lodówki, to z którejś szafki i stawiał przed Pafciem nowe przysmaki, których gość nawet nie próbował. Stół zapełniał się coraz bardziej apetycznymi wiktuałami, ale młody mężczyzna, ku zdziwieniu starszego, pozostawał kompletnie nieczuły na nęcące aromaty. Siedział ze zwieszoną na piersi głową i oddychał ciężko.

– Kaśka wyrzuciła go z domu. Korespondencyjnie – wyjaśnił Damazy, widząc, że pojawienie się Zoey nie zrobiło na Pafciu najmniejszego wrażenia.

– I dobrze zrobiła – wrogo warknęła Eufrozyna. – Jak się jest łajdakiem, to nie zasługuje się na dom.

– Daj mu wytłumaczyć... – pojednawczo wtrącił Damazy.

– A od kiedy zrobiłeś się, dziadku, taki tolerancyjny dla kłamliwych fircyków?

Pafcio odrzucił głowę, jakby ktoś go spoliczkował, ale nic nie

powiedział.

– Od kiedy potrafię odróżnić ich od porządnych mężczyzn – odciął się Damazy, w lot chwytając aluzję do jego porannych obiekcji względem Reksa.

– W takim razie wydaje mi się, że twoje umiejętności są już przeterminowane – syknęła Eufrozyna. – Na własne oczy widziałam tego szmacciarza z tą... Z tą...

Damazy rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Dość. – W wyćwiczonym przez lata odruchu posłuszeństwa umilkła. – A mnie się wydawało... – powiedział z naciskiem. – Że nauczyłem cię, iż rzeczywistość nie zawsze jest taka, na jaką wygląda!

Zoey prychnęła pogardliwie.

– No tak, oczywiście! Przecież wytapetowana panienska wtulona w bok mężczyzny, który prowadzi ją do drogiego hotelu może być na przykład ciężko ranną na polu bitwy pracownicą Czerwonego Krzyża – zakpiła.

– Albo członkiem korpusu dyplomatycznego obcego kraju, który zwichnął kostkę na schodach w jego kancelarii – odparł dziadek.

Wnuczka roześmiała się niegrzecznie, ale już w następnej chwili rozbawienie zniknęło. Z miny Damazego wyczytała, że przedstawiona przez niego wersja wydarzeń to nie żart, a to, co usłyszał od Pafcia, jest, według wszelkiego prawdopodobieństwa, prawdą.

– Ja... jak to? – wydusiła przejęta.

– Irina Szewarowna, wicekonsul rosyjskiej izby handlowej – szepnął Pafcio, odzywając się po raz pierwszy.

Dziewczyna umilkła, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

– To chyba powinieneś ją zawieźć do szpitala, a nie do hotelu? – spytała, wciąż nie dowierzając.

– Chciałem, ale oni mają jakieś swoje wewnętrzne procedury. Poprosiła, żebym zawiózł ją do lekarza w ambasadzie, to zawiózłem. Zbadał ją, opatrzył, a ja czekałem, bo trochę niezręcznie było mi tak odjechać bez pożegnania, zwłaszcza że, jakby na to nie patrzeć, odniosła obrażenia w naszej kancelarii. Jak już było po wszystkim, zaproponowałem, że zawiozę ją do hotelu – wyjaśniał Pafcio, coraz

bardziej nerwowo. – A ona na to, że nie trzeba, że wezwie swojego kierowcę, ale potem przypomniała sobie, że dała mu wolne przedpołudnie, bo mieliśmy przygotować się do renegotjacji umowy z firmą energetyczną na dostawy gazu... Zresztą, nieważne. Uznałem, że szybciej będzie, jeśli ja ją tam zawiozę, no i zawiozłem. Gdybym wiedział...

Pafcio potarł ręką czoło. Eufrozyna była pewna, że nie kłamie.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że to pomyłka! – wykrzyknęła uradowana. Zignorowała kpiące spojrzenie dziadka i poklepała Pafcia po plecach. – To świetnie! Och, jak to dobrze, że nie jesteś członkiem żadnej sekty! – zawołała z emocji, nie do końca panując nad tym, co mówi.

– Słucham? – spytał Pafcio. – Jakiej znowu sekty?

Eufrozyna pokręciła głową.

– Już nieważne, nieważne – odparła wymijająco. – Teraz pójdziesz, wyjaśnisz wszystko Kaśce i będziecie dalej żyli długo i szczęśliwie.

– Gdyby to było takie proste, nie byłoby mnie tu – westchnął.

– Jak to? – Zoey ponownie się zaniepokoiła.

– Kaśki nie było w domu, jak przyszedłem. Zostawiła mi na stole w salonie liścik, że wie o wszystkim, że z nami koniec... – Głos mu się załamał. – Sama zobacz... – Podał jej zmiętą kartkę papieru. Zoey szybko przeczytała treść listu. Kaśka, nie przebierając w słowach, oświadczyła, że nie zmarnuje dla niego ani jednej chwili więcej, że nie chce go nigdy więcej widzieć, że odtąd będą się kontaktowali wyłącznie przez adwokata... – Nie ma jej rzeczy, a w pracy sekretarka powiedziała, że wzięła urlop na żądanie.

Zoey zamarła, gdy dotarło do niej prawdziwe znaczenie słów Pafcia. Kaśka zniknęła.

VII

Kilka następnych godzin Eufrozyna spędziła na poszukiwaniach przyjaciółki. Pafcio obdzwaniał znajomych i hotele, a ona z Alicją –

która wobec powagi sytuacji zgodziła się wprawdzie poszukać Kaśki, ale nie omieszkała przy tej okazji, usprawiedliwiona okolicznościami, zwyzywać jej za wszystkie czasy – przebiegły wszystkie ulubione kluby nocne nieszczęsnej małżonki. Kaśki nigdzie nie było.

Gdy ponownie zgromadzili się w kuchni Damazego, było już grubo po północy. Po krótkiej naradzie przy mocnej herbacie i kanapkach, których nikt nie tknął, zgodnie stwierdzili, pocieszając się nawzajem, że Kaśka ma zbyt wiele samouwielbienia i zdrowego rozsądku, żeby zrobić sobie poważniejszą krzywdę. Lecz ten wniosek jakoś nikogo nie uspokoił. Wiedzieli bowiem, że Kaśka pogrążona w rozpacz może zrobić coś absolutnie głupiego, choć teoretycznie niezagrażającego życiu. Mimo to Pafcio, w przypiływie narastającej paniki, obdzwonił wszystkie szpitale, ale tam również jej nie było. W końcu postanowił zgłosić zaginięcie Kaśki. Jednak gdy zadzwonił na komisariat, dyżurny policjant, wypytawszy o okoliczności zniknięcia żony, znużonym głosem poinformował go, że policja nie zajmuje się podobnymi bzdurami. Następnie pouczył go, że nie wolno blokować policyjnej linii z powodu jakichś absurdalnych nieporozumień małżeńskich, po czym, nie tracąc czasu na pożegnanie, odłożył słuchawkę.

– Może pojechała do domu rodzinnego? – podsunął Damazy.

Eufrozyna i Pafcio spojrzeli na siebie z powątpiewaniem. Kaśka od lat była pokłócona z ojcem, a od kiedy dwa miesiące po śmierci matki ożenił się ponownie, nie rozmawiała z nim wcale. Mimo to zdesperowany Pafcio uznał najwyraźniej, że nie ma nic do stracenia i z nową, choć niewielką nadzieją, chwycił za słuchawkę i zadzwonił do teścia. Już po pierwszej wymianie zdań wiadomo było, że i ten trop zawiódł. Teść nie przejął się zniknięciem córki bardziej niż tym, że zięć budzi go w środku nocy, a on musi następnego dnia wstać o piątej na pociąg.

– Już ona potrafi o siebie zadbać – podsumował niewzruszony rodzic. – Pewnie znowu się wygłupia.

Zirytowany Pafcio pożegnał się pospiesznie. Wszystkim wyczerpały się pomysły. Damazy zaproponował, by wrócili do domów, położyli się spać i wznowili poszukiwania skoro świt. Wobec braku alternatywy przystali na to rozwiązanie.

Pafcio pożegnał się i ruszył do wyjścia. Otworzył drzwi i krzyknął przerażony. Na progu stała kobieta, kompletnie pijana, ubrana w czarny lateksowy kostium, który nieziemsko opinał jej wdzięczne krągłości, pofarbowana na tleniony blond u nie najlepszego fryzjera, z ustami pomalowanymi krzywo jaskrawoczerwoną szminką. Mimo groteskowego kamuflażu natychmiast rozpoznał w niej własną, zaginioną żonę.

– Pafciuuu – zawyła Kaśka w pijackim widzie, wymachując rękami przed mężowskim nosem, jakby chciała go spoliczkować, ale nie mogła trafić. – Ty zdrajco, ty! Padalcu jeden! Szaleństwa się zachciało, co? No to może zaszalejemy! – Po czym przestała wymachiwać, spojrzała na numer na drzwiach, na męża i znów na numer. – A właściwie, co ty tutaj robisz? – wybełkotała w przebłysku świadomości i znów zaczęła machać rękami. – To dom Zoey! Noc jest, wywłoko męska, a noce spędza się w domu! W swoim domu! A ty co? Blondynka się znudziła i przyszła pora na rudą?

Mężczyzna najwyraźniej przeżywał szok. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, podobnie jak wszyscy pozostali, którzy w międzyczasie wybiegli do przedpokoju i teraz z zapartym tchem obserwowali rozgrywającą się tam scenę.

– Zoey, Zoey! – zapiszczała tymczasem Kaśka, dostrzegając stojącą z boku przyjaciółkę. – I ty, Brutusie! Z braku własnego zachciało się cudzego męża?

Eufrozyna stała, przyglądając się całej scenie, i nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jej serdeczna przyjaciółka, Katarzyna Szczygło, rasowa, opanowana, racjonalna do bólu kobieta z klasą, w obliczu hipotetycznej zdrady męża straciła zimną krew i postanowiła najwyraźniej upodobnić się do domniemanego przedmiotu mężowskiego pożądania. I oto stoi w środku nocy w przedpokoju jej domu, wyglądając jak tania prostytutka z nocnego klubu spod Zabrze, pijana jak marynarz okrętowy pierwszego wieczoru po zejściu na ląd, klnie i pokrzykuje jak tenże, a na dodatek zarzuca jej, Eufrozynie, uwodzenie Pafcia. Świat się kończył.

– Co ta miłość robi z ludźmi? – pomyślała Zoey na poły z oburzeniem, na poły z zazdrością, że Kaśka w swej miłości do męża

gotowa jest na największe błazeństwo i kompromitację, byle tylko go nie stracić.

Myśli Pafcia najwyraźniej podążyły mniej więcej tym samym torem, bo, z nietypową dla tego flegmatycznego mężczyzny werwą, mocno chwycił wyrywającą się Kaškę w pasie i, nie pytając o zgodę, pocałował w ziejące alkoholem, koszmarnie pomalowane usta.

VIII

Po dramatycznej, zakończonej przynajmniej pozornym *happy endem*, historii państwa Szczyglów, Zoey postanowiła jednak wziąć sobie do serca uwagi dziadka. Damazy miał rację, przyszła pora na porządki. Należało przemyśleć pewne sprawy, nadać im właściwy priorytet i podjąć decyzje wiążące nie tyle otoczenie, co ją samą. Eufrozyna zdecydowała się ostatecznie zamknąć rozdział zatytułowany „Rex”, wyrwać kartki zapisane zakazanymi fantazjami o żonatym wicedyrektorze, postawić kropkę pod rozdziałem „Jacek – kolega z podtekstami” i otworzyć odważnie nowy, zatytułowany „Jacek – mój facet”. Dość gierki i podchodów. Dość lęku i zastanawiania się „a co będzie, jeśli...”. Pora wziąć życie w swoje ręce i ukształtować je po swojemu, w myśl zasady „ład i opanowanie”. Odtąd będzie uosobieniem powyższej dewizy!

Zadzwońiła do Jacka i umówiła się z nim na kolację, podczas której postanowiła wyznać mu, co naprawdę do niego czuje.

„W końcu żyjemy w XXI wieku i kobieta może zrobić pierwszy krok, by przenieść związek na kolejny etap”, powtarzała sobie, gdy ogarniały ją wątpliwości będące pokłosiem wychowania przez staroświeckiego Damazego i namiętnego rozczytywania się w dziewiętnastowiecznych romansach brytyjskich.

Wprawdzie to, co czuła do Jacka, dalekie było od motyli w brzuchu i unoszenia się pięć metrów nad ziemią, które to objawy pamiętała jeszcze doskonale z prehistorycznych początków relacji z Reksem, ale wyjaśniła to sobie racjonalnie tym, że czas mija, ludzie się zmieniają,

a związki są różne. W miłości najważniejsza jest decyzja, a nie ogłupiające hormony. A ona decyzję podjęła. Chce być z Jackiem i już.

Gdy zaś następnego dnia siedzieli tradycyjnie już w sali dla VIP-ów kolejnej szalenie drogiej restauracji i jedli wyśmienitą kolację przy świecach, popijając doskonałym czerwonym winem, Eufrozyna gotowa była przysiąc, że czuje w brzuchu nie kilka motyli, a całe ich stado. Zamówili deser. W przeblysku brawury, którego tym razem postanowiła nie hamować obawami i rozmyślaniami o tym co wypada, a co nie, Eufrozyna, korzystając z intymności, jaką gwarantowało pomieszczenie oddzielone od głównej sali restauracyjnej, powoli podeszła do Jacka. Wciąż patrząc mu głęboko w oczy, ku jego bezbrzeżnemu zdziwieniu usiadła mu na kolanach, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Początkowo spięty mężczyzna wkrótce przyłączył się do czulej gry. Nie potrzebowali słów. Oboje wiedzieli, że od tej pory wszystko się między nimi zmieni, na lepsze, prowadząc ku pięknej, usłanej różami akito przyszłości – przynajmniej takie było wyobrażenie Zoey na ten temat.

Tonąc w pocałunkach, nie zauważyli kelnera, który wsunął się do sali, niosąc na tacy pucharki lodów bazyliowych z truskawkami i szampana. Jacek pierwszy dostrzegł obsługującego i zamarł. Delikatnie odchrząknął i wyprostował się znacząco. Eufrozyna, niewiele rozumiejąc, zeszła mu z kolan i, prawdę mówiąc, miała ochotę się rozplakać. Skarciła się jednak natychmiast za te myśli i, wytłumaczywszy sobie, iż Jacek najwyraźniej nie przepada za publicznymi czułością, usiadła na swoim miejscu. Przepyszny szampan wkrótce znów przywrócił jej humor, tak, że gdy wychodzili z restauracji, zdobyła się na odwagę i wymruczała Jackowi do ucha, by tej nocy nie wracali do domów. Mężczyzna rzucił jej przeciągłe spojrzenie, z którego niewiele mogła wyczytać, jednak nim zdążył cokolwiek wyjaśnić, ktoś dotknął jej ramienia.

– Cześć! – usłyszała Zoey, czując, jak w tej samej chwili Jacek wypuścił z ręki jej dłoń i odsunął się na krok.

Przed nią stała Natalia Paskiewicz, tak samo piękna i elegancka, jak podczas ich pierwszego spotkania w filharmonii.

– O, cześć! – odpowiedziała roztargniona, zastanawiając się, co też

tak nagle zainteresowało Jacka, że odszedł parę kroków w stronę stojaka z gazetami ulokowanego przy wejściu.

– Miło cię znowu widzieć – powiedziała Natalia, uśmiechając się życzliwie do Zoey. – Dopiero przyszedłeś czy wychodzisz?

– Wychodzimy – odparła Eufrozyna, kładąc nacisk na końcówkę wyrażającą liczbę mnogą.

Odwróciła się, by przedstawić Natalii Jacka, ale mężczyzna gdzieś zniknął.

– Szkoda – westchnęła kobieta, udając, że nie dostrzega jej konsternacji. – Moglibyście się do nas przyłączyć.

To mówiąc, skinęła głową w stronę stolika na antresoli, przy którym siedział Szymon i wpatrywał się w nie nieodgadzionym spojrzeniem. Zoey, która odruchowo zerknęła we wskazanym kierunku, natychmiast spuściła wzrok.

„Co on sobie myśli, że tak na mnie patrzy?”, przemknęło jej przez głowę. „Może tak zareagował na widok Jacka? Czyżby był zazdrosny? I dobrze! Niech wie, że mam faceta, może teraz wreszcie da mi spokój i zajmie się własną niebiańską żoną”, rozmyślała ze złością, choć dziwne spojrzenie wicedyrektora sprawiło jej niewytłumaczalną przykrość.

– Może innym razem się uda – odpowiedziała Natalii, po czym przeprosiła, pożegnała się i ruszyła w stronę szatni.

Jacek stał oparty o kontuar i przeglądał gazetę.

– Miałem telefon – rzucił w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie.
– Lenka ma gorączkę. Muszę wracać do domu.

IX

Mimo wysiłków, od kilku dni Eufrozinę męczyły trudne do uzasadnienia wątpliwości względem Jacka. Odzyskany chwilowo spokój i zaprowadzony porządek znów zaczynały chwiać się w osadach. Wprawdzie podjęła decyzję, że skupi się wyłącznie na Jacku i zainwestuje wszystkie siły w budowanie przyszłości właśnie z nim, ale cały plan miał jeden słaby punkt – nie zależał w całości od niej,

a zachowanie mężczyzny w ciągu ostatnich kilku dni sprawiało, że zaczynały ją nachodzić złe przeczucia. Miała wrażenie, że jej unika. Ponieważ jednak poprzysięgła sobie nie dawać się ponieść emocjom, a zamiast tego rozważać wszystkie możliwe scenariusze w sposób racjonalny i uporządkowany, trzymając wodze fantazji mocno ściągnięte, postanowiła tym razem zasięgnąć rady przyjaciółki i metodą Kaśki dokonać prawidłowej oceny sytuacji podczas rozmowy z kimś życzliwym. „Świadomość celu, opanowanie i porządek” – oto jej życiowa dewiza. A rozmowa z Alicją miała być kolejnym krokiem do nowego, lepszego, dojrzałego „ja” Eufrozyny Maliniak.

– Coś jest nie tak... – powiedziała, wpatrując się w sufit. – Im bardziej ja się angażuję, tym bardziej on się wycofuje.

Alicja przyglądała się jej, jakby chciała powiedzieć coś, czego mówić nie powinna.

– Przedwczoraj mieliśmy się spotkać, ale jak wychodziłam ze szkoły, zadzwonił, że jest zapracowany, i że nie da rady się wyrwać. Umówiliśmy się na dzisiaj, ale przed chwilą przysłał mi SMS-a, że kompletnie nie ma czasu, bo prezes wysyła go od jutra w niespodziewaną, miesięczną podróż służbową. Musi nadzorować jakiś audyt w Kazachstanie. Zapytałam, czy mogę go chociaż odprowadzić na lotnisko, ale nie odpisał. Ech... Może znów szukam dziury w całym, zamiast się cieszyć, że mam idealnego faceta. Tak, to na pewno to. Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, jak mawia dziadek, i ta moja druga natura najwyraźniej nie może znieść ładu, jaki panuje obecnie w moim świecie i z nudów wyszukuje problemów tam, gdzie ich nie ma. – Eufrozyna dokonała autodiagnozy i poczuła, że już jej lepiej. Jej nowy sposób myślenia przynosił zachwycające efekty.

– Zoey, muszę ci o czymś powiedzieć... – zaczęła nagle Alicja. Eufrozyna rzuciła przyjaciółce pytające spojrzenie.

– Coś się stało?

– Wczoraj wicedyrektor poprosił, żebym wzięła popołudniowy dyżur w świetlicy...

– W świetlicy?! – zdziwiła się Eufrozyna. – Przecież ty nigdy nie zastępujesz wychowawczyń świetlicowych! Co on sobie myśli, dodając ci bez uprzedzenia nadgodziny?!

– Nie wiem, skąd mu przyszedł do głowy taki pomysł. Zresztą, nieważne. Zgodziłam się i... i... – Alicja zawahała się. – Zoey... po Lenkę przyszła jakaś bardzo elegancka młoda kobieta i Lenka powitała ją okrzykiem: „Mamo!”.

Dreszcz przeszedł Eufrozynie po plecach, ale starała się nadal zachować zimną krew.

– I ta kobieta miała obrączkę! – Alicja wyrzuciła z siebie straszliwy sekret.

Opanowanie i porządek, opanowanie i porządek... Eufrozyne olśniło!

– Spokojnie, wszystko się zgadza – powiedziała z ulgą, nagle o czymś sobie przypominając.

Alicja spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Tak?

– Tak, tak, Jacek o wszystkim mi opowiedział. – Zoey pośpieszyła z wyjaśnieniami. – Oni się rozwiedli. Więc, chociaż tego mi już nie mówił, bo i po co, przecież ona mogła znów wyjść za męża. A i nie ma nic dziwnego w tym, że nadal chce widywać córkę. W końcu Lenka to też jej dziecko.

Alicja zaczęła przyglądać się swoim paznokciom.

– Zoey, ale ta kobieta podeszła do mnie, żeby zgłosić, że odbiera Lenę i pokazała dowód i miała na nazwisko Kaliska...

– Może nie zmieniła... – wtrąciła Zoey, czując, że z coraz większym trudem panuje nad emocjami. Jej nową dewizę życiową powoli zagłuszał niepokój.

– I pogłaskała Lenkę po głowie, i powiedziała, że od dziś będzie ją codziennie odbierała, bo przez najbliższy miesiąc nie musi wyjeżdżać – ciągnęła swoją opowieść Alicja. – A potem opowiedziała mi o badaniach naukowych, które prowadzi w Australii i o tym, jak trudno jest jej wyjeżdżać tak często i zostawiać Lenkę z mężem samych...

Eufrozyna poczuła się, jakby ktoś dał jej w twarz. Usiłowała zebrać myśli, wciąż nie dopuszczając do świadomości prawdziwego znaczenia słów przyjaciółki. Niepokój narastał, a głos odmawiał jej posłuszeństwa. Pomyślała mimo woli, że mnisi buddyjscy mogą być tacy spokojni, opanowani i pełni harmonii, bo nikt im, do cholery, nie wykręca takich

numerów!

– Pewnie chodzi o tego nowego męża... – zaczęła słabo, choć sama już nie dowierzała w to, co mówi.

Alicja pokręciła głową.

– Upewniłam się. Powiedziałam, że z moich obserwacji wynika, że nie ma się czym martwić, bo Lenka ma świetny kontakt z tatą, i tak dalej. A ona na to roześmiała się i przyznała, że Jacek faktycznie jest fantastycznym ojcem... Och, Zoey, tak mi przykro...

Maj

I

Zoey spędziła majówkę sama w domu, pogrążając się w otchłaniach najczarniejszej rozpacz. Alicja miała na te parę dni wolnego jakieś wcześniejsze plany, o których sama nie mówiła, a które w obecnym stanie ducha kompletnie nie obchodziły Zoey. Gdy więc pierwsza faza szoku po poznaniu prawdy o Jacku minęła, Alicja wyjechała, zaopatrzywszy uprzednio przyjaciółkę w sześć butelek wina, zapas czekolady z orzechami, dwadzieścia filmów z Eastwoodem i kilkanaście pudełek chusteczek higienicznych. Damazy, który miał śpiewać koncert dla kuracjuszy w Ciechocinku z okazji kolejnej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, chciał wprowadzić odwołać występy, ale Eufrozyna kategorycznie mu tego zabroniła. Potrzebowała samotności. Pięć dni leżała w łóżku, wstając jedynie, by skorzystać z toalety, zmienić płytę w odtwarzaczu DVD lub odebrać kolejną pizzę od dostawcy. Na szczęście pobliska pizzeria miała w swojej ofercie na wynos także lody, i to w litrowych pudełkach. Chusteczek higienicznych dzięki Alicji było w domu pod dostatkiem, a stanowiły one obecnie produkt najpierwszej

potrzeby. Zoey od rana do wieczora niemal bez przerwy oglądała filmy z Clintem Eastwoodem, i choć w treści były one raczej mało romantyczne czy wzruszające, zalewała się łzami od pierwszej do ostatniej sceny. Kolejne dni wolne spędzała sama jak palec, hodując cellulit, zapychając jelita niezdrowym jedzeniem, wykańczając wątrobę alkoholem i zmuszając kanaliki łzowe do niewolniczej pracy.

Historia jej życia zatoczyła koło. Gdy nieco ochłonęła po rozmowie z Alicją, zadzwoniła do Jacka. Przekonywała samą siebie, że ma ochotę powiedzieć mu parę słów do słuchu, nawrzucać, zwyyzywać, ale prawda była taka, że ze wszystkich sił pragnęła usłyszeć, iż całe śledztwo Alicji to jakaś niedorzeczna pomyłka, jak w przypadku Pafcia. Niestety, Jacek nie odbierał od niej telefonu. Późnym wieczorem przysłał SMS-a, że jest w Kazachstanie, okropnie zajęty i odezwie się, jak wróci. Choć Eufrozyna nakazywała sobie spokój, nie wytrzymała i napisała mu, że nie musi się fatygować, bo już wie wszystko o jego żonie, która właśnie wróciła z Australii i z którą według stanu wiedzy małżonki nie ma rozwodu. Jacek nie zaprzeczył, nie napisał, że to wszystko kłamstwo, że wszystko wyjaśni, po prostu się nie odezwał. Stało się, znów została zdradzona, choć tym razem w jeszcze bardziej perfidnych okolicznościach. I na dodatek po raz pierwszy w życiu rozstała się z facetem za pomocą SMS-a, jak gimnazjalistka. Denne dno den, najgłębsza, najżałośniejsza otchłań wszechświata, oto gdzie znajdowała się Eufrozyna Maliniak wraz ze swoją wspaniałą bransoletką z dwukolorowego złota i wszystkimi marzeniami. Nikogo nie obchodził jej los, nawet jej samej. Jedyńm, czego pragnęła, było spędzić resztę życia, jedząc wszystko, na co miała ochotę, łagodzić ból istnienia związkami etylowymi i patrzeć na mężczyznę idealnego, zerkającego na nią ze szklanego ekranu, zawsze wiernego i przewidywalnego.

Tego wieczoru jednak, bez zaproszenia czy jakiegokolwiek zapowiedzi, wpadła do niej Kaśka i energicznie zarządziła koniec żałoby po żonatym popaprańcu. Ściągnęła z Eufrozyny koc, po czym rozkazała przyjaciółce pójść pod prysznic i umyć się wreszcie, ze szczególnym uwzględnieniem włosów, ubrać się jak człowiek i pomalować, bo za pół godziny wychodzą. Ton głosu Kaśki był tak władczy i nieznoszący sprzeciwu, że Eufrozyna bała się zaprotestować. Posłusznie poszła do

łazienki. Gdy brała kąpiel, Kaśka poodślaniała i pootwierała okna, sprzątnęła bałagan, który przyjaciółka narobiła przez ostatnich parę dni, po czym dosłownie wypchnęła nieszczęśnicę z domu, wpakowała do samochodu i wywiozła na miasto, do świata, do ludzi. Poszły tradycyjnie do „Pękatej pszczołki” i zamówiły czerwone wino.

– Pierwszy raz od dawna uwierzyłam, że mogłabym się znów zakochać, tak naprawdę na zawsze i z wzajemnością – chlupała Eufrozyna.

Kaśka naląła przyjaciółce kolejny kieliszek wina, dyskretnie nakazując kelnerce, by przyniosła jeszcze jedną butelkę.

– Pij – rozkazała tymczasem.

Zoey posłusznie, bezwolnie jak ufne dziecko, wychyliła zawartość kieliszka.

– Jak on mógł... – mamrotała przez łyżę. – Przecież mnie kochał...

– A skąd wiesz? Powiedział ci to kiedyś? – Kaśka, nie zważając na okoliczności, zachowała trzeźwość umysłu i zdolność logicznego myślenia.

– Nie powiedział... – zawyła Eufrozyna. – Ale... Ale mi to okazywał. Mężczyźni tacy jak on nie potrzebują słów...

– Mogę być szczerą? – zapytała nagle Kaśka.

– A musisz? – spytała smutno Zoey, pociągając nosem.

– Sądzę, że obiektywna ocena sytuacji ci pomoże.

W tej samej chwili nadeszła kelnerka z odkorkowaną i, co najważniejsze, pełną butelką czerwonego wina. Zoey spojrzała na nią z prawdziwą wdzięcznością w załzawionych oczach. Dziewczyna uśmiechnęła się współczująco i odeszła.

– To poczekaj, napiję się jeszcze i powiedz, powiedz jak musisz – wybełkotała Eufrozyna, po czym, ignorując fakt, że znajdują się w miejscu publicznym, pociągnęła łyk wina prosto z butelki. – No już, już, słucham.

– Stan faktyczny jest następujący: ten cały Kaliski... – Na dźwięk nazwiska niedawnego ukochanego Zoey znów sięgnęła po butelkę. – Okazał się zwyczajną świnią, wprawdzie przyodzianą w ciuchy od Hugo Bossa, ale ani one, ani ich wielka metka nie zdołały ukryć jego ryjka i ogonka – ciągnęła tymczasem Kaśka, wyraźnie lubując się

w roztaczanej przez siebie wizji. – W czasie przedłużającej się nieobecności żony z nudów, frustracji czy czegoś tam, postanowił uciąć sobie romans ze śliczną...

– Nie jestem śliczna... – westchnęła żałośnie Zoey.

– Jesteś, jesteś – zbyła ją Kaśka, niezadowolona, że ktoś przerywa jej natchniony monolog. – I w tym twoja jedyna wina, ale zamknij się na chwilę i daj mi dokończyć. – Zoey zakryła usta dłonią, lecz po chwili zrobiła szparę między palcami, wetknęła w nią szyjkę butelki i pociągnęła spory łyk. Zniecierpliwiona Kaśka przewróciła oczami. – Zabierał cię do drogich knajp, podbudowując swoje ego odgrywaniem roli księcia z bajki. Bez zobowiązań, bez odpowiedzialności, bez deklaracji. Czysta zabawa. Nawet żony faktycznie nie zdradzał, w końcu nie przyjął twojego, ekhm... zaproszenia.

Eufrozyna zaczerwieniła się po czubek uszu i spuściła głowę, opierając czoło na butelce.

– Swoją drogą, nie mógł gorzej wybrać – kontynuowała Kaśka, niewiele sobie robiąc z tego, że uraziła delikatne uczucia przyjaciółki. – Oczywiście było, że jego żona prędzej czy później wróci i kiedyś pojawi się w szkole...

– Alicja mówiła, że ponoć badania miała skończyć w lipcu... – pośpieszyła z wyjaśnieniami Zoey, ciesząc się ze zmiany tematu.

– A, no to wszystko jasne! Sprytnie to sobie wykalkulował, choć nadal twierdzę, że uwodzenie nauczycielki własnego dziecka jest słabym pomysłem. W każdym razie, zobacz: ani razu nie zaprosił cię do siebie, nie poznałaś żadnych jego znajomych, nie zabierał cię do kina, teatru, nigdzie, gdzie moglibyście kogoś spotkać. Nie dało ci do myślenia to, że zawsze zaprasza cię do VIP-roomów i nigdzie się z tobą nie pokazuje? Jakby się ciebie wstydził...

– Albo jakby coś ukrywał! – Pijana Zoey doznała olśnienia.

– Dokładnie.

– Ech... Jednym słowem, niczego się nie nauczyłam od tamtej historii z Reksem. Mimo pozorów trzymania na wodzy emocji i wyobraźni, zwłaszcza wyobraźni, jestem nadal mega naiwna, tak? – upewniła się Zoey.

– To nie to... Chyba po prostu za bardzo szukasz tej swojej miłości

- powiedziała Kaśka nieco łagodniej. – Musisz trochę odpuścić.
- Ale dlaczego tylko moje życzenia sylwestrowe się nie spełniają?
- zapytała z żalem.

Kaśka jęknęła. Wyjęła z rąk przyjaciółki butelkę i nalała pełny kieliszek, tym razem sobie.

– No nie, błagam, tylko nie te bzdury... Zoey, ogarnij się i przestań histeryzować! To nic nie da! Facet okazał się świnią. Nie on pierwszy i nie ostatni. Samo życie. Otrzep się albo upij, a najlepiej najpierw jedno, potem drugie, tyle, że w odwrotnej kolejności, i idź dalej. Olej go. Nie ma co robić tragedii tam, gdzie jej nie ma – podsumowała Kaśka, znów przybierając swój surowy, menedżerski ton.

Zoey miała ochotę przypomnieć jej, jak zachowywała się, będąc, przepraszam, imaginując sobie, że jest w podobnej sytuacji, ale nie miała na to ani siły, ani ochoty. Zamiast tego napiła się znowu wina wprost z butelki.

– A teraz pozwól, że ja powiem ci coś ważnego – zaczęła Kaśka, która tradycyjnie musiała w końcu zwrócić uwagę na swoje sprawy.

– No? – zachęciła ją Zoey bez entuzjazmu.

– Wychodzę za mąż – wypaliła przyjaciółka.

Zoey, która w tej samej chwili pociągała właśnie potężny łyk z butelki, wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że napój dostał się jej do nosa wewnętrznymi kanałami przeznaczonymi przez Matkę Naturę do transportu powietrza. Kichnęła głośno i wylała na swój nowy sweterek sporą część zawartości ust. Kaśka spojrzała na przyjaciółkę z wyraźnym zniecierpliwieniem, obrzydzeniem i jakby dezaprobatą.

– Już? Mogę mówić dalej? – spytała uprzejmie, gdy Zoey zwinęła w kulkę serwetkę, którą starała się bezskutecznie ratować sweterek włożony specjalnie na tę okazję, żeby podbudować sobie samoocenę.

Eufrozyna kiwnęła głową, zbyt oszołomiona, by mówić.

– Rozumiem, że w ten ekscentryczny sposób chciałaś wyrazić swoje gratulacje, tak? – upewniła się Kaśka.

– Tak – przytaknęła w pierwszym odruchu Zoey, otumaniona emocjami i alkoholem, ale zaraz oprzytomniała i pokręciła głową. – To znaczy nie! Nie! Kaśka, przecież ty masz już męża!

– Wiem, wiem, nie musisz mi o tym przypominać. – Kaśka wydeła

swoje śliczne usteczka, pomalowane najmodniejszym w tym sezonie kolorem fuksji.

Na głowie miała turkusową chustę zawiniętą w elegancki turban, spięty na przodzie orientálną broszką. Wyglądała jak wyjęta z magazynu modowego, a nie jak ofiara rozpaczliwej wizyty u przypadkowego fryzjera. Eufrozyna mimo woli stwierdziła, że gdyby lata temu nie zaprzyjaźniła się z Kaśką, z całą pewnością nienawidziłaby jej szczerze za wdzięk i czar, jaki potrafiła roztaczać wokół siebie bez względu na okoliczności, no, może poza jednym wyjątkiem, na który wszyscy postanowili spuścić zasłonę milczenia.

– Stwierdziłam, że po tym wszystkim, co ostatnio przeszłam, muszę zacząć od nowa i najprościej będzie, jeśli wyjdę ponownie za mąż – kontynuowała. – W ten sposób cała ta niedorzeczna historia z Mariną, Tatianą czy jak jej tam było, zaowocuje pozytywnym zakończeniem, a raczej nowym początkiem.

Zoey miała wrażenie, że do jej uszu docierają wprawdzie wszystkie słowa przyjaciółki, ale za nic nie może pojąć ich znaczenia. Od alkoholu szumiało jej w głowie i lekko kręciło w żołądku. Przyglądała się przyjaciółce podejrzliwie, próbując zebrać myśli, by rozgryźć, o co może jej tym razem chodzić.

– Nie bardzo rozumiem... – przyznała wreszcie znużonym głosem.

Kaśka przyjrzała się jej uważnie.

– Zachowujesz się jak klasyczny psychofriend, wiesz?

– Psycho... co?

– Psychofriend! – powtórzyła Kaśka z naciskiem. – Szukasz zainteresowania własnymi sprawami, szukasz wsparcia, deklarujesz przyjaźń, ale problemy innych zupełnie cię nie obchodzą! Jesteś tak zajęta sobą, że nawet mój ślub...

– Jaki ślub?! – krzyknęła Zoey, zirytowana i dotknięta ostatnimi słowami przyjaciółki. – Kaśka, czy ci się to podoba czy nie, brałaś już ślub! W 2002 roku, mając lat dwadzieścia, z jakimś Pawłem Szczygłem, wówczas studentem prawa, dziś wziętym adwokatem! Mówi ci to coś?! Twój mąż, najprawdopodobniej jedyny na kuli ziemskiej żyjący okaz wiernego mężczyzny w wieku reprodukcyjnym, kocha cię jak szalony i świata poza tobą nie widzi! Ta cała historia była jedną

wielką komedią pomyłek, której w zasadzie ty powinnaś się wstydzić! O ile wiem, nie rozwiodłaś się z Pafciem, więc przestań gadać o jakimś cholernym ślubie i docień to, co masz! Bo inni być może nigdy tego nie doświadczą...

Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach rzucali w ich stronę zaciekawione spojrzenia. Bo i widok był godny uwagi. Śliczna rudowłosa kobieta o dziewczęcych rysach, zaczerwieniona silnie na twarzy, pokrzykiwała na dostojną, rubensowską piękność w finezyjnym turbanie, mierząc ją lodowatym spojrzeniem.

– Skończyłaś? – spytała Kaśka, gdy zmęczona wybuchem przyjaciółka opadła na krzesło. – Zoey kiwnęła głową. – Jak już mówiłam... – Kaśka znów przybrała swój opanowany, menedżerski ton. – Wychodzę za męża.

Zoey czuła, jak oczy zaczynają ją piec, a pod powiekami zbierają się łzy. Życie było niesprawiedliwe! Ot, choćby taka Kaśka, kilka tygodni wcześniej podejrzewała męża o romans, którego nie było, a teraz zamiast przyznać się do błędu i docenić własne szczęście, chce się z nim rozwieść za niewinność i związać z kimś innym. Groteska!

– Uznałam, że skoro nie mogę rozwieść się z Pafciem, wyjdę za niego raz jeszcze – wyjaśniła spokojnie.

Zoey szybko podniosła głowę. Chciało jej się śmiać, płakać i krzyczeć, jednocześnie odczuła wielką ulgę, rozbawienie, wściekłość i mdłości. Czerwone wino na pusty żołądek było złym pomysłem.

– Ale ty już jesteś jego żoną – wyszeptała, bo głos z trudem przeciskał się przez emocjonalną tamę.

– I co z tego? – Kaśka zdawała się nie dostrzegać problemu.

– Nie wiedziałam, że tak można...

– A ktoś zakazywał? Nikt nie powiedział, że ślub z własnym mężem można wziąć tylko raz. Poza tym tamten raz się nie liczył za całość, bo zamiast wesela mieliśmy ognisko w lesie.

Zoey mimowolnie uśmiechnęła się do wspomnień. Po ślubie Kaśka i Pafcio zaprosili wszystkich gości do podmiejskiego lasu na ognisko, zastrzegając, że każdy powinien przyjechać z własnym jadłem i napitkiem, bo ich na to nie stać. Zoey ujrzała samą siebie w zwiewnej zielonej sukience na cienkich ramiączkach, idącą asfaltową drogą

z wielką siatką pełną kielbasy brockiej w jednej ręce i pudłem z pięknym tortem, prezentem ślubnym od Damazego, w drugiej. Obok niej szedł nie mniej obładowany Rex. Nagle Marcin rzucił swoje siatki na trawę i porwał Zoey na ręce. Zakręcił nią, tortem i kielbasą parę razy wokół.

– Jesteś moja! Moja! Moja! – krzyczał radośnie.

Wirowała w jego ramionach otoczona zapachem łąki, wanilii i wędzonki. Czuła się wtedy tak lekko, młodo i beztrosko. Gdyby ktoś powiedział jej wówczas, że kilkanaście lat później będzie już starą, zgorzkniałą i beznadziejnie ociężałą na duszy i umyśle zrzędą, która nie potrafi znaleźć sobie nieżonatego faceta, że będzie w niej tak mało życia i radości – nie uwierzyłyby. Tak jak nie uwierzyłyby, że będzie aż tak samotna... Tak strasznie samotna. Zoey pociągnęła żałośnie nosem, z całego serca współczując samej sobie teraz i zazdroszcząc tamtej dziewczynie w zielonej sukience.

– Zgadzasz się? – wspomnienia przerwał głos Kaśki. Wyrwana z kwiecistych łąk przeszłości Zoey spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem. – Pytam, czy zgodzisz się zostać moją świadkową? – zapytała znów, wyraźnie wymawiając każde słowo, jakby mówiła do niezbyt rozgarniętego dziecka. – Czy po raz kolejny muszę poprosić moją upiorną kuzynkę Martynkę? Pierwszy ślub mi popsuła, pamiętasz? Mimo letniej pory, niemiłosiernego upału i bardzo odsłoniętej sukienki nie ogoliła nóg i pach na znak protestu przeciwko zabijaniu zwierząt na futra, pamiętasz? I jak później mocno pijana wpadła w histerię na widok kielbasy i wykrzykiwała, że wszyscy jesteśmy mordercami? W sumie, skoro na jednym mogła narobić obciachu, to niby dlaczego miałyby sobie nie pofolgować i na drugim, ale czemu ciebie miałyby to obchodzić...

Wzruszenie przywróciło Eufrozynie poczucie rzeczywistości. Nie zastanowiwszy się ani chwili, skinęła głową.

– Świetnie – powiedziała Kaśka, najwyraźniej nieskłonna tracić czasu na zbędne sentymenty. – A zatem porozmawiajmy o twoich obowiązkach. W pierwszej kolejności musisz mi znaleźć najlepszego fryzjera w tym mieście, żeby upodobnił mnie znów do człowieka.

To mówiąc, wyciągnęła swój gruby, granatowy notatnik i zaczęła wyliczankę przedślubnych zadań Zoey. Wyglądało na to, że

w najbliższym czasie Eufrozyna będzie zbyt zajęta, by choć przez moment zastanowić się nad własnym życiem uczuciowym.

„Może to i lepiej”, pomyślała. Postanowiła włożyć całe swoje poobijane dotkliwie serce w przygotowania do ślubu, czy może raczej re-ślubu, przyjaciółki. Znów miała cel w życiu... przynajmniej do czerwca.

II

W dniu urodzin dziadka Zoey wstała ponad godzinę wcześniej, by usmażyć jego ulubione gofry. Prawdę powiedziawszy, miał to być jej debiut w tej dziedzinie. Choć od dziecka miała dwie lewe ręce do gotowania, tym razem była głęboko przekonana, że odniesie sukces. Podobne zaklinanie rzeczywistości stało się jej nową metodą na radzenie sobie z codziennością. Wstawiała z kurami, cały dzień starała się być zajęta jak mrówka, tak, że wieczorami padała na łóżko zmęczona jak pies i zasypiała twardym, pozbawionym snów snem. Może nie był to ideał egzystencji dla młodej kobiety, ale miał ten jeden zasadniczy plus – nie pozwalał dojść do głosu chandrze. W przyływie leczniczego aktywizmu Zoey zapisała się na kurs rysunku do pobliskiego Domu Kultury, trzy razy w tygodniu miała prywatne lekcje rosyjskiego, a każdą wolną chwilę spędzała, krążąc z Kaśką po kwaciarniach, sklepach z sukniami ślubnymi, bielizną, butami czy zastawą albo wypisując w salonie Szczygłów niekończące się stopy zaproszeń na cudzy ślub, bo Kaśka i Pafcio oczywiście nie mieli na to czasu.

Dziś zaś zaplanowała, że w końcu, po raz pierwszy w życiu, to ona zrobi dziadkowi urodzinowe śniadanie do łóżka. Co z tego, że nigdy wcześniej nie smażyła gofrów. Gofry to jednak, mimo wszystko, nie operacja na otwartym sercu wykonywana jedną ręką przy świetle świecy rodem z M.A.S.H. Gofry to nic trudnego, bagatela, przynajmniej tak zawsze powtarzał dziadek. Ma przepis. A poza tym obserwowała Damazego wykonującego kolejno wszystkie czynności zmierzające do uzyskania pulchnych, lekko chrupiących placuszków w kratkę

przynajmniej z dwa tysiące razy, więc powtórzy wszystko i voilà. Pełna zapału zakradła się na palcach do kuchni i otworzyła lodówkę. Początki okazały się trudniejsze, niż przypuszczała. Nie było mleka ani jajek, które dziadek wczoraj kazał jej kupić w drodze do domu, a o których na śmierć zapomniała. Nie było też bitej śmietany, której kupić nie kazał, ale którą wybitnie lubił. O ile tę ostatnią można by od biedy zastąpić dżemem morelowym, kolejnym przysmakiem dziadka, rezydującym dumnie na drugiej półce lodówki, o tyle zabrakło jej pomysłu na zamienniki dla pozostałych składników. Zresztą nie warto było ryzykować. Lepiej trzymać się przepisu, przynajmniej podczas debiutu. Później nabierze wprawy i pójdzie z górki. Jej nowe „ja” stanie się widoczne dla świata także poprzez ujawnienie skrywanych dotąd z lenistwa (po co gotować, skoro dziadek robi to tak dobrze?) zdolności kulinarnych. Kto wie, dokąd zaprowadzą ją życiowe ścieżki. Może wystąpi w jakimś telewizyjnym show, a potem rzuci pracę w szkole i za pieniądze z wygranej otworzy własną restaurację. Czemu nie? Odtąd poświęci się własnemu rozwojowi, na obcowanie z rodem męskim przeznaczając wyłącznie tyle czasu i uwagi, ile było niezbędne w codziennej, wzajemnej koegzystencji społecznej. Koniec z mężczyznami!

Tymczasem jednak nie było rady, musiała wyjść po zakupy do całodobowego kiosku mieszczącego się na parterze ich bloku. Kiosk był reliktem epoki przed-Żabkowej i ku zdziwieniu wszystkich, z wyjątkiem mieszkańców osiedla oczywiście, którzy od zawsze wychwalali zalety tego miejsca, w dobie kapitalizmu także świetnie prosperował.

Doskonale znająca swoich klientów pani Danusia, oprócz przepisowych słodczy, biletów, gazet i papierosów sprzedawała tu także spod lady podstawowe produkty spożywcze, wiedząc, że ich dostępność o każdej porze dnia i nocy gwarantuje pomyślność jej niewielkiego biznesu.

Zoey nie zapaliła światła w przedpokoju. Po omacku wsunęła stopę w pierwsze lepsze pantofle, narzuciła płaszcz na piżamę. Czas działał na jej niekorzyść. Niezbędnym elementem niespodzianki jest zaskoczenie, a tego efektu nie uda się uzyskać, jeśli dziadek obudzi się za wcześnie. Cichutko zamknęła drzwi i zbiegła po schodach. Na półpiętrze wpadła na Roberta. Krzyknęła z przerażenia.

– Co ty tu robisz?! – zawołała zdziwiona, gdy pierwszy szok minął.
– Czekam na ciebie – odparł, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Zoey w jednej chwili zapomniała o dziadku, gofrach, urodzinach. Zamrugła.

– Ale jak to, przecież... Przecież jesteś w Indiach?
– Jak widać nie. – Zaśmiał się miło. – Wróciłem.
– O... szóstej rano? – zapytała bezmyślnie Zoey.
– Nie, wczoraj popołudniu – odparł, patrząc na nią ciepło.
– I od wczoraj tak tu siedzisz?! – Zszokowany i niedobudzony umysł Eufrozy z trudem kojarzył fakty.

Robert wybuchnął śmiechem.

– Bez obaw. Zaledwie od kwadransa – wyjaśnił, po czym dodał ciszej: – Musiałem cię zobaczyć.

– Nie łatwiej było zadzwonić?
– Nie byłem pewien, czy odbierzesz ode mnie telefon. Na wiadomości nie odpisujesz...

Zoey zaczerwieniła się.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie wiedziałam, co napisać...
– W porządku – rzekł łagodnie.
– Czyli wróciłeś... – powiedziała Zoey, zaintrygowana zachowaniem Roberta i niepewna, co powinna dalej mówić. Coś było inaczej niż zwykle. Może jednak Robert wciąż miał pretensje o to, że pozostawiła jego zaproszenie bez odpowiedzi? Tylko jeśli się gniewa, to po co czeka tu na nią od świtu? W ciemnym świetle klatki schodowej nie mogła zobaczyć dokładnie jego twarzy. Miała jednak wrażenie, że jej wyraz się zmienił, jakby Kincaid nagle posmutniał.

– Tak – powiedział.

– I zostajesz?

– To zależy... – zaczął powoli, uważnie dobierając słowa.

Eufrozyna wstrzymała oddech. Przeczucie podpowiadało jej, że ta decyzja w jakiś sposób uzależniona jest od niej. Spuściła wzrok. Robert wstał. Stał bardzo blisko dziewczyny, tak blisko, że wydawało jej się, iż słyszy bicie jego serca, a może było to jej własne serce.

– Zoey... – zawahał się Robert, po czym, najwyraźniej podjąwszy

jakaś decyzję, nachylił się ku niej i szepnął wprost do ucha: – Kocham cię.

Eufrozyna osłupiała.

„To się nie dzieje naprawdę”, pomyślała i na wszelki wypadek wbiła sobie paznokiec w nadgarstek, żeby sprawdzić, czy na pewno się obudziła. Zabolęło. A zatem naprawdę stała na środku klatki schodowej, a Robert Skalski, przystojny, tajemniczy sąsiad, z którym przez ostatnie trzy dekady rozmawiała może ze dwadzieścia razy, choć całe życie mieszkali w jednym bloku, wyznawał jej miłość. Czuła się, jakby ktoś uderzył ją ciężkim przedmiotem w tył głowy, tak, by nie skrzywdzić, a jedynie ogłuszyć ofiarę. Wyznanie Kincaida wstrząsnęło nią do głębi. Bała się poruszyć, odetchnąć. Czas zdawał się trwać w miejscu. I tylko to bijące bezwstydnie głośno serce zdradzało, że wciąż żyła.

– J... jak to możliwe? – wydusiła wreszcie. – Przecież my się prawie nie znamy! Nic o mnie nie wiesz!

– Wiem więcej, niż ci się wydaje – powiedział cicho, stłumionym z emocji głosem. – Chodź, chciałbym ci coś pokazać.

Zoey niepewnie spojrzała na swoje ubranie. Spod płaszcza wyzierały nogawki pomarańczowej piżamy z nadrukowanymi na nie szarymi myszkami. Na nogach zaś miała, o zgrozo, góralskie papucie dziadka! Nie był to bynajmniej strój odpowiedni do wysłuchiwania wyznań miłosnych. Zaczerwieniła się, speszona.

– Nie martw się, nie wyjdziemy z bloku – dodał, dostrzegając jej wahanie.

W pierwszym odruchu wykonał gest, jakby chciał chwycić ją za rękę, ale sam się powstrzymał. Przyjacielska swoboda zniknęła. Jej miejsce zajęło intymne zawstydzenie. Dwa magiczne słowa zawisły pomiędzy nimi. Chwilę później znaleźli się w korytarzu, do którego wchodziło się przez małe drzwi tuż obok wejścia do piwnic. Zoey domyśliła się, że Kincaid prowadzi ją do swojej ciemni. Nigdy wcześniej nie była w tej świątyni, o której istnieniu wiedzieli wszyscy mieszkańcy bloku, a której nikt poza dozorcą nigdy nie widział.

– Zamknij oczy – poprosił cicho.

Serce Zoey waliło jak oszalałe, częściowo ze strachu, częściowo z podekscytowania. Popatrzyła na Roberta, który uśmiechnął się

nieśmiało i błagalnie. Zamknęła oczy. Chwilę stali bez ruchu. Wreszcie Zoey usłyszała szcęknięcie otwieranej zasuw. Robert delikatnie ujął jej dłoń i wprowadził do środka.

– Już. Możesz otworzyć – szepnął, stając za jej plecami. Dokładnie naprzeciwko niej wisiała powiększona do granic możliwości, delikatnie oświetlona małą ledową lampką czarno-biała fotografia młodej kobiety. Krótkie, mocno skręcone włosy błyszczały w słońcu, okalając świetlistą łuną zamyśloną twarz obsypaną piegami. Ze zdziwieniem odkryła, że to jej własny portret.

– Co... Co to jest? – wyszeptała, odwracając się do Roberta.

– Czyste piękno – powiedział, wpatrując się w fotografię.

– Ale kiedy... – zaczęła, odwracając znów wzrok w stronę zdjęcia.

– Mam ich więcej – wyznał i zapalił górne światło.

Pomieszczenie było niewielkie, ale przytulne, wypełnione po brzegi sprzętami do wywoływania zdjęć. Na sznurkach nad wielkimi kwadratowymi miskami suszyły się świeżo wywołane fotografie z Indii. Zoey uniosła wzrok i zamarła. Na wszystkich ścianach, na różnych wysokościach wisiały starannie oprawione w ramki portrety Eufrozyny. Na oko dwudziestoletnia Zoey w krótkich spodenkach, zwisająca głową w dół na trzepaku, podziwiana przez stadko przedszkolaków. Roześmiana Zoey w szerokiej opasce w kropki wioząca Alicję na bagażniku roweru dozorca. Zoey z książką na ławeczce. Zoey rozmawiająca z sąsiadką. Dziesiątki czarno-białych zdjęć jej twarzy, rąk, postaci, uśmiechów. Eufrozyna poczuła, jak łyzy jedna po drugiej spływają jej po policzkach. Robert nie śmiał spojrzeć w jej stronę. Stali tak w ciszy, pogrążeni każde we własnych myślach.

– Musimy wracać – powiedział nagle tonem człowieka przebudzonego ze snu.

Niczego nie rozumiejąc, pozwoliła mu poprowadzić się za rękę drogą powrotną. Gdy dotarli do drzwi jej mieszkania, Robert odwrócił się i odszedł bez słowa. Eufrozyna weszła do domu jak we śnie. Dziadek, już ogolony i ubrany, wychodził właśnie z łazienki.

– O, a gdzie to się chadza o świcie w tak oryginalnym stroju? – zapytał wesoło, bacznie jej się przyglądając. – A ja właśnie zastanawiałem się, gdzie są moje kapcie.

Dziewczyna spojrzała na dziadka, jakby był przybyszem z innej planety, po chwili jednak otrząsnęła się z niemiłego wrażenia.

– Byłam na dole po mleko i jajka – odpowiedziała. Uśmiech znikł z twarzy Damazego, gdy spojrzał na jej puste ręce. Zoey zauważyła to i dodała: – Tylko zapomniałam kupić.

Przez chwilę dziadek i wnuczka patrzyli sobie w oczy, nic nie mówiąc. Eufrozyna nie wytrzymała zatroskanego spojrzenia dziadka i spuściła wzrok.

– Pójdę się położyć. Chyba za wcześnie dziś wstałam – rzuciła i poszła do swojego pokoju. Chciała być sama. Wyznanie Roberta zaskoczyło ją, a przede wszystkim zburzyło świeżo wybudowany singielski mur, na nowo rozsypując wszystkie klocki, zarzucając jej głowę pytaniami, wątpliwościami i... o zgrozo, marzeniami.

III

– Ty masz jakieś podświadome skłonności do samozagłady – zawyrokowała Kaśka, której jeszcze tego samego popołudnia Zoey opowiedziała o poranku spędzonym z Kincaidem. – Od razu widać, że to kolejny psychol.

Eufrozyna westchnęła ciężko. Prawdę powiedziawszy, wolałaby porozmawiać na ten temat z Alicją, ale przyjaciółka, nie zważając na straszny gniew dyrektorki, przedłużyła sobie majówkę, biorąc kilka dodatkowych dni wolnego i, co gorsza, nie odbierała telefonu. Zoey nie zdziwiła się tym zbyt, domyślając się, że za zniknięciem przyjaciółki najprawdopodobniej stoi jakiś kolejny zabójczo przystojny mężczyzna. Ponieważ jednak Eufrozyna czuła nieodpartą potrzebę natychmiastowego wyrzucenia z siebie opowieści o dziwacznych wypadkach poranka, z braku innej możliwości zwierzyła się Kaśce. Czego zaraz potem szczerze żałowała.

– Osobowość maniakalna. Dobrze, że cię nie zamordował w jakiś wyszukany i z pewnością estetycznie wysublimowany sposób.

Kaśka, wielbicielka krwawych skandynawskich kryminałów,

najwyraźniej popuszcziała coraz bardziej wodze fantazji.

– Mógłby na przykład zacząć cię ćwiartować i fotografować poszczególne członki osobno, a potem wyrzucić twoje szczątki do rzeki, a zdjęcie poskładać w jedną wielką podobiznę i tym sposobem zachować cię dla siebie na zawsze... – mruzczała, naśladowując groźny sposób mówienia postaci z mrocznych seriali policyjnych.

– Wystarczy! – Eufrozyna zatkała uszy rękami, jej wyobraźnia także niestety zaczęła pracować. – Błagam.

– A może to on jest spełnieniem twojego noworocznego życzenia? – zakpiła nagle Kaśka. – Zakochać się w psychopatycznym mordercy? To byłoby nawet romantyczne, w tragicznym rozumieniu tego słowa, rzecz jasna.

– Jaki morderca?! Daj spokój! – jęknęła błagalnie Zoey. – A o tym sylwestrowym wygłupie nawet mi nie przypominaj...

Po nawałnicy emocji, która przewaliła się ostatnimi czasy przez jej serce, miała serdecznie dość mężczyzn, związków, a temat miłości wzbudzał w niej drgawki. Na samo wspomnienie absurdalnego życzenia robiło jej się niedobrze.

– A widzisz, trzeba było poprosić o wakacje na Seszelach albo twarz bez zmarszczek na kolejną dekadę – zaśmiała się Kaśka. – Jakby się spełniło, miałabyś przynajmniej jakąś wymierną korzyść.

– Fakt – westchnęła Zoey. – Z tym całym zakochaniem to był najdurniejszy pomysł z możliwych, ale, jak mawia dziadek, mądry człowiek po szkodzie...

Kaśka przyjrzała się jej uważnie, po czym ryknęła dzikim śmiechem.

– Mówisz tak, jakbyś jednak wierzyła w brednie o spełnianiu się życzeń wykrzyczanych w sylwestra! – Zaśmiewała się, aż z oczu popłynęły jej łzy najszczerzego rozbawienia.

Zoey nic nie odpowiedziała. Niby nie wierzyła, ale z drugiej strony nie znajdowała żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla zjawisk zachodzących w jej życiu osobistym przez ostatnie pięć miesięcy. A teraz Kincaid wrócił i mówi, że ją kocha... Tego poranka tak wiele wydarzyło się pomiędzy słowami, gdy cisza była jedynym sposobem wyrażenia tego, co działo się w duszy. Kaśka nie byłaby w stanie tego

zrozumieć, nawet gdyby zdołała jej to wszystko jakoś opowiedzieć. Mimo silnego postanowienia życia w samotności i inwestowania w samorozwój, Zoey zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby się zakochać w tym introwertycznym podróżniku o dobrych oczach i dużych, ciepłych dłoniach.

IV

Gdy kilka dni później otworzyła oczy, w pokoju było zupełnie ciemno, oczywiście nie licząc migoczącej jaskrawym światłem komórki, przeraźliwie furczącej od wibracji, która wyrwała ją z błogiej krainy snu. Nieprzytomna chwyciła za telefon. Zegarek pokazywał czwartą trzy, a na ekraniku wyświetlała się roześmiana twarz Alicji.

– Alicja?! – wychrypiała w słuchawkę, z żołądkiem ściśniętym z niepokoju.

– Obudziłam cię? – Alicja wydawała się szczerze zdziwiona.

Nie brzmiała na pogrążoną w rozpacz ani ciężko chorą, więc Zoey odetchnęła z ulgą.

– Skąd! – parsknęła, przecierając oczy i zapalając lampkę na nocnej szafce. – Nie zwykłam sypiać o tej porze.

– To dobrze. – Alicja wydawała się zbyt roztargniona, by wyczuć kpinę w jej głosie. – Słuchaj...

– Już wróciłaś? – spytała Zoey, jakby właśnie przypomniawszy sobie o przedłużającej się nieobecności przyjaciółki. W słuchawce zaległa cisza. – Halo?

Alicja odchrząknęła i, pomijając milczeniem jej pytanie, piskliwie wykrzyknęła:

– Skup się, do cholery! Skup się i słuchaj! Stało się coś strasznego. Naprawdę strasznego.

Zoey zastygła z telefonem przy uchu, na nowo ogarnięta niepokojem. Alicja zachowywała się co najmniej podejrzanie.

– Przed chwilą robiłam pajacyki, wiesz, takie jak na wuefie, i... moje uda klaskały! – wyznała rozpaczliwie.

Eufrozyna dłuższą chwilę milczała, nie mogąc dojść do siebie. Czowała, że się trzęsie. Nie wiedziała tylko czy z zimna, czy ze złości. Naciągnęła kołdrę pod brodę i usiłowała się opanować. Podobne telefony przed końcem ciszy nocnej, a najlepiej przed śniadaniem i mocną kawą, powinny być karane grzywną lub chłostą.

– Jesteś tam? – spytała Alicja, gdy cisza się przedłużała.

– Uhm – wymamrotała Zoey.

– To straszne, nie?

– Chyba normalne... – Eufrozyna ze wszystkich sił usiłowała się opanować, a przede wszystkim skupić. – Uda zazwyczaj uderzają o siebie, gdy nogi łączą się w podskoku...

– Ale moje klaskały na odwrót! – wybuchła Alicja. – Obijały się o siebie, jak przechodziłam do rozkroku.

Zoey zaczęła się zastanawiać, czy ta rozmowa naprawdę ma miejsce, czy jest tylko idealnie realistyczną projekcją jej nadwyrężonego ostatnio układu nerwowego.

– Jestem gruba – Alicja zawyla żałośnie, tłumacząc w ten sposób swoje zachowanie, jakby utraciła wiarę w domyślność przyjaciółki.

Eufrozyna spojrzała na stojący obok lampki kalendarz. Był dwudziesty pierwszy maja. Wszystko jasne. Perfekcyjna Alicja, której proporcji ciała mogła pozazdrościć każda modelka, tradycyjnie z zegarmistrzowską dokładnością, równiuteńko na miesiąc przed początkiem astronomicznego lata, wpadła w panikę przedwakacyjną, którą wieki temu ochrzciły wspólnie mianem „horroru bikini”. Zoey odetchnęła z ulgą. Znalazła się wreszcie na znajomym gruncie, choć w duchu stwierdziła, że z roku na rok panika Alicji zaczynała przybierać coraz dziwniejsze kształty. Na przykład w zeszłym sezonie od połowy maja żywiła się wyłącznie korzonkami, uparcie twierdząc, że jedyną metodą gwarantującą perfekcyjny wygląd na plaży jest ostateczne rozprawienie się ze zgubnymi skutkami wpływu złej diety i zanieczyszczonego środowiska na ciało, czyli oczyszczenie organizmu z toksyn przez powrót do sposobu odżywiania się praojców. Za nic nie chciała zaakceptować argumentów przytaczanych przez Damazego, że w ich szerokości geograficznej dietę praojców stanowiło głównie pieczone z upolowanej w lasach zwierzyny. Alicja pozostawała głucha

na głos rozsądku i tylko fukała gniewnie, gdy dziadek Eufrozyny kusił ją przy każdej możliwej okazji świeżo upieczonymi, aromatycznymi mięsiami, podczas gdy jej obiad składał się z pachnących niezbyt zachęcająco załączków rzodkiewki i brokuł. Koniec końców lato, zamiast z wiankiem nad rzeką lub w lesie, poszukując kwiatu paproci, Alicja powitała w szpitalu, po tym, jak zemdląca z wyczerpania podczas wycieczki z okazji Dnia Dziecka. Cała historia skończyła się szczęśliwie, bo kroplówkę podłączał jej przystojny młody rezydent anestezjologii, z którym spotykała się później, jak na jej standardy bardzo długo, bo aż do końca wakacji. Nigdy dotąd jednak lęk przed sezonem plażowym nie zmusił Alicji do wcześniejszego opuszczenia ciepłego łóżka, o porannej gimnastyce nie wspominając.

– Nie jesteś gruba! – powiedziała szybko Zoey. – Wyglądasz świetnie. Niezwykle... apetycznie.

– Apetycznie?!

Złe słowo, złe słowo. Zoey ugryzła się w język i próbowała wybrnąć z sytuacji.

– Apetycznie, czyli ponętnie. Wiesz, tak do schrupania – tłumaczyła desperacko.

– Czyli otwarcie przyznajesz, że jestem gruba! Doceniam szczerść, ale naprawdę nie musiałaś. Ten jeden raz mogłaś z czystym sumieniem skłamać – powiedziała z pretensją Alicja i rzuciła słuchawką.

Zoey jeszcze pięć razy wybierała jej numer, ale bez skutku. Westchnęła ciężko. Odłożyła telefon i opadła na pościel. Czasami fochy przyjaciółki były trudne do zniesienia. Pozostawało mieć nadzieję, że za tydzień czy dwa jej przejdzie. A może w jakimś barze, na kolejnej epokowej imprezie pozna kogoś i wreszcie się uspokoi. Wreszcie? Ku własnemu zdumieniu Zoey skonstatowała, że Alicja od dłuższego czasu nie wspominała o żadnej nowej zdobyczy płci męskiej, choć kilkudniowe zniknięcie mogło sugerować, że ktoś jednak pojawił się w jej życiu. Wszystko to było tyleż zastanawiające, co niepokojące. U żadnej przygód i wrażeń Alicji normalnym zjawiskiem było rozprawianie godzinami o każdym nowo poznanym mężczyźnie, który wpadł jej w oko. Zazwyczaj też szczegółowo opowiadała o wadach i wpadkach mężczyzn, z którymi jakoś jej nie wyszło przez ostatnich

kilkanaście lat swojego dorosłego życia, konsekwentnie za rozpad nieudanych relacji obwiniając drugą stronę. Tym razem sama nie mówiła nic, a zapytana zmieniała temat. Zoey postanowiła przy najbliższej okazji przyprześć przyjaciółkę do muru i zmusić do złożenia stosownych, wyczerpujących wyjaśnień.

Spróbowała zasnąć, ale niedawna rozmowa zupełnie ją otrzeźwiła. Wpatrywała się w migoczące gwiazdki na suficie, które same z siebie zaczęły się układać w twarz Roberta.

Nie widziała go od urodzin dziadka, choć musiała się przyznać, że robiła wszystko, żeby go spotkać. Przestała używać windy, licząc, że może znów wpadnie na niego na klatce schodowej. Przesiadowała z gazetą we wspólnym holu na parterze, a nawet, ku bezbrzeżnemu zdziwieniu dziadka, zadeklarowała nieodpartą chęć zrobienia wiosennych porządków w piwnicy, do której od lat wynosili wszystkie zbędne przedmioty z mieszkania, zamiast po prostu wyrzucić je na śmietnik. Tym sposobem przez dekady piwnica Maliniaków zmieniła się w zwyczajną graciarnię, jedyne miejsce w świecie Damazego, w którym panował bałagan. Schodzili tam rzadko, najczęściej by zanieść jakiś kolejny skarb, którego żal było wyrzucać, a także obowiązkowo w okresie przed świętami Bożego Narodzenia po żeliwny, jeszcze przedwojenny stojak na choinkę. Poza nim nie przechowywali w piwnicy nic cennego, nawet słoików z przetworami i, prawdę mówiąc, Damazy nie planował posprzątać tego miejsca już nigdy.

Nie zwracając uwagi na komentarze i docinki ze strony dziadka, Eufrozyna entuzjastycznie rozpoczęła porządki w tej stajni Augiasza i po kilkanaście razy dziennie kursowała popołudniami między piwnicą a śmietnikiem, wynosząc kolejne torby drobiazgów, które już nigdy nikomu na nic się nie przydadzą. Zastanawiające było jednak to, że za każdym razem wynosiła worki w stroju zupełnie nie roboczym, a z pomalowanymi rękami i upiętymi włosami, do śmietnika zaś szła krokiem spacerowym, rozglądając się uważnie wokoło. Damazy obserwował jej poczynania z coraz większym zaniepokojeniem. Wreszcie uznał, że stan wnuczki jest pokłosiem ostatniej feralnej afery miłosnej i z czasem zamiast ulegać poprawie, najwyraźniej się pogarsza, toteż umówił ją w tajemnicy do znajomego psychiatry.

Jednak, mimo tych wszystkich wysiłków, Eufrozynie nie udało się ani razu „przypadkowo wpaść” na Kincaida, a wybranie się do jego sanktuarium nie wchodziło w grę. Niechybnie coś by sobie pomyślał, najpewniej zinterpretował jej pojawienie się na swoją korzyść jako wyraz wzajemności lub czegoś w tym rodzaju. Tymczasem ona zupełnie nic od niego nie chciała. Przynajmniej na razie. I choć na wpełni świadomie dążyła do spotkania z Robertem, to jednocześnie bała się, że w końcu go spotka. Pełna sprzecznych uczuć zastanawiała się, co miałyby mu w takiej chwili powiedzieć, jak miałyby się zachować, gdyby wpadła na niego po raz pierwszy od dnia, w którym wyznał jej miłość.

Firmament zawirował jej przed oczami. Twarz Roberta zniknęła, a Eufrozyna ponownie zapadła w sen.

V

W imieninowy poranek, który w tym roku szczęśliwie wypadł w sobotę, Zoey obudziła się punktualnie o dziesiątej rano. Była w doskonałym humorze, jak zwykle, gdy wypadało jej święto. Od dziecka w takie dni w głębi duszy tliła się jej miła nadzieja, że spotka ją jakaś niezwykła niespodzianka. Przeciągnęła się na łóżku i popatrzyła za okno. Bzy kwitły bujnie, roztaczając wokoło odurzające wonie, ptaki śpiewały na cały głos, a z osiedlowego podwórka dochodziły okrzyki, piski i śmiechy bawiących się dzieci.

„Wiosna, prawdziwa wiosna”, pomyślała Zoey z lubością i uśmiechnęła się do samej siebie. „To będzie wspaniały, cudowny dzień!”.

Niemal w tym samym momencie rozbrzmiał dzwonek do drzwi. Odczekała chwilę, w nadziei, że Damazy załatwi sprawę, a ona będzie mogła jeszcze trochę poleniuchować. Jednak przy trzecim dzwonku zorientowała się, że jest przecież sobota rano, a to oznacza, że dziadek zapewne wyszedł na bazarek po zakupy. Niechętnie wstała, wskoczyła w leżący na krześle dres i ruszyła otworzyć. W drzwiach stał pan

Władysław, mimo słonecznej pogody i relatywnie wczesnej pory dnia ubrany w czarny frak z obowiązkową muchą pod szyją. Rzadkie siwe włosy miał gładko zaczesane do tyłu, a lakierowane buty zdawały się świecić czystością. W jednej dłoni ścisnął idealnie wyfasowany melonik, w drugiej laseczkę. Cała jego postać tchnęła wytworną świeżością i elegancją. Eufrozyna nawet nie mrugnęła na ten widok. Przez lata przywykła do ekscentrycznego zachowania muzyków, a także do tego, że znajomi dziadka wpadali do nich o każdej porze dnia i nocy, zwykle bez zapowiedzi.

– Dzień dobry, panie Władysławie – powiedziała serdecznie, wpuszczając go do środka. – Dziadka nie ma...

– Wiem, wiem – odparł cicho dyrygent.

Zoey spojrzała na niego zdziwiona.

– Widziałem go jakiś czas temu, jak szedł z wózkiem w stronę bazaru – dodał po chwili.

Tym razem złe przeczucie ścisnęło wewnątrz Eufrozyny. Z niewiadomych przyczyn przypomniała sobie nagle nieszczęsną walentynkę, którą otrzymała od wiekowego dżentelmena. Wprawdzie od tamtej pory widzieli się wielokrotnie i pan Władysław zachowywał się, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło, ale jego dzisiejsza wizyta, złożona, jak się okazuje, celowo pod nieobecność Damazego, wzbudziła na nowo jej podejrzenia. Nie dała jednak niczego po sobie poznać i zaprosiła gościa na poranną kawę.

– Dziadek powinien wkrótce wrócić – rzuciła, siląc się na wesołość, chcąc bardziej dodać otuchy sobie niż panu Władysławowi.

Dyrygent przysiadł na stołeczku w kuchni. Zachowywał się inaczej niż zwykle. Był sztywny, oficjalny i milczący. Z całej jego fizjonomii biła uroczyta powaga, która w pierwszej chwili skojarzyła się dziewczynie z pogrzebem. Kto wie, może faktycznie umarł któryś z licznych przyjaciół Damazego i pana Władysława? Ta myśl, wbrew swojemu niewesołemu wydzwiękowi, podniosła ją na duchu. Zaczęła parzyć kawę, wciąż jednak modląc się na wszelki wypadek, by Damazy nie spotkał po drodze nikogo znajomego, z kim mógłby uciąć sobie smakowitą i z pewnością stanowczo za długą pogawędkę.

Podawała kawę i kruche ciasteczka, a po chwili namysłu wyjęła

z lodówki także sernik na zimno z truskawkami, który dziadek przygotował poprzedniego wieczoru specjalnie na jej imieniny. Siedzieli w zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć brzęknięć porcelany, chrupnięć nagryzanych ciasteczek i dźwięków wydawanych przez widelczyki i łyżeczki. Pan Władysław nie był wprawdzie aż tak gadatliwym i ekspresyjnym człowiekiem jak Damazy, ale zwykle rozmawiało im się bardzo przyjemnie. Dziś coś wisiało w powietrzu jak wielka, ciężka od deszczu chmura, gotowa w każdej chwili wybuchnąć. Eufrozyna poczuła, że ze zdenerwowania zaczyna się pocić.

– Może uchylę okno? – zagadnęła, by powiedzieć cokolwiek. – Nie gorąco panu?

Rozmowy o pogodzie zawsze się sprawdzały w relacjach ze starszymi ludźmi. Był to temat niemal równie atrakcyjny jak choroby.

– Tak, tak rzeczywiście ciepły mamy w tym roku maj – odparł bez oczekiwanego entuzjazmu pan Władysław, najwyraźniej myśląc o czymś innym.

Zoey wstała, by otworzyć okno, a gdy znów obróciła się w stronę stolika, ujrzała pana Władysława klęczącego przed nią na jednym kolanie, pod które podłożył obowiązkową płócienną chustkę do nosa. Widok ten, doskonale znany każdej młodej kobiecie, która choć raz w życiu oglądała melodramat lub komedię romantyczną, odjął jej mowę.

– Eufrozyno... – zaczął nieśmiało pan Władysław. – Całe moje życie czekałem na taką kobietę jak ty. – Stała, mrugając szybko, bojąc się nawet odetchnąć. – Wiem, że nie mogę ci zaoferować mojej młodości ani urody, ale wiem, że potrafisz dostrzec w człowieku o wiele więcej niż jego zewnętrzną powłokę. Czy uczyniłabyś mi ten zaszczyt i została moją żoną?

To mówiąc, pan Władysław sięgnął do poły fraka i wyciągnął kwadratowe, pluszowe pudełeczko. Otworzył je i podsunął dziewczynie. Wewnątrz znajdował się pierścionek z białego złota z ogromnym szmaragdem otoczonym maleńkimi brylancikami. Najpiękniejszy pierścionek, jaki Zoey kiedykolwiek widziała. Pan Władysław i w tej materii okazał się mieć znakomity gust.

– Eufrozyno, wyjdiesz za mnie?

– Ach! – Zoey głośno wciągnęła powietrze.

– Wiem, wiem, że cię zaskoczyłem. Wiem także, że potrzebujesz czasu na zastanowienie... – zaczął, patrząc na nią z oddaniem.

– Nie, panie Władysławie, nie, proszę – przerwała mu szybko, czując, że jeśli nie rozwieje jego nadziei teraz, tu, natychmiast, to wpakuje się w kolejne tarapaty. – Panie Władysławie, och, kochany panie Władysławie, pańska propozycja ogromnie mi pochlebia, ale ja... Ja nie mogę zostać pańską żoną.

Mężczyzna zbladł, ale nic nie powiedział. Zamknął pudełeczko i odłożył na stolik, po czym z pewnym wysiłkiem podniósł się z kolan i wyprostował z godnością, na tyle, na ile pozwalały mu jego zaokrąglone przez lata dyrygentury plecy.

– A zatem czarna polewka – rzekł cicho i westchnął ciężko, jakby z samego środka duszy. – Nie mogę mieć żadnej nadziei, że zmieni pani zdanie?

Eufrozyna poczuła, że oczy jej wilgotnieją, a słowa więzną w gardle. Pokręciła głową.

Pan Władysław odchrząknął lekko, jakby i jemu emocje przeszkadzały w powiedzeniu czegokolwiek. Po chwili włożył chustkę do kieszeni, sięgnął po melonik i laseczkę.

– Pójdę już – szepnął drżącym głosem i skierował się do wyjścia. Zoey jak we śnie ruszyła za nim zalanym słońcem korytarzem. Przed drzwiami pan Władysław odwrócił się raz jeszcze w jej stronę.

– Czy mógłbym prosić, żeby moja dzisiejsza wizyta i jej cel pozostały między nami? – zapytał ostrożnie.

Eufrozyna przytaknęła. Sama nie marzyła o niczym innym. Na myśl, że Damazy mógłby się kiedykolwiek dowiedzieć o tych oświadczeniach przeszedł ją niemiły dreszcz. Tymczasem stary kawaler podniósł rękę i pogładził ją po policzku.

– Proszę się nie martwić, ja wszystko rozumiem. Serce nie sługa. Samo musi wybrać.

Założył melonik i ruszył w dół po schodach, postukując laseczką. Zamieszkujące klatkę schodową echo poniosło ten wiejący smutkiem odgłos. Eufrozyna stała, przyglądając się jego sunącej ostrożnie przygarbionej postaci, zastanawiając się, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Wróciła do kuchni i na widok pudełeczka stojącego obok

filiżanki z niedopitą kawą, rozpląkała się z nadmiaru emocji.

VI

Mimo gorliwych starań Damazego i Alicji imieniny minęły Eufrozynie w grobowym nastroju. Poranne wydarzenia nie dawały jej spokoju i nie pozwalały cieszyć się ani wyśmienitym imieninowym obiadem z najbliższymi, ani prezentami. Pożegnała gości najwcześniej jak wypadało i zamknęła się w pokoju z własnymi niewesołymi myślami. Późnym wieczorem wciąż jeszcze siedziała na stołeczku naprzeciwko wielkiego lustra i zastanawiała się, co jest z nią nie tak. Dlaczego jedynym mężczyzną, który, jak dotąd, się jej oświadczył, był dobiegający dziewięćdziesiątki stary kawaler, przyjaciel jej własnego dziadka?! Dlaczego nie mogła, jak większość normalnych dziewczyn na tym świecie, zakochać się na studiach w koledze z roku, tuż przed dyplomem wyjść za mąż i urodzić mu przed trzydziestką gromadki roześmianych dzieci? O nie, to by było przecież za proste dla takiej neurotyczki jak ona! Z takim imieniem najwyraźniej wszystko trzeba wiecznie komplikować, czy się tego chce czy nie.

– Eufrozyno! Eufrozyno! – usłyszała rozpaczliwy krzyk dobiegający zza okna.

Wyglądało na to, że jej kłopoty tego dnia jeszcze się nie skończyły.

– Jakie imię, takie imieniny – westchnęła zrezygnowana i podeszła do okna.

Na dole stał Jacek. Zoey zamarła i mocniej oparła się o parapet, wciąż kryjąc się za firanką.

– Eufrozyno! – wykrzyknął znów Kaliski.

W niczym nie przypominał teraz jej niedawnego, perfekcyjnego (jeśli nie liczyć ukrywanego faktu posiadania żony, rzecz jasna) księcia z bajki. Stał w rozpiętej koszuli, bez krawata, ze zmierzwionymi włosami, rozwiązany lewym butem i z charakterystyczną, kwadratową butelką w dłoni. W duchu podziękowała losowi, że przynajmniej dziadka nie ma w domu i nie będzie świadkiem tych wszystkich gorszących scen,

których przyczyną jest jego osobista wnuczka.

– Ciszej tam! – ryknął krewki sąsiad z drugiego piętra. – Drze się to to, pijaczysko jedne, i ludziom spać nie daje!

– Pijaczysko?! – obruszył się natychmiast Jacek, którego duma była równie wrażliwa, jak niewrażliwe było jego sumienie. – Ja, proszę pana, whisky piję!

To mówiąc, zamachał w połowie pustą butelką w stronę sąsiada.

– I co z tego, panie?! – odszczeknął tamten. – Pijak to pijak, nieważne, co tam chla! Idź pan do domu i daj ludziom spać!

– Ja nigdzie nie pójde! – odkrzyknął Kaliski i ostentacyjnie usiadł na chodniku. – Ja tu zostanę! – Sąsiad machnął ręką i już chciał zamknąć okno, gdy z ust Jacka wydobyło się kolejne rozpaczliwe wycie. – Eufrozyno!

– Panie, koniec tego dobrego! Policję wzywam!

Zoey poczuła, że nie może zostawić tak Jacka na pastwę sąsiada i stróżów prawa. Mimo wszystko powinna mu pomóc, był przecież... ojcem jej uczennicy! Trzasnęła drzwiami mieszkania i w kapciach przebiegła przez korytarz. Ułagodziła sąsiada i, prosząc, by nie wzywał policji, obiecała, że w pięć minut pozbędzie się niepożądanego gościa.

– Eufrozyno! To ty! Przyszłaś do mnie! A ja przyszedłem do ciebie, bo masz imieniny, a ja pamiętałem! – powitał ją entuzjastycznie kompletnie pijany Kaliski, gdy wyszła z klatki. – Ach, Eufrozynko, moja Eufrozynko! Przyszedłem, wiesz?

– Trudno cię nie zauważyć – odrzekła niechętnie.

– Przyszedłem, bo wiesz... Bo masz imieniny. Pomyślałem, że przydałoby się to jakoś uczcić i przypomniało mi się, że mieliśmy... ekhm... że... że chciałaś, no wiesz, żebyśmy nie wracali do domu... – To mówiąc, Jacek puścił do niej oko i zrobił minę, której nie powstydzilby się sam Oblech spod dwudziestki.

Eufrozyna nie mogła uwierzyć, że Jacek naprawdę odważył się przybyć do niej w jej imieniny, kompletnie pijany, by po tym wszystkim, co jej zrobił, domagać się spełnienia pewnej niemoralnej propozycji, na której wspomnienie nieodmiennie się czerwieniła.

– Mieliśmy nie wracać do domu, pamiętasz? – wymruczał perwersyjnym szeptem.

– Żartujesz, prawda? – spytała słabo.

– Nie, Eufrozynko. Jestem, nie wracam do domu, zrób ze mną, co chcesz! – To mówiąc, Kaliski, wciąż stojąc na środku ulicy, warknął i rozdarł koszulę na piersi, ukazując światu i wstrząśniętej do granic możliwości dziewczynie swoją umięśnioną, wybitnie owłosioną klatę.

– Natychmiast się ubieraj! – wykrztusiła Eufrozyna.

– Rozbieraj... – zasugerował Jacek.

– Ubieraj, do cholery! I wybij sobie z głowy te wszystkie bzdury!

Jacek zrobił minę jak przedszkolak, któremu ktoś zabrał wielkiego lizaka.

– To nie fair... – jęknął. – Jak coś się obiecuje, to trzeba dotrzymywać słowa – kontynuował swe pijackie pretensje. – Kto daje i odbiera...

Tego było zbyt wiele nawet dla kogoś tak łagodnego jak Zoey.

– Zamknij się! – warknęła, z trudem opanowując wściekłość. –

Wstawaj!

Jacek zamachał palcem przed ustami, najwyraźniej przyrzekając ciszę i chwiejnie stanął na nogach.

– Na górę! – zakomenderowała Eufrozyna i zarzuciła sobie na ramiona wielką, umięśnioną rękę mężczyzny. Kaliski oparł się na niej całym swoim ciężarem, tak, że i ona lekko się zachwiała.

– Ty mała zbereźnico, niby nie chcesz, a jednak zapraszasz mnie na pięterko... – zasugerował z nadzieją Kaliski, po czym czknął i zwymiotował na swoje buty.

W tej chwili resztki sentymentu, które tliły się gdzieś na dnie serca Eufrozyny wyparowały. Koniec z bajkami o rycerzach na białym koniu, witaj prozo życia. Dziewczyna miała wrażenie, jakby od tej myśli ciało Kaliskiego zaczęło jej jeszcze bardziej ciążyć. Postanowiła zaprowadzić go do domu, żeby nie robił scen na ulicy i zadzwonić po taksówkę, żeby zawiozła go do domu, do żony, i tym uroczystym akcentem, ostatnim aktem miłosierdzia względem kogoś, kto nieomal stał się jej tak bardzo bliski, zakończyć ich znajomość po wsze czasy.

Z trudem dociągnęła chwiejącego się na wszystkie strony Jacka do windy. Zadanie było skomplikowane nie tylko ze względu na wynikające z nadużycia procentów zaburzenia błędniaka Kaliskiego, ale i na jego

trudną do opanowania pasję, z jaką chciał ją całować i obściskiwać.

– Eufrozynko, przecież tak nam było razem dobrze, tak dobrze – jęczał raz po raz, przechylając się w jej stronę z ustami ściśniętymi w gotowy do pocałunku dzióbek. – Pamiętasz ten wieczór, kiedy zapiąłem ci na nadgarstku bransoletkę...?

W końcu Zoey nie wytrzymała. Z siłą, o jaką sama siebie nie podejrzewała, pchnęła klejącego się do niej Jacka w róg windy.

– Zabieraj te łapska, zamknij się i słuchaj – wrzasnęła. – Zakończmy to raz na zawsze! – Jacek wpatrywał się w nią maślanymi oczami, w których wyraźnie dostrzegała strach. Odczuła dziwne zadowolenie, jakąś perwersyjną przyjemność, że oto ona, ofiara jego manipulacji i oszustw, jest teraz górą. – To, że dałeś mi drogą bransoletkę i przysłałeś na walentynki sto róż akito nie oznacza jeszcze, że możesz sobie ze mną pogrywać w ten sposób – powiedziała głośno i wyraźnie. – Ja nie jestem na sprzedaż, rozumiesz? I zapamiętaj sobie, że nie chcę cię nigdy więcej widzieć, nigdy, nigdy, nigdy!

Jacek zrobił minę winowajcy, a w jego szeroko otwartych ze zdumienia i przestraszenia oczach pojawiły się łzy najprawdziwszej pijackiej skruchy.

– Ale przecież ja... – załkał.

– Co? Może chcesz mi powiedzieć, że nie masz żony, co? Albo że te kwiaty i biżuteria były dowodem najczystszych uczuć, a nie tandetną próbą przekupstwa, owinięcia mnie sobie wokół palca, zmanipulowania?!

– Ale... – jęknął mężczyzna i skulił się lekko pod wpływem spojrzenia, które mu posłała. – Eufrozynko...

– Nie nazywaj mnie tak!

Kaliski potulnie skinął głową. Zoey stała, oddychając szybko, ale w sercu odczuwała prawdziwą lekkość, jakby wyrzucając żal i skłębione złe emocje, pozbyła się ciężącego jej na duszy od tyłu dni balastu. Jacek odczekał chwilę, po czym odważył się przysunąć w jej stronę.

– Nie zbliżaj się – warknęła znów, choć jakby odrobinę mniej wrogo; złość uleciała.

Jacek znów się cofnął.

– Zoey... – zaskomlał. – Ja...

– No co? Wysłów się wreszcie, skoro to takie ważne!

– Ja tego nie zrobiłem, naprawdę. Nigdy nie dałem ci żadnych róż, przysięgam! – wyrzucił z siebie tonem usprawiedliwienia. – To nie ja, naprawdę nie ja! Błagam, uwierz mi!

W tej samej chwili dojechali na piętro Eufrozyny. Dziewczyna, wciąż oszołomiona tym, co usłyszała, otworzyła drzwi i wpuściła Jacka do mieszkania, zapominając na ułamek sekundy, w jakim jest stanie. W efekcie mężczyzna potknął się w godny podziwu sposób na niemal płaskim progu. Nie zdołała go złapać. Runął jak długi na dywan Damazego. Zoey natychmiast znów zapomniała o różanej zagadce, bo wszystkie moce przerobowe jej połączeń neuronowych pochłaniała kwestia tego, co ma zrobić z pijanym nieszczęśnikiem leżącym w jej przedpokoju. Jednak, nim jakiegokolwiek nadające się do zastosowania rozwiązanie przyszło jej do głowy, mężczyzna, który dosłownie padł u jej stóp, przestał się poruszać.

Przez krótki, ale nadzwyczaj przerażający moment Zoey była pewna, że Kaliski umarł. Groza ścisnęła ją za gardło. Rzuciła się na kolana i przyłożyła głowę do jego klatki piersiowej. Unosiła się ciężko, a serce biło mocno i szybko. Wstała i przez chwilę oddychała głęboko, próbując opanować bicie własnego serca. Mimo wszystko ulżyło jej, że Jacek żyje. Wkrótce jej uszu dobiegł charkot i Kaliski zaczął głośno chrapać. Bez wątplenia był żywy. Stojąc w oparach alkoholu i wymiocin, spoglądając na swoje upadłe marzenie, Eufrozyna poczuła, że się dusi. Musiała uciekać. Uspokoić się, na chwilę oderwać myśli od tego wszystkiego, zebrać siły do działania, a potem zorganizować kogoś, kto pomoże jej pozbyć się zapitego, żonatego absztyfikanta, zanim dziadek wróci do domu.

Zatrzasnęła drzwi i, wciąż w kapciach, zbiegła po schodach. Biegnąc, odruchowo spojrzała w szybkę okna klatki i zatrzymała się w pół kroku. Tymczasem na dworze zaczął padać deszcz, i to nie byle jaki, ale pełna wiosennego entuzjazmu majowa ulewa. Była w pułapce. Nie mogła w takim stanie pójść do żadnego z sąsiadów, nie mogła wyjść na spacer, a od pieniędzy, kurtki i butów oddzielało ją bezwładne ciało pijanego Jacka.

– Ciemnia – szepnęła nagle sama do siebie.

Niewiele myśląc, ruszyła w stronę małych drzwi pod schodami wiodących do piwnic.

VII

Przed drzwiami ciemni przystanęła na chwilę onieśmielona i przestraszona. Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl, że skoro przez tyle dni nie spotkała Roberta, to może mężczyzna znów gdzieś wyjechał, a wraz z nim jedyna nadzieja na ratunek. Z bijącym ze strachu i przejęcia sercem przyłożyła ucho do drzwi. Cisza. Wstrzymała oddech. Po chwili jednak usłyszała szuranie, metaliczny brzęk, jakby ktoś odłożył coś ciężkiego na stalową tacę, a potem szum nalewanego do naczynia płynu. Poczowała ulgę. Robert pracował w ciemni. Przynajmniej chwilowo była uratowana. Zastukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Mężczyzna stał nad kwadratową miską i mieszał w niej delikatnie czymś długim i płaskim, przypominającym specjalny tępy nóż, którym dziadek rozsmarowywał kremy na przyrządzanych przez siebie tortach.

– Nie zapalaj światła – powiedział szybko, bez powitania, jakby jej pojawienie się w ciemni było czymś zupełnie naturalnym. – Usiądź, zaraz skończę.

Nie marzyła o niczym innym. Z lubością przysiadła na stołeczku w najciemniejszym kącie pomieszczenia i, oparłszy głowę o ścianę, przyglądała się Robertowi. Jego ruchy były szybkie i metodyczne, a każdy z nich miał ściśle określony cel. Niesamowicie przypominał jej w tej chwili Damazego, którego tak często podglądała podczas gotowania czy sprzątania. „Prawdziwy profesjonalista”, pomyślała. „Niby marzyciel i romantyk, a jednak człowiek, który wie, czego chce i ma świadomość, dokąd zmierza”.

Robert, bez reszty pochłonięty pracą, zdawał się w ogóle nie pamiętać o jej obecności. Zoey bardzo to odpowiadało. Powoli uspokajała się, a nieprzyjemna przygoda z pijanym Jackiem wydała jej się w tym ciemnym pokoju niczym więcej jak tylko złym snem. Po chwili przeniosła wzrok na swoją powiększoną podobiznę. Po raz

pierwszy w życiu aż tak dokładnie przyjrzała się własnej twarzy. Miała wyraziste rysy, myślące czoło, ogromne oczy, a wszystkie elementy pozostawały ze sobą w idealnej harmonii. Kaśka miała rację. Ta dziewczyna była śliczna, przynajmniej na zdjęciu wykonanym przez Roberta.

„Czy on właśnie taką mnie widzi?”, zastanawiała się. Ta myśl, pierwsza prawdziwie przyjemna myśl tego dnia, nieco ją pocieszyła.

Usłyszała pstryknięcie światła i zmrużyła oczy, porażona jasnością.

– Skończyłem – oznajmił Robert i przysiadł na rogu szafki tuż obok niej.

Znów znaleźli się bardzo blisko siebie. Zoey niemal czuła na swojej skórze ciepło bijące od jego postaci. Tknięta nagłym impulsem oparła głowę na jego kolanie, a on, ku jej zaskoczeniu, zaczął głaskać ją po włosach. Wszystko to wydało jej się nagle tak naturalne, tak proste. Dwoje ludzi połączonych niewidzialną nicią bliskości, powstała nie wiadomo kiedy i jak. Było jej tak miło, tak bezpiecznie.

– Jak to dobrze, że jesteś – wyszeptał jej do ucha.

Zoey drgnęła, bo jego słowa przypomniały jej nagle powód, dla którego tu przyszła. Poczucie bezpieczeństwa prysło jak bańka mydlana. Dziewczyna wyprostowała się i zawstydzona opowiedziała Robertowi wydarzenia feralnego wieczora. Rzucił jej nieodgadnione spojrzenie, po czym złapał za rękę i poprowadził do wyjścia.

– Chodź, pozbędziemy się go, zanim twój dziadek wróci – powiedział po prostu.

Czerwiec

I

Ślub Kaśki i Pafcia miał odbyć się w drugiej połowie czerwca. Zgodnie z wytycznymi i szczegółowym harmonogramem aktywności przedślubnych, które przygotowała dla niej skrupulatna do granic wytrzymałości Kaśka, Eufrozyna zaplanowała więc wieczór panieński na długi weekend czerwcowy. Wystarczająco wcześnie, by ewentualny, choćby najpotężniejszy, kac świata nie zagroził ceremonii, a na tyle późno, by rzeczywiście była to ostatnia impreza w domniemanym stanie panieńskim. Gdy jednak zapytała ją o listę koleżanek, które chciałyby zaprosić na to wiekopomne wydarzenie, Kaśka oświadczyła, że już wszystko jest załatwione.

– Jak to? – zdziwiła się Zoey. – O ile wiem, wieczór panieński jest domeną zarezerwowaną dla świadkowej...

Była naprawdę oburzona, że nie dane jej będzie w pełni wykonać powierzonej misji, która zajmowała ostatnio cały jej wolny czas.

– Wiem, wiem, ale miałam chwilę i postanowiłam cię odciążyć – prędko odpowiedziała Kaśka, siląc się na swobodę i naturalność. –

Przecież też kiedyś chodziłam do szkoły i wiem, że koniec roku to intensywny czas. Te wszystkie sprawdziany, nadganiecie zaległości, poprawki. Nie chciałam ci jeszcze dorzucać kolejnych obowiązków.

Kaśka nadzwyczaj rzadko troszczyła się o poziom zapracowania innych. Wielokrotnie powtarzała też, że praca w szkole to nie praca, a wakacje, za które ci płacą, i nie przyjmowała żadnych racjonalnych argumentów, którymi Zoey sypała jak z rękawa. Kaśka twierdziła uparcie, że prawdziwa orka jest wyłącznie na roli i w korporacji. Jej obecne zachowanie nie wynikało z pewnością z troski. Zoey w mig zrozumiała, że przyjaciółka po prostu chciała wszystko zorganizować sama. Cała Kaśka, zawsze musi mieć wszystko pod kontrolą.

– W takim razie, jaki jest plan? – zapytała Zoey, trochę naburmuszona, że Kaśka nie dała jej się wykazać.

– Jedziemy do pięciogwiazdkowego SPA na Warmię! – oznajmiła przyszła panna młoda, nie kryjąc zachwyty. – Nawet nie wiesz, jak trudno było załatwić tam miejsca. Na szczęście w ostatniej chwili zwolnił się jeden jedyny apartament.

Zoey zdębiała. Kaśka z Pafciem nie należeli wprawdzie do najbiedniejszych, ale urządzenie wieczoru panieńskiego w apartamencie luksusowego kurortu było szaleństwem.

– Wyboru wprawdzie nie miałyśmy, ale trafiła się nam wspaniała perła. Ogromne dwupokojowe studio na ostatnim piętrze z widokiem na las – szczebiotała Kaśka.

– Jesteś pewna? – spytała z wahaniem Zoey, przerywając przyjaciółce chwilę uniesienia.

– Jasne! Wyobraź to sobie: zabiegi pielęgnacyjne, masaże, kąpiele w ciepłej glince... Będzie bosko, zobaczysz!

– A pomyślałaś o kosztach...? – zaczęła delikatnie Eufrozyna, kierując myśli Kaśki ku zagadnieniu, które ją samą martwiło najbardziej.

– Oj, kosztami się nie przejmuj – zaćwierkała Kaśka. – Biorę to na siebie!

Eufrozyna zdziwiła się. Wiedziała, jak bająnskie sumy idą na przygotowanie powtórkowego ślubu i wesela Kaśki, której wymagania względem jakości znacznie wzrosły od czasów, gdy po raz pierwszy wychodziła za mąż za Pawła. Ekstrawagancja w postaci opłacenia

wszystkim koleżankom pobytu w luksusowym SPA, będąca gestem tyleż hojnym, co kompletnie szalonym, jakoś nie mieściła się Eufrozynie w głowie. Budżet państwa młodych nie był nieograniczony, o czym, jako prawa ręka panny młodej, doskonale wiedziała. Uznała zatem, że jako porządna i odpowiedzialna świadkowa, powinna jednak sprowadzić Kaśkę na ziemię, zapewniając sobie tym sposobem niewątpliwie dozoną wdzięczność Pafcia.

– Mam rozumieć, że chcesz zapłacić za nas wszystkie z własnej kieszeni? – upewniła się nieśmiało; rozmowy o pieniądzach zazwyczaj szalenie ją krępowały. – Naprawdę was na to stać?

Kaśka spojrzała na nią, jakby nie pojmowała wypowiedzianych przez Eufrozinę słów.

– Jakie „wszystkie”? – spytała podejrzliwie.

Teraz i Eufrozyna poczuła się skonfundowana.

– No jak to, jakie? Ty i ja, to oczywiste, kuzynka Martynka, Ewka, Aneta, Jolka z biura, pewnie ze trzy czy cztery żony kumpli Pafcia... – wyliczała. – Nie pamiętam, kto tam jeszcze. Miałaś mi przecież zrobić listę...

– Zoey, ale ja nie chcę ich tam zabierać – zaśmiała się Kaśka, zrozumiałwszy wszystko. – Żon kumpli Pafcia szczerze nie znoszę, o kuzynce Martynce nawet mi nie przypominaj, a dziewczyn z pracy mam dość na co dzień. Plan jest taki, że pojedziemy same!

Eufrozyna milczała, trawiąc otrzymane wiadomości. Pomysł był genialny, a weekend czerwcowy w ciągu kilku sekund z pełnej udręki zmienił się w wielce nęcącą perspektywę.

– Pomyśl, wypoczniemy, zabawimy się jak nigdy, a przede wszystkim zrobimy się na bóstwo! – rozmarzyła się Kaśka. – Tego dokładnie nam teraz potrzeba na nowej drodze życia. Tylko ty, ja, dobre wino, przepyszne jedzenie i boscy masażyści. Wiem, co mówię, byłam tam już kiedyś. A kosmetyczka, która robi paznokcie, jest mistrzynią w swoim fachu. Przekonasz się! Jedna wizyta u niej i twoje życie już nigdy nie będzie takie samo!

Zoey zamyśliła się. Może Kaśka miała rację? Może to nie noworoczne życzenia, dziecięce marzenia czy wielkie miłości odmieniają życie, a bardziej przyziemne sprawy, jak choćby zmiana

koloru włosów, opalenizna czy manicure hybrydowy? Chociaż właściwie po co je robić, skoro i tak nikt poza dziadkiem i przyjaciółką nie zauważy zmian, a oni przecież kochają ją bezwarunkowo i nieerotycznie, więc czemu w ogóle ma się zajmować podnoszeniem poziomu własnej atrakcyjności fizycznej?

„Nie warto”, zawyrokowała w myślach. Ale jedno wiem na pewno. Jestem zmęczona, szalenie zmęczona i muszę wreszcie odpocząć. Uśmiechnęła się do wizji spędzenia czterech dni na spaniu, jedzeniu i korzystaniu z zabiegów upiększających. „A poza tym może jednak jest ktoś, kto zwróciłby uwagę na moje nowe, odmienione ja...” – w głowie Eufrozyny zaświtała, a raczej zapełgała nieśmiałym światełkiem jeszcze jedna myśl. „Kincaid na pewno by coś zauważył...”.

Wprawdzie po imieninowym wieczorze, podczas którego pomógł jej wsadzić pijanego Jacka do taksówki i odesłać, gdzie pieprz rośnie (czyli do żony na Wąwozową 8), Robert znów zniknął bez słowa, ale tym razem już go nie szukała. Była zupełnie spokojna. Wspomnienie bezpiecznej bliskości, która stała się ich udziałem przez te parę chwil w ciemni, sprawiało, że w jej sercu zrodziła się niezbita pewność, że wkrótce znów się spotkają, wszystko jakoś się ułoży i będzie dokładnie tak, jak być powinno. Nie trzeba niczego przyspieszać, wykonywać żadnych gwałtownych, desperackich ruchów. Zbędna była kokieteria i dziwaczne podchody godowe. Robert ją kochał. Wiedziała to na pewno, choć nie do końca rozumiała, skąd wzięło się to uczucie. I w tym bardzo przypominał jej Damazego, który przecież zawsze powtarzał, że gdy zobaczył babcię, został porażony piorunem miłości. Nie potrzebowali słów, przygotowań, sprawdzania się, upewnienia, czasu na próbę. Trzy tygodnie później wzięli ślub, i choć babcia umarła wcześniej, Damazy nigdy więcej z nikim się nie związał. Robert wydawał jej się taki sam. Zero-jedynkowy w rzeczach najważniejszych, artystycznie sprzeczny w tych mniej ważnych.

Co prawda w jej przypadku o żadnym piorunie, gromie czy choćby marniutkiej strzale Amora nie mogło być mowy. Nie budziła się w nocy, nie straciła apetytu, nie pragnęła ze wszystkich sił jego obecności, mogła z łatwością zebrać myśli, a przede wszystkim funkcjonować w codzienności bez nieustannego widoku Kincaida, lecz mimo to czuła,

że w jej sercu tli się nadzieja na szczęśliwe zakończenie ich znajdujące się w blokach startowych historii. Uśmiechnęła się do własnych myśli. Tak, Robert z pewnością zauważy i doceni poprawę jej urody.

– A zatem Warmia! – zawołała wesoło.

II

Wybrane przez Kaśkę SPA okazało się niedawno odrestaurowaną, dziewiętnastowieczną rezydencją uzupełnioną o wszystkie niezbędne współczesnemu kuracjuszowi z grubym portfelem wygody. Każdy kąt tego przybytku tchnął przepychem, nowoczesnością i luksusem. Eufrozyna czuła się coraz bardziej nieswojo, gdy po dopełnieniu wszystkich formalności meldunkowych recepcjonistka oprowadzała je po kolejnych salach restauracyjnych, bilardowych, pokazała trzy baseny rekreacyjne i basen do kąpielii w glince, eleganckie salony kosmetyczne, solarium dla gości. Wreszcie wprowadziła je do wielkiej, okrągłej sali z mnóstwem drzwi, wyłożonej śnieżnobiałymi kafelkami z ogromnym basenem na środku. Dookoła niego rozłożone były leżaki, na których spoczywały puszyste ręczniki z logo hotelu.

– Teraz najlepsze – szepnęła Kaśka, puszczając do Zoey oczko.

Recepcjonistka była najwyraźniej tego samego zdania, bo, dosłyszawszy jej słowa, uśmiechnęła się szeroko.

– A tu mamy nasz kompleks saun. Basen na środku ma specjalny system chłodzenia, tak, by woda była w nim zawsze odpowiednio zimna. W pokojach dookoła znajdują panie sauny suche, parowe, z olejkami eterycznymi, którymi można cieszyć się w towarzystwie bądź w zupełnym odosobnieniu, bowiem te po lewej stronie są jednoosobowe. – Doskonale wyćwiczonym ruchem stewardessy na pokładzie samolotu, wciąż stojąc twarzą do nich, wskazała rząd drzwi.

Nagle jedno z nich się uchyliło. Pachnąca olejkiem różanym para buchnęła na korytarz, a z powstałej mgły wyłoniła się dziwnie znajoma postać, która, chichocząc, owijała się szlafrokiem.

– Alicja?! – szepnęła Zoey, której widok przyjaciółki w tym

miejscu odebrał mowę. – Mówiłaś, że nie ruszasz się z domu w długi weekend...

Alicja stanęła jak wryta.

– Co ona tu robi?! To jakiś kiepski dowcip, w stylu „Mamy cię”? – zachnęła się jednocześnie Kaśka, która w swoim nieuleczalnym egocentryzmie natychmiast doszukała się w tym oczywistym zbiegu okoliczności spisku przeciwko spokojowi jej ducha na kilka dni przed ślubem. – Chyba jej nie zaprosiłaś?!

Alicja z Zoey zignorowały ją. Stały naprzeciwko siebie i milczały. Coś złowrogiego zawisło w powietrzu.

– Idę zapalić – fuknęła Kaśka, najwyraźniej obrażona tym, że nikt nie przejmuje się jej pretensjami.

Recepcjonistka, która wiele już w życiu widziała, natychmiast wyczuła zdenerwowanie obu kobiet i dyskretnie oddaliła się na swoje bezpieczne stanowisko pracy.

– Co ty tu robisz? – spytała cicho Eufrozyna, gdy zostały same.

Alicja otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili drzwi pojedynczej sauny uchyliły się ponownie i stanął w nich mężczyzna owinięty w pasie ręcznikiem, z drugim przewieszonym przez ramię. To był Rex.

– Kotek, szybki skok do basenu i wracamy do dziupli... – zawołał radośnie i uderzył się kilka razy pięściami w pierś jak Tarzan.

W następnej sekundzie i on dostrzegł Eufrozinę. Natychmiast zamilkł, a próżniaczy uśmiech buhaja rozplodowego w czasie godów zniknął z jego twarzy. Zoey zaczerwieniła się po korzonki włosów. Mrugając szybko, przenosiła wzrok z przyjaciółki na byłego chłopaka, próbując zrozumieć cokolwiek.

– Pozwól, że ci wszystko wytłumaczę... – zaczął pojednawczo Rex, któremu nadmiar testosteronu uniemożliwił zachowanie milczenia w obecnym, pełnym napięcia położeniu.

– Nie, nie trzeba – wydusiła Zoey i, nie czekając na wyjaśnienia, ruszyła w ślad za Kaśką, zostawiając parę nieszczęsnych kochanków.

W gardle miała wielką gulę, żołądek niewyobrażalnie ściśnięty, ręce jej drżały, a w myślach kołatała się niezliczona liczba pytań, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi.

III

– Ze wszystkich kurortów w Polsce musieli wybrać akurat ten, w którym zamierzałam spędzić mój pierwszy w życiu wieczór paniński z prawdziwego zdarzenia – gorączkowała się Kaśka, gdy godzinę później siedziały w samochodzie.

Pozostawiwszy półnagich Alicję i Marcina przy saunach, Zoey przysłała do Kaśki i, z niespotykaną u tak łagodnej i uległej osoby stanowczością, zażądała, by natychmiast zmieniły miejsce pobytu. Kaśka, widząc jej wzburzenie, bez słowa wymeldowała je, ku najszczęszemu zdumieniu tej samej recepcjonistki, która trzy kwadransy wcześniej wydała im klucze i karty zabiegów, a przede wszystkim przyjęła bezzwrotną zaliczkę za pobyt.

– Nie znajdziemy już nic fajnego. – Kaśka użalała się nad sobą i swoim losem, kompletnie ignorując przyczynę, dla której zamiast na zabiegu odmładzającym z algami, znajdowały się znów w trasie. – W Boże Ciało wszyscy gdzieś wyjeżdżają. A pogoda wyjątkowo dopisała w tym roku! Już ten apartament zdobyłam dla nas prawdziwym cudem!

Jednak Eufrozyna nie zwracała najmniejszej uwagi na jej monolog. Prawdę mówiąc stan, w którym się znajdowała, określiłaby mianem szoku, gdyby w ogóle była teraz zdolna do autodiagnozy. A nie była. Nie potrafiła zebrać myśli na tyle, by określić, co wstrząsnęło nią bardziej: to, że Alicja miała nowego faceta i nic jej o tym nie powiedziała; to, że facetem był Rex, który nie tak znowu dawno dość paskudnie ją potraktował przy oficjalnym zakończeniu ich związku; czy wreszcie to, że po tylu latach przyjaźni Alicja najzwyczajniej w świecie ją okłamała? Tyle lat, tyle wspólnych sekretów, tyle chwil śmiechu i płaczu, tyle czekolad i butelek wina, tyle filmów z Clintem Eastwoodem, tyle świąt, wakacji, urodzin... Podstawówka, liceum, studia, pierwsza praca w tej samej szkole; od zawsze razem. Alicja była jej najbliższą przyjaciółką. Była jak rodzina. A mimo to nie miała odwagi przyjść i powiedzieć

Zoey, że spotyka się z Marcinem. O to spotkanie Eufrozyna miała najmniej żalu, choć, oczywiście, biorąc pod uwagę słowa, które wypowiedział na jej temat podczas ich ostatniego spotkania, było jej mimo wszystko trochę przykro, że Alicja nie odegrała się na nim, nie pomściła zranionych uczuć przyjaciółki. Nie to jednak było najgorsze i nie to sprawiało, że Zoey tak okropnie chciało się płakać. Najtrudniej było znieść myśl, że Alicja nie była z nią szczerą, że okazała się kimś innym, niż się jej wydawało, że potrafiła w twarz powiedzieć jej nieprawdę po to, by ukrywać związek z Reksem. To złamało Zoey serce.

– Ja chcę do domu... Muszę wrócić do domu... – Rozpłakała się nagle jak dziecko.

Kaśka rzuciła jej nieodgadnione spojrzenie i zjechała z autostrady.

– Cholerna Alicja! Jak zwykle wszystko spieprzyła – mruknęła Kaśka, odpalając papierosa i przez całą drogę powrotną nie odezwała się już ani słowem.

IV

Ostatecznie wieczór paniński Kaśki odbył się tydzień później, w „Pękatej pszczołce”, w nieco liczniejszym gronie. Przyszła panna młoda wydawała się całkiem zadowolona z takiego obrotu spraw, zwłaszcza, że kuzynka Martynka, której nie wypadało nie zaprosić, szczęśliwie właśnie na ten wieczór miała zaplanowaną manifestację w obronie fok gdzieś pod Szczecinem.

Zoey załatwiła dla Kaśki od znajomej scenografki z teatru wspaniałą brokatową koronę, berło i purpurowy płaszcz, w których powtórkowa panna młoda prezentowała się dostojnie i niezwykle ponętnie, zwłaszcza, że pod spód włożyła niewiele zakrywającą, szalenie drogą, czarną szmateczkę, której nazwanie sukienką było ogromną przesadą. Obsługa „Pękatej pszczołki” stanęła na wysokości zadania. Na ten wieczór do karty drinków dodano nową pozycję, którą na jej cześć nazwano Katarzyna Wielka. Była to mieszanka niezwykle kolorowa i równie mocna. Kaśka wpadła w zachwyty. Eufrozyna także dobrze się

bawiła, wiedząc, że zadośćuczyniła przyjaciółce za nieszczęsny wypad do SPA, na wspomnienie którego wciąż się wzdrygała.

W pewnej chwili Kaśka wdrapała się na krzesło, uniosła do góry dłoń z kolejnym koktajlem swego imienia i chrząknęła niezbyt elegancko. Wyglądała jak statua wolności przebrana na jasełka za Melchiora albo Baltazara.

– Przynoszę wieści miastu i światu! – ryknęła, nie zważając na pozostałych gości znajdujących się w klubie.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła Aneta, najwyraźniej nie wytrzymując napięcia.

– Ale co? – Kaśka wydawała się nieco zbita z pantafyku, że ktoś przerwał jej przemowę nim dobrze zaczęła.

– Jesteś w ciąży!!! – pisnęła koleżanka, klaszcząc przy tym entuzjastycznie w dłonie.

– Weźcie ją stąd! – nakazała władczo wyraźnie zde gustowana Kaśka, dumnym ruchem wskazując koleżankę berłem, jak niegdyś królowe zwykły wskazywać skazańców. – Jej już wystarczy. Bredzi!

Aneta umilkła zawstydzona i pociągnęła spory łyk drinka, podczas gdy Kaśka kontynuowała swoje zbyt długie i wielce absurdalne przemówienie, którego sens trudno było uchwycić nawet dość trzeźwej Zoey.

– A, i mam dla was niespodziankę – zakończyła wreszcie, ku prawdziwej uciechu ogromnie znudzonego audytorium. – Zachowałam tę wiadomość specjalnie na ten wieczór! Moje drogieeee... – ryknęła, naśladując komentatorów walk bokserskich zapowiadających zawodników, wymachując przy tym nad głową brokatową koronę. – Na nasz ślub przybędzie sam „Rex” Rydzewski!!!

Zgromadzone przy stoliku koleżanki, niemal równie upojone co bohaterka wieczoru, pisnęły przeraźliwie i zaczęły skandować:

– Rex! Rex! Rex! Rex!

Zoey dłuższą chwilę siedziała w bezruchu. Odzyskawszy zdolność oddychania, pociągnęła Kaśkę brutalnie za rękę, siłą sadzając na wolnym krześle tuż obok.

– Nie zrobiłaś tego, prawda?! – wrzasnęła jej do ucha, żeby przekrzywić muzykę i podekscytowane dziewczyny.

– Ale czego? – zapytała Kaśka, robiąc minę niewiniątka.

– Nie zaprosiłaś ich na wesele?

Kaśka zwinęła usteczka w dzióbek i rozejrzała się wokoło.

Nadzieja zgasła.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś po tym wszystkim?! Przecież ty nienawidzisz Alicji!

– Ale Pafcio uwielbia Reksa! – odparowała Kaśka. – Chciałam mu zrobić przyjemność tym, że jego ukochany sportowiec pojawi się na naszym ślubie!

– Przecież już ci mówiłam, że był na waszym pierwszym ślubie! – Eufrozyna czuła, że wzbiera w niej wściekłość.

– Wiem, ale teraz to co innego!

„Teraz będzie mogła popisać się przed większą liczbą gości”, pomyślała z niechęcią Zoey, zraniona nielojalnością przyjaciółki.

– Ale teraz ja jestem twoją świadkową, a Rex jest moim byłym facetem, który po naszym rozstaniu pocieszył się moją najlepszą, to znaczy ex-najlepszą przyjaciółką! – wykrzyknęła zrozpaczona. – To ci zupełnie nie przeszkadza?

– Nie, wyobraź sobie, że nie! Mam szansę uszczęśliwić mojego męża w dniu naszego drugiego ślubu, i choć trudno jest ci to zaakceptować, sprawienie mu przyjemności jest dla mnie ważniejsze od twoich humorów. – Zoey spojrzała na nią z wyrzutem, ale Kaśka najwyraźniej nic sobie nie robiła z jej pełnych pretensji spojrzeń. – No co?! No co?! Musisz wreszcie zrozumieć, że świat nie kręci się wokół ciebie! Inni też są ważni!

Eufrozyna poczuła się nagle okropnie samotna. Sama, samiuteńka jak palec. Z Alicją nie rozmawiała od ponad tygodnia. Na szkolnych korytarzach mijały się bez słowa, w razie pilnej potrzeby zawodowej zostawiając sobie kartki z informacjami w szafkach. A teraz Kaśka zadaje jej kolejny dotkliwy cios.

– Poza tym ciotka Lucyna ze Skierniewic złamała nogę i nie może przyjechać... – ciągnęła Kaśka nieco łagodniej. – A my już zapłaciliśmy za ustaloną liczbę gości. I co? Miejsca mają się zmarnować, bo ty masz focha, że Alicja spotyka się z twoim byłym? Fakt, zachowała się jak świnia, nie mówiąc ci o tym, ale to jedyne jej przewinienie. Nie możesz

się czepiać, że są razem! Sama go nie chciałaś! Bądź konsekwentna i nie zachowuj się jak jakiś cholerny pies dozorca, czy jak to tam było. Litości! Ile ty masz lat? Spróbuj przynajmniej poudawać dorosłą, przecież tylko pracujesz w podstawówce! Obie spróbujcie!

Zoey milczała, kompletnie rozbita i okropnie smutna. Nie mogła uwierzyć, że Kaśka zrobiła jej coś takiego. Najchętniej w ogóle nie poszłaby na ten bezsensowny re-ślub, ale wrodzone poczucie przyzwoitości, bez względu na uwarunkowania, nie pozwalało jej na samym finiszu porzucić zadania, którego się podjęła. W duchu poprzysięgła sobie jednak, że po weselu nie odezwie się do Kaśki ani słowem przynajmniej przez miesiąc, chyba, że ta szybciej wyjrzy ze swojej egoistycznej skorupki i sama zauważy, jak ohydnie się zachowała.

– Będzie dobrze, tylko weź się wreszcie ogarnij! – powiedziała Kaśka, klepnęła Zoey w plecy, czknęła głośno i odpłynęła w swoim królewskim stroju w stronę toalet.

Do tego wieczoru Eufrozyna nawet przez moment nie zaprzętała sobie głowy tym, z kim pójdzie na wesele Kaśki. Chciała iść sama. Jako świadkowa i tak przewidywała mieć ręce pełne roboty, zabawiając gości i dbając o to, by wszystko było jak należy, by usuwać wszelkie kłody czy choćby wykałaczkę spod nóg bohaterów wieczoru. Teraz jednak, gdy wyrachowana przyjaciółka zaprosiła na swoje wesele Reksa i Alicję, poczuła nieodpartą, rozpaczliwą wręcz potrzebę przyjscia z osobą towarzyszącą. Nie mogła pójść sama. Nie zniósłaby współczujących spojrzeń i patrzenia zza stolika, jak tych dwoje zdrajców szaleje na parkiecie. Ona też musi być na tym cholernym parkiecie w ramionach jakiegoś wspaniałego mężczyzny i bawić się do upadłego. Nikt nie będzie jej współczuł i żałował! A już na pewno nie da takiej satysfakcji Alicji i Reksowi.

Sprawa partnera na wesele wydała się nagle Zoey kwestią życia i śmierci. Sięgnęła po telefon i nie zastanawiając się, by wątpliwości nie odwiodły jej od tego pomysłu, szybko wystukała wiadomość.

„Pójdiesz ze mną na wesele w przyszłą sobotę?”

Wysłane. Zoey położyła telefon tuż przy swoim kieliszku i z bijącym sercem wpatrywała się w ciemny ekranik, zastanawiając się,

jak bardzo jest żałosna i co sobie o niej pomyśli Robert, któremu po tylu dniach milczenia złożyła nagle tak bezpośrednią propozycję. Komórka zapiszczała cichutko. Eufrozyna wzięła głęboki wdech i drżącą ręką nacisnęła ikonkę koperty.

„Z najwyższą przyjemnością. Tylko nie każ mi zakładać krawata, proszę!”

Eufrozyna roześmiała się na cały głos, choć przypominało to bardziej dźwięk, jaki wydaje z siebie topielec, zaczerpnąwszy pierwszy łyk powietrza. Wyglądało na to, że Robert po raz kolejny wyratuje ją z opresji.

„Prawdziwy rycerz z bajki”, pomyślała mimo woli. Jednak chwilę później postanowiła nigdy więcej go tak nie nazywać. Zbyt wielu było ostatnio tych rycerzy, i wszyscy jak jeden mąż okazali się popaprańcami. Robert był po prostu Robertem. Świetnym kumplem, prawdziwie niezawodnym sąsiadem, obiecującym mężczyzną.

– Nigdy więcej rycerzy! – powtórzyła samej sobie i, uśmiechając się, odpisała Robertowi.

„Właściwie to sama chciałam cię prosić, żebyś nie zakładał krawata...”

V

Pogoda, jedyny element ślubnej układanki, na który Kaśka nie mogła mieć wpływu, postanowiła najwyraźniej nie narażać się na gniew perfekcyjnej panny młodej. W dniu ślubu państwa Szczygłów słońce mocno świeciło, na niebie nie było ani jednej chmurki, ale nie panował też upał czy duchota. Idealna pogoda na idealny ślub.

Punktualnie o trzynastej Kaśka, spowita w romantycznie udrapowane jedwabie w kolorze przyprószonego złotem mleka, sunęła środkiem kościoła, prowadzona pod ramię przez ubranego w złoto-beżowy garnitur Pafcia. Z głośników płynęły słodkie, melancholijne dźwięki skrzypiec. Eufrozyna stojąca przy ołtarzu w prześlicznej sukience z liliowej organzy przewiązanej w pasie szeroką

kremową wstążką, z pojedynczą falbanką na wysokości kolan, wyglądała jak barwny, elegancki motyl, który przysiadł na rogu ołtarza, by być świadkiem chwili szczęścia dwojga ludzi. Stan jej duszy daleki był jednak od radosnego uniesienia. Zoey czuła, jak wokół serca zaciska się jej obroza tęsknoty. Ona też chciałaby kiedyś przeżyć taką chwilę. Założyć białą, choć może nie tak strojną jak ta Kaśki, suknię, welon, pantofelki z kokardką, do ręki wziąć bukiet pachnącego groszku i pewnie kroczyć pod ramię z mężczyzną ze swoich snów ku przyszłości wytyczonej przez słowa: miłość, wierność i uczciwość małżeńska.

Skrzypce umilkły i ksiądz rozpoczął nabożeństwo. Zoey drgnęła nagle, bo poczuła na sobie czyjś wzrok. Nie było w tym nic niepokojącego. Stała tuż obok panny młodej, więc w pierwszej chwili pomyślała, że to normalne, pewnie pół kościoła kątem oka na nią spogląda. Spojrzenie było jednak tak intensywne, że w końcu mimo woli wtuliła twarz w ślubny bukiet Kaśki, który został powierzony jej opiece na czas ceremonii, i dyskretnie rozejrzała się wokoło, szukając właściciela świdrującego spojrzenia. Dwa rzędy od ołtarza, na miejscach przeznaczonych dla rodziny panny młodej, siedział Damazy, który zamiast centralnymi wydarzeniami dnia zajmował się cichą rozmową ze swoim serdecznym przyjacielem, dziadkiem Kaśki. „Cały Damazy!”, pomyślała na poły zgorszona, na poły rozbawiona frywolnością dziadka, który jak zwykle zdawał się być gdzieś obok konwenansu, jednocześnie nazbyt go nie naruszając.

Kilka rzędów dalej siedziała Alicja z Reksem. Mimo iż Zoey stanowczo nakazywała samej sobie odczuwać względem nich wielką niechęć, musiała przyznać, że przyjaciółka wyglądała kwitnąco. Ubrana w zieloną sukienkę w kropki, z fryzurą i makijażem zrobionymi na modłę rodem z Ameryki lat pięćdziesiątych, wtulała się w ramię siedzącego obok niej Marcina wystylizowanego na współczesną wersję Presley'a. Wyglądali bardzo sztywnie, jak wycięci z żurnala i, prawdę mówiąc, skupiali na sobie większość obiektywów aparatów fotograficznych znajdujących się w kościele. Zdawali się jednak zupełnie nie zwracać na to uwagi. Podobnie zresztą ignorowali to, co działo się przy ołtarzu. Patrzyli sobie prosto w oczy i uśmiechali się tajemniczym uśmiechem wyrażającym pełnię szczęścia. Zoey poczuła

ukłucie zazdrości, ale lojalna, mimo wszystko szczerze i niezmiennie kochająca Alicję, część jej duszy cieszyła się, że przyjaciółka znalazła swój kawałek raj na ziemi.

Szarpnięta nieprzyjemnym uczuciem smutku poszukała wzrokiem Roberta. Nie zdążyli nawet się przywitać przed rozpoczęciem mszy, bo Zoey poprzedni wieczór i cały poranek tego dnia spędziła, znosząc humory rozhisteryzowanej panny młodej. Wciąż czuła na sobie czyjeś intensywne spojrzenie i była już pewna, że to Robert, stęskniony jej widoku, tak na nią patrzy. Kochany, dobry, oddany człowiek. Odkryła jednak, że i on na nią nie patrzył. Stał na końcu kościoła, pod organami, i na wpół przymkniętymi oczami spoglądał na grę promieni światła rzucanych na ocienioną ścianę przez kolorowe szkiełka witraży. Zdawał się zanurzony we własnym świetle, świetle piękna, wrażliwości, estetyki. Dobrym, barwnym, spokojnym świetle, który być może pewnego dnia stanie się jej udziałem. Uśmiechnęła się w duchu do tej myśli. Robert ubrany w szary, lniany, letni garnitur i indyjską koszulę ze stójką wyglądał tak, jak wyglądałby z pewnością Clint Eastwood, gdyby to jemu, a nie Redfordowi dano w młodości wcielić się w główną rolę w filmowej wersji *Pożegnania z Afryką*. Zgodnie z zapowiedzią Kincaid nie miał krawata, ale nie ujmowało to niczego jego łobuzerskiej elegancji.

Nagle wzrok Zoey spoczął na butonierce marynarki Roberta. Wstrzymała oddech i wpatrywała się w jego pierś jak zahipnotyzowana. Była w nią wpięta biała róża, z jedyne go gatunku róż, który rozpoznałaby wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. Była to róża akito.

Z sercem podskakującym z przedziwnej mieszanki uczuć, które ośwładnęły ją na ten widok, zmusiła się, by skierować wzrok ponownie na ołtarz, i wtedy napotkała przyglądające się jej oczy. Po drugiej stronie ołtarza, w nawie bocznej, naprzeciwko miejsca, w którym stała, siedział Szymon i patrzył na nią, niewiele jednak mogła wyczytać z jego spojrzenia. Natychmiast spuściła wzrok na trzymane w rękach kwiaty. Ze zdziwieniem zauważyła, że bukiet drży w jej dłoniach.

„Co on tutaj robi?“, zapytywała samą siebie. I dlaczego tak dziwnie mi się przygląda?

Nie zdołała się powstrzymać i ostrożnie spojrzała raz jeszcze.

Siedział na składanym krzeselku, wyprostowany, dumny i spokojny, i wciąż na nią patrzył. Gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się ciepło. Nie zdołała się powstrzymać i odpowiedziała mu tym samym.

VI

Mimo czarnych scenariuszy i przerażających wizji wszystkich nieszczęść, którymi przez ostatnią dobę karmiła ją Kaśka, ślub i wesele przebiegały bez zarzutu. Wszystko było dokładnie tak, jak powinno: pięknie, wzruszająco, a przede wszystkim idealnie z harmonogramem. Składanie życzeń poszło sprawnie, prezenty zostały spakowane i zawiezione do domu państwa Szczygłów przez specjalnie wynajętą w tym celu firmę, a orszak weselny nie napotkał na mieście ani jednego korka.

Wesele odbywało się w podmiejskim pałacyku, najmodniejszym miejscu weselnym tego sezonu i kilku poprzednich, obsypanym nagrodami większości kobiecych miesięczników i najchętniej filmowanym przez twórców komedii romantycznych. Wszystkie te wyróżnienia okazały się w pełni zasłużone. Pałacyk rzeczywiście był piękny, ale jeszcze piękniejszy był otaczający go ogród różany.

Zoey wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza. Stała na tarasie i czekała na Roberta, który poszedł przynieść coś do picia. Dobrze się z nim bawiła tego wieczoru. Ku jej zaskoczeniu Kincaid okazał się doskonałym tancerzem i świetnym kompanem. Parokrotnie wyratował ją też z opresji, gdy ten czy ów gość weselny robił się zbyt nachalny czy nadmiernie absorbujący i traktował świadkową jak dobro ogólne, sługę i klauna dla wszystkich.

– Uważaj, bo jak tak dalej pójdzie, przyzwyczaję się, że zawsze przybywasz mi na ratunek – powiedziała z uśmiechem, gdy tym razem Robert z wdziękiem wylawiował ją z objęć pachnącej naftaliną ciotecznej babki Pafcia, która, wylewając łzy, opowiadała skrępowanej Zoey koleje swojego życia ze wszystkimi, niekiedy nazbyt intymnymi szczegółami.

– Nie miałbym nic przeciwko temu – odparł wówczas i posłał jej jedno ze swoich pełnych oddania spojrzeń, od których robiło się jej gorąco.

Rozmarzona Zoey przechyliła się przez barierkę i wciągnęła w nozdrza różany zapach szczelnie wypełniający powietrze. Nigdy w życiu nie widziała aż tylu róż w jednym miejscu. Specjalnie poprosiła, by Robert przyniósł napoje właśnie tu, ponieważ zamierzała wreszcie wprost zapytać go o walentynkowy bukiet.

– Cześć – powiedział Szymon, niespodziewanie pojawiając się tuż przy niej.

Spojrzała na niego z niechęcią, zastanawiając się, czego znowu od niej chce. Z niewyjaśnionych przyczyn przed oczami stanął jej pijany Jacek. „Dlaczego mężczyźni są tacy uparci?”, przemknęło jej przez myśl. Dlaczego ciągle obstają przy swoim, zamiast zrozumieć, że „nie” naprawdę oznacza „nie”?

– Chciałem się tylko przywitać – dodał Paskiewicz, nieco urażony jej milczeniem i widocznym brakiem entuzjazmu.

– Aha – wykrztusiła. – No cześć, cześć.

Mimo woli pomyślała, że Szymon powinien zawsze chodzić w garniturach. W tym, który miał na sobie dziś, wyglądał jak model z męskiego miesięcznika lifestylowego.

– Jak się bawisz? – zagadnął znowu.

– W porządku, dziękuję – odparła automatycznie, modląc się, by Robert szybko wrócił z napojami.

Z każdą chwilą spędzoną w obecności Szymona czuła się coraz bardziej niezręcznie. Rozmowa się nie kleiła, a co gorsza, choć właściwie nie rozmawiali, miała wrażenie, jakby robiła coś złego, zachowywała się nie w porządku w stosunku do Roberta. Było to bezsensowne, kompletnie niezrozumiałe uczucie, a jednak było i sprawiało, że z sekundy na sekundę czerwieniła się coraz bardziej.

– Świetne wesele... – Szymon najwyraźniej postanowił za wszelką cenę nawiązać z nią rozmowę.

Posłał jej miły uśmiech. Kruchy mur oporu dziewczyny zaczął pękać. Rozważała, czy jednak nie puścić w niepamięć tych wszystkich wydarzeń z przeszłości. Szymon był przecież jej wicedyrektorem

i sympatycznym... niezwykle sympatycznym człowiekiem, z którym mogła porozmawiać niezobowiązująco, skoro już spotkali się przypadkiem na powtórkowym weselu wspólnych znajomych.

– Owszem. Kaśka, to znaczy panna młoda, ma niezwykle talent do organizowania podobnych imprez – odparła, po chwili namysłu postanowiwszy podjąć rozmowę.

– Długo się znacie?

– Zdecydowanie za długo – roześmiała się Zoey. – A wy?

Szymon zmieszał się lekko.

– Właściwie słabo znam państwa młodych – wytłumaczył zawstydzony, jakby nie wypadało przyznawać się, że nie zna ludzi, na których weselu się bawi, po czym dodał: – Paweł jest znajomym Natalii. To ona grała w kościele.

Zoey zaczerwieniła się. Widmo żony Szymona rozproszyło jej chwilową swobodę. Znów spięła się lekko i zupełnie nie wiedziała, co ma dalej mówić. Paskiewicz dostrzegł nagłą zmianę jej nastroju. Wydawał się zdezorientowany.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską. – Może przynieść ci coś do picia?

W tym samym momencie Zoey dostrzegła w oddali Roberta, który stał z dwoma wysokimi szklankami w dłoni i przyglądał się im. Zamachała i uśmiechnęła się do niego. W odpowiedzi Kincaid podniósł szklanki do góry i ruszył w ich stronę. Zoey odwróciła się z powrotem do Szymona.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Mój...

Urwała. Kim właściwie był Robert? Czy stał się już kimś więcej niż sąsiadem, kolegą z dzieciństwa? Dotąd jakoś nie miała czasu się nad tym zastanowić, a może po prostu nie odczuwała potrzeby wtłaczania ich relacji w jakiegokolwiek rami, dookreślenia tego, co się pomiędzy nimi działo. Szymon przyglądał się jej w napięciu. Tymczasem Robert podszedł zupełnie blisko i bez słowa przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Mój chłopak już o to zadbał – dokończyła stanowczo Zoey, patrząc Szymonowi prosto w oczy, jakby chciała tymi słowami rzucić mu wyzwanie. Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, trwając w dziwnym bezruchu i milczeniu.

– Świetnie – odparł w końcu Szymon i gniewnie wbił ręce w kieszenie spodni. – W takim razie nie przeszkadzam. Pozwólcie, że też pójdę się napić.

– Miło było poznać – rzucił jeszcze w stronę Roberta, który skinął mu grzecznie głową.

Zoey chciało się płakać, choć nie wiedziała czemu. Zapomniała o ogrodzie i róży w butonierce Kincaida. Myślała tylko o tym zdrajcy Paskiewicz, który tak doskonale wyglądał w garniturze. W tej chwili nienawidziła samej siebie ze wszystkich sił.

– Chodźmy stąd – powiedziała nagle do Roberta, który, wciąż nic nie mówiąc, patrzył na nią zagadkowym spojrzeniem.

– Zabierzmy butelkę szampana i uciekajmy – Zoey mówiła szybko, chcąc zatuszować zdenerwowanie. Postanowiła, że nie zepsuje relacji z Robertem, że tym razem nie pozwoli, by wewnętrzne nieuporządkowanie zatriumfowało.

– Jesteś pewna? – spytał Robert bez uśmiechu.

– Najzupełniej – przytaknęła Eufrozyna, siląc się na obojętny ton. – Mam szczerze dość tej całej szopki i tych wszystkich ludzi. Zrobiłam, co do mnie należało, a nawet o wiele więcej. Zresztą państwo młodzi są zbyt zaaferowani, żeby zauważyć, że nas nie ma. Chodźmy!

To mówiąc, wzięła od Roberta szklanki, odstawiła na pobliski stolik i z pewnym zawstydzeniem chwyciła go nieśmiało za rękę.

– Chodźmy – odpowiedział i mocniej uścisnął jej dłoń.

VII

– Kto to był? – zapytał Robert, gdy po kwadransie znaleźli się nad rzeką.

Był piękny, ciepły wieczór, wprost stworzony, by spędzić go, siedząc na wielkim, przewróconym konarze, moczyć nogi w chłodnawej wodzie i popijać szampana z butelki w towarzystwie ukochanego. Sceneria aż ociekała romantyzmem. Srebrzysty, okrągłutki księżyc odbijał się w granatowej, pomarszczonej tafli wody. Drzewa szumiały

łagodnie, a igrający między gałęziami wietrzyk roznosił wokół niepowtarzalny zapach letniej nocy. Mimo to Zoey czuła się podle i piła szampana nie tyle dla przyjemności, co by zagłuszyć natrętne podszepty, których nie miała najmniejszej ochoty wysłuchiwać. Głos serca wywiódł ją na manowce już tyle razy, że teraz postanowiła nie dać mu szansy; ze wszystkich sił nie pozwolić mu się zwieść. Rozsądek nakazywał jej przestać myśleć o tajemniczym zachowaniu Paskiewicza. To był zamknięty rozdział, choć on co chwilę próbował uchylić go na nowo. Dość, koniec z Szymonem. Pora zatopić się bez reszty w przeżywaniu perfekcyjnie, wręcz filmowo wzruszających chwil spędzanych nad rzeką w upojną, czerwcową noc z Robertem.

– Ktoś z pracy? – dopytywał, gdy nie odpowiedziała.

Otrząsnęła się z zamyślenia.

– T...tak – odparła i poczuła, że się czerwieni. – Szymon Paskiewicz. Wicedyrektor.

Przekłęte rumieńce. Pozostawało mieć nadzieję, że przy słabym świetle księżycy zmiana kolorytu jej twarzy pozostanie niezauważona. Robert nic nie odpowiedział. Przysunął się do niej i chwycił w dwa palce jej podbródek, delikatnie zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

– To ktoś ważny, prawda? – spytał cicho.

Zoey otworzyła szerzej oczy ze zdumienia. Chciała odpowiedzieć, że jasne, że szef zawsze jest kimś ważnym, bo od niego zależy comiesięczna wypłata, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Doskonale wiedziała, o co pytał Kincaid. Jego oczy były przy tym tak jasne, czyste, szczerze i patrzyły na nią z bezgranicznym oddaniem i równie wielkim smutkiem, że nie mogła powiedzieć nieprawdy.

– Nie wiem... – szepnęła, choć ze wszystkich sił pragnęła zaprzeczyć. Puścił jej twarz i odwrócił oczy w stronę rzeki. – Robert... – zaczęła.

– Nie musisz – powstrzymał ją.

– Ale chcę.

– A wiesz, co chcesz powiedzieć? – zapytał łagodnie. – Jesteś pewna, że wiesz, czego chcesz?

Zawahała się. Robert czytał w niej jak w otwartej księdze, zupełnie jak Damazy, choć różnica pomiędzy nimi polegała na tym, że dziadek

rozmawiał z nią, odkąd nauczyła się mówić, znał od podszewki każdą jej minę, każde zachowanie, a Kincaid zdawał się intuicyjnie wyczuwać jej myśli. Nie, nie wiedziała ani co chce mu powiedzieć, ani czego tak naprawdę chciała. Nie potrafiła nazwać własnych uczuć i ułożyć myśli w jakąkolwiek logiczną całość. Chaos zasysał jej wewnątrz jak trąba powietrzna.

Siedzieli w milczeniu, każdy zasłuchany w odgłosy nocy i szept własnego serca.

– Trzęsiesz się – powiedział Robert, przerywając ciszę.

Zdjął marynarkę i przykrył nią ramiona Eufrozyny. Znów popatrzyli sobie w oczy.

– Robert, ja... – szepnęła i pocałowała go delikatnie.

Nie oddał jej pocałunku, tylko odsunął się nieznacznie.

– Ja tak nie umiem, Zoey.

Łzy jedna za drugą zaczęły spływać jej po policzku, coraz szybciej i szybciej.

– Kocham cię – wyszeptał Robert. – Kocham cię i będę czekał aż coś postanowisz, aż pozalátwiasz swoje sprawy i będziesz wiedziała, czego chcesz.

Zoey nie odpowiedziała. Płakała cichutko przy wtórze niewielkich fal rozbijających się o gałęzie konara, na którym siedzieli.

VIII

Sześć dni później Zoey ubrana w elegancką, jak przystało na taką okazję, jasną kretonową sukienkę i balerinki z kokardką wbiegła lekko na schody. Od niemal dwudziestu pięciu lat, z małą przerwą na liceum i studia, wbiegała i zbiegała po nich nieskończoną ilość razy, niezmiennie w tenisówkach lub pantofelkach z kokardką. Uśmiechnęła się do tej myśli. Tyle przeżytych lat, tyle wspomnień kryły w sobie te mury.

Zaraz potem przyszło jej do głowy, że chyba po raz pierwszy w życiu była teraz w szkole zupełnie sama. Pogoda dopisała, więc

wszyscy bawili się dziś na zewnątrz na pikniku z okazji rozpoczęcia wakacji. Szkolne echo, tak rzadko słyszane w tym przybytku dziecięcego rozgardiaszu, poniosło odgłos jej kroków i odbiło kilkakrotnie o pomalowane żółtawą emalią ściany. Panująca wokół cisza potęgująca pustkę przygnębiła dziewczynę, przypominając o jej niezbyt udanym życiu osobistym, odniesionych porażkach i wciąż świeżych ranach.

– Kolejny rok szkolny za mną – westchnęła Zoey i poczuła, że zaczyna ją ogarniać melancholia. – Tyle lat w tych samych murach, taki kawał życia...

Kaśka ponownie wyszła za Pafcia i będą z całą pewnością żyli jak zwykle długo i szczęśliwie. Alicja najwyraźniej też znalazła swoją drogę do szczęścia u boku niezbyt wiernego, jak ona sama, za to wielce ekscytującego Reksa. Wydawali się ekscentryczną, ale wbrew pozorom idealnie dobraną parą. Klócili się zajadle i pragnęli jak szaleni, zupełnie jak włoskie małżeństwo. Żadnych oczekiwań, żadnych pretensji, ot, dwa wolne, rajskie ptaki, krążące po różnych krainach, ze świadomością kochania i bycia kochanym, bez poświęcania tak drogocennej dla obojga wolności. Dwa idealnie dobrane egzemplarze, którym spotkania od czasu do czasu przy wodopoju w jakiejś cienistej oazie wystarczyły do pełni szczęścia. Rex i Alicja nie potrzebowali wyłączności, deklaracji, zobowiązań, nie pragnęli zakładać gniazda i oboje doskonale o tym wiedzieli. „Nie do wiary, jak czasami splatają się ludzkie losy”, pomyślała Zoey.

We wtorek po weselu Robert przyszedł do niej wieczorem i powiedział, że następnego ranka wylatuje do Kambodży. Poprosił, by pod jego nieobecność przemyślała dokładnie, czego chce, pocałował ją w policzek i odszedł, dobry, cichy i spokojny. W dniu jego wyjazdu znalazła na wycieraczkę kopertę ze swoim imieniem. W środku był wykupiony na jej nazwisko bezterminowy bilet lotniczy do Phnom Penh i małe karteczka, na której Kincaid wykaligrafował dwa słowa: „Będę czekał”.

Na samą myśl o bilecie, który wciąż spoczywał w szufladzie nocnej szafki, znów zrobiło się jej okropnie smutno. Tyle czasu czekała, aż prawdziwa miłość wreszcie ją znajdzie. Sama nie miała siły już szukać, po przejściach z Jackiem nie miała już także odwagi na kolejną

ekspedycję poszukiwawczą. I wtedy los zesłał jej Roberta. Dobrego człowieka, nieziemsko przystojnego mężczyznę, będącego idealną mieszanką dwóch najdoskonalszych facetów świata: jej dziadka i Clinta Eastwooda. A jednak i tu zawaliła. Nie potrafiła go pokochać. Nie potrafiła odwdzińczyć się mu tym samym za głębokie uczucie, które wobec niej żywił. Musiała zachować się jak idiotka, uciekając z wesela po rozmowie z tym nieszczęsnym Szymonem, który wciąż wzbudzał w niej więcej emocji, niż powinien. Stanowczo zbyt dużo. Przekonywała samą siebie, że po radzie pedagogicznej kończącej rok szkolny zaraz następnego dnia wsiądzie w samolot i poleci do Kincaida. Postawi wszystko na jedną kartę. Zaryzykuje. Jej serce jednak cichutko szeptało, że to pełne przygód życie u boku Roberta nie uszczęśliwiłoby jej, ale wciąż starała się przekonać je do racji rozumu.

Niestety serce było nieugięte, a Eufrozyna ku własnemu przerażeniu zrozumiała, że na weselu Kaśki dokonała przełomowego odkrycia. Zdała sobie sprawę, że od dawna kocha kogoś innego, tyle że ten ktoś był zupełnie nieosiągalny. Wiedziała doskonale, czego chce, choć nie mogła tego dostać. Życie z Robertem darzącym ją takim wzruszającym oddaniem i najszczerzym uczuciem byłoby oszustwem. Kompromisem, który prędzej czy później unieszczęśliwiłby ich oboje.

A gdyby już miała się zgodzić na podobne ustępstwa, na oszukiwanie samej siebie i życie w emocjonalnym znieczuleniu, to w sumie równie dobrze mogłaby rozważyć propozycję pana Władysława. Tak samo nie byłby to mariaż z miłości, a z pewnością zakończyłby się w niedługim czasie, więc męczyliby się oboje o wiele krócej, niż gdyby na podobnych zasadach związała się z Robertem.

„Kto wie, czy nie lepiej jednak przez kolejne pięćdziesiąt lat życia być wdową niż starą panną?”, rozmyślała ponuro.

Walcząc z narastającym przygnębieniem, czym prędzej weszła do schowka na szczotki, w którym obecnie znajdował się prowizoryczny magazyn zaopatrzenia pikniku, i chwyciła kilka torebek z cukierkami dla uczestników wyścigu na szczudłach z kubeczków, stanowiącym ostatni punkt piknikowego programu. Chciała jak najszybciej wrócić na słońce, na zieloną trawkę, do bawiących się dzieci, i nie myśleć choć przez chwilę o tym wszystkim.

– Zoey... – usłyszała za sobą głos Szymona.

Odwróciła się gwałtownie. Serce załomotało jej w piersi, a strach ścisnął za gardło. Bała się samej siebie. Bała się, że jedno nieopatrzone słowo czy gest zdradzi, co do niego czuła. Musiała uciekać, jak najdalej stąd, jak najdalej od żonatego mężczyzny, w którym była do szaleństwa zakochana!

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział, nie zwracając uwagi na ciskane przez jej oczy gromy, doskonale widoczne mimo panującego w pomieszczeniu półmroku.

– My nie mamy o czym rozmawiać – syknęła i ruszyła w stronę drzwi.

– W takim razie nie będziemy rozmawiać, tylko ja opowiem ci pewną historię – odparł mężczyzna i, ku zdziwieniu Eufrozyny, przekręcił klucz w drzwiach, wyjął go z zamka i schował do kieszeni na piersi.

– Chyba żartujesz?! – krzyknęła Zoey. – Natychmiast mnie stąd wypuść!

Szymon nie odpowiedział tylko chwycił ją w ramiona i pocałował. Zoey szarpnęła się gwałtownie i uderzyła go w policzek.

– Co ty sobie myślisz, do cholery?!

– Myślę, że cię kocham!

Dziewczyna wstrzymała oddech. Wypowiedziane przez Szymona słowa na krótką chwilę zawisły pomiędzy nimi. Tak bardzo chciała, żeby okazały się prawdą. Tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa właśnie z jego ust. Jednak chwilę później przed oczami stanęła jej smukła postać Natalii Paskiewicz ubranej w czarną suknię i uśmiechającej się do niej życzliwie. Zoey potrząsnęła głową, strzepując z myśli resztki romantycznego otumanienia.

– Nie, nie, nie! Nigdy więcej się na to nie nabiorę – powiedziała prędko.

– Ale na co? – Szymon wydawał się zdezorientowany.

– Na gadki żonatych mężczyzn o miłości!

– Ja nie mam żony! – krzyknął rozpaczliwie.

Zoey parsknęła szalonym śmiechem.

– Nie masz żony? A to dobre! – krzyknęła, czując, że traci

panowanie nad sobą. – Nie masz żony?! Nie masz?! A Natalia to niby kto?

Teraz i on się roześmiał, choć w przeciwieństwie do niej śmiał się radośnie i szczerze jak ktoś, komu spadł z serca wielki kamień, albo jak skazaniec, który w ostatniej sekundzie cudem uniknął stryczka. Zoey umilkła i zastanawiała się, czy przypadkiem Szymon nie jest jakimś szaleńcem, psychopatą ukrywającym się pod maską statecznego i łagodnego dyrektora. Przeraziła ją ta irracjonalna wizja. Byli w szkole zupełnie sami, nawet pan Miecio, z rzadka opuszczający swoją kanciapę, dziś rezydował przy wielkim grillu. Wicedyrektor mógł zrobić jej krzywdę, zatrzeć ślady i jak gdyby nigdy nic dołączyć do bawiącej się na zewnątrz braci szkolnej. Pobladła, patrzyła, jak Szymon usiłuje się opanować, ale wciąż i wciąż wybucha nową falą śmiechu. Niewątpliwie zwariował, a co gorsza miał w kieszeni klucz do wolności.

– Natalia... – wydukał w końcu pomiędzy jedną salwą śmiechu a drugą. – Natalia... to moja młodsza siostra.

Eufrozyna skamieniała. W jej umyśle zapanowała idealna cisza. Zupełnie jakby wszystkie przewody nerwowe przepaliły się od nadmiaru uczuć, wrażeń i pytań.

– Siostra? – spytała głosem pozbawionym emocji.

Szymon skinął głową i wciąż się śmiał, szczerym śmiechem człowieka, który doznał głębokiej ulgi.

– Skoro Natalia jest twoją siostrą, to gdzie jest żona? – zapytała skołowana Eufrozyna, wciąż nie mogąc odnaleźć brakującego elementu układanki. – Nie musisz zaprzeczać. Pani Mariola przecież zna twoją żonę, uczyła ją, pamiętasz? No to wiedz, że opowiedziała mi o niej wszystko. Zresztą może z przyzwyczajenia ten drobny fakt umyka twojej uwadze, ale na serdecznym palcu masz obrączkę – dodała kąśliwie, nie mogąc powstrzymać się od złośliwości.

Szymon natychmiast spowaźniał. Pokręcił złotym krążkiem. Coś tu było nie tak. Bardzo nie tak. Zoey podniosła wzrok i ujrzała zmarszczkę zmartwienia, która przecięła czoło mężczyzny.

– Nie mam żony – powtórzył cicho. – Ale kiedyś miałem. Jagoda... Jagoda zmarła cztery lata temu. – Zoey nie zdołała powstrzymać głośnego, pełnego współczucia westchnienia. –

Zaawansowany rak trzustki. Z dnia na dzień zaczęła znikać. Bez uprzedzenia, nie dając nam czasu na cokolwiek, nasz świat zaczął się brutalnie kurczyć i zacieśniać wokół szpitala, chemii, naświetlań... – Szymonowi załamał się głos; po chwili podjął ciszej: – Sześć miesięcy po diagnozie było już po wszystkim. Zostałem sam.

Wbił ręce w kieszenie, oparł się o ścianę i przymknął oczy. Eufrozyna sama nie wiedząc co robi, podeszła bliżej i przytuliła się do niego ostrożnie. Drgnął lekko, ale nic nie powiedział. Trwali tak dłuższą chwilę w ciemności, wśród mopów, szczotek do zamiatania i wiader różnych kolorów i rozmiarów, owiani tajemniczą wonią szkolnej pasty do podłogi. Szymon delikatnie odsunął Zoey na długość ramienia i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tyle razy chciałem ci powiedzieć... – wyszeptał. – Tyle razy... – Zoey westchnęła głęboko. – Po śmierci Jagody byłem pewien, że już nigdy... Nosilem obrączkę na znak pamięci o niej i skupiałem się na pracy. Aż do chwili, gdy wtedy na auli zobaczyłem ciebie. Przerazoną, bezbronną, promieniejącą jakimś nieopisanym blaskiem. Przepadłem. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Wydawało mi się, że coś się pomiędzy nami wydarzyło. Wysłałam ci kwiaty...

– Róże akito?! – wydusiła słabo Zoey.

Szymon skinął głową.

– Tak.

– Nie wiedziałam, że są od ciebie...

– A ja byłem przekonany, że w ogóle ich nie dostałaś, a potem zacząłem myśleć, że nawet jeśli dostałaś, to postanowiłaś przemilczeć całą sprawę. Dopiero kilka tygodni później zorientowałem się, że nie mogłaś wiedzieć, że kwiaty są ode mnie, skoro znalazłem bilecik podczas porządków na biurku – ciągnął Szymon, coraz bardziej gorączkowo. – Nim jednak dokonałem tego odkrycia, starałem się zachować dystans, ale gdy tamtego wieczora zgasło światło, a ty byłaś taka bezradna, zagubiona... Nie wytrzymałem i musiałem cię pocałować. Uciekłaś, zanim zdążyłem ci cokolwiek wyjaśnić. A potem zobaczyłem cię z Kaliskim... Nie mogłem uwierzyć, że ty, taka dobra i uczciwa byłabyś zdolna spotykać się z żonatym mężczyzną, więc postanowiłem się upewnić, czy wiesz, że on ma żonę...

– I kazałeś Alicji wziąć zastępstwo w świetlicy... – dopowiedziała Zoey drżącym głosem.

Szymon skinął głową.

– Miałem nadzieję, że wreszcie dasz mi szansę, ale gdy pojawiłaś się na weselu Pawła z tym sympatycznym fotografem, pomyślałem, że wszystko skończone. Wpatrywał się w ciebie jak w święty obrazek, a ty wydawałaś się taka szczęśliwa... – wzdrygnął się na niezbyt przyjemne wspomnienie.

– To dlaczego teraz mówisz mi to wszystko? – chciała wiedzieć Zoey.

– Alicja – szepnął i puścił do niej oko. – Na weselu Szczygłów postanowiłem utopić smutki w weselnych trunkach. Alicja przyłączyła się do mnie, gdy siedziałem w ogrodowej altance. W przyływie pijackiej szczerości zwierzyłem się jej ze wszystkiego. I to ona powiedziała, żebym nie tracił nadziei i wyglądał swojej szansy, bo jej zdaniem Robert był i pozostanie zawsze tylko sąsiadem, kolegą z trzepaka.

– Nic mi nie mówiła... – zdziwiła się Eufrozyna, w duchu oficjalnie przebacząc Alicji wszystko.

Bo prawda była taka, że w sercu przebaczyła jej już dawno. Ostre słowa Kaśki wypowiedziane podczas wieczoru panieńskiego dały jej do myślenia. Zrozumiała, że dla Alicji uczucie do Reksa, tak intensywne i oszałamiające, też było czymś nowym. Pogubiła się, zapomniała, a może i bała jej reakcji? Eufrozyna w myślach błogosławiła teraz przyjaciółkę za jej dziwaczne zamiłowanie do włączania się po pijaku po ogrodach domów weselnych, a przede wszystkim za wycucie i prawidłową ocenę sytuacji z Kincaidem. Dobra przyjaciółka to podstawa, nawet jeśli ma tak fatalny gust w kwestii mężczyzn.

– Nic ci nie powiedziała, bo kazałem jej przysiąc, że tego nie zrobi. Zbyt wiele pomyłek i niedomówień było między nami. Chciałem ci to raz na zawsze wszystko wyjaśnić. Sam...

Zoey położyła mu palec na ustach, a gdy umilkł, musnęła delikatnie jego wargi i, niewiele myśląc, pocałowała go.

IX

Wyszli ze schowka, trzymając się za ręce, uśmiechnięci i rozemocjonowani jak para zakochanych po raz pierwszy nastolatków.

– Kocham cię, Eufrozyno – szepnął jej do ucha, gdy zbliżali się do szkolnego boiska, odprowadzani zaciekawionymi spojrzeniami uczniów, kadry nauczycielskiej i rodziców.

Zoey wzdrygnęła się odruchowo na dźwięk znieawidzonego imienia i całą siłą woli powstrzymywała się, by nie splunąć przez lewe ramię, celem odgonienia związanego z nim pecha. Szymon najwyraźniej zrozumiał wszystko.

– Wiesz, co oznacza twoje imię po grecku? – zagadnął niespodziewanie.

Zoey ze zdziwieniem stwierdziła, że choć tyle czasu poświęciła w życiu na uzalanie się nad własną niedolą związaną z tym okropnym imieniem, nigdy nie sprawdziła jego znaczenia. Pokręciła głową.

– Radość – powiedział czule, uśmiechając się do niej. – Euphrosyne była boginią radości i wdzięku. – Zoey uśmiechnęła się szeroko. – A wiesz, że moje drugie imię też ma źródłosłów grecki?

– Naprawdę? – mruknęła. – W ogóle nie wiedziałam, że masz drugie imię. Zdradzisz mi jakie?

– A nie będziesz się śmiać? – zakpił, puszczając do niej oczko.

– Błagam, jak ktoś ma na imię Eufrozyna, nigdy nie śmieje się z imion innych – zażartowała. Było jej lekko i wesoło.

– Apoloniusz.

– Proszę, proszę. – Roześmiała się. – Bóg piękna, poezji...

– I miłości – dodał Szymon i przyciągnął ją do siebie, nie zważając na zgromadzonych na pikniku ludzi.

Objął ją i pocałował. Tym razem, mimo publiczności, nie stawiała oporu. Zapadła się w jego ramiona i oddała mu pocałunek, wkładając w niego całą tęsknotę i uczucie. Wreszcie była pewna, czego chce! Nie miała wątpliwości, że Szymon ją kocha, i wiedziała, że ona także kocha jego. W tle rozbrzmiały zaplanowane na koniec pikniku fajerwerki, a także oklaski i gwizdy podekscytowanej młodzieży, przyglądającej się

całej scenie.

– Nie do wiary! – usłyszała za sobą oburzony głos dyrektorki, której udało się przekrzyczeć huk sztucznych ogni i dziecięcą wrzawę.

Eufrozynie było jednak wszystko jedno. Czuła się kochana, szczęśliwa i bezpieczna, i tylko to się liczyło.

„Nie do wiary”, powtórzyła w myślach Zoey. Marzenia jednak się spełniają.

Spis treści

Sylwester

Styczeń

I

II

III

IV

V

VI

VII

Luty

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

Marzec

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

Kwiecień

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

Maj

I

II

III

IV

V

VI

VII

Czerwiec

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

